

Guy N. Smith

Las

- Ta cholerna mgła idzie od wybrzeża. - Głos Cartwrighta był pełen niepokoju. - Jeszcze godzina i będzie Jak w listopadzie. Myślę, że Szwab nam się wymknął. Ten cholerny las Jest zbyt duży i gęsty. Trzeba całej armii, by go dokładnie spenetrować.

- On Już nikomu nie przysporzy żadnych kłopotów. - Ewart zbladł - Nikt nie wydobędzie się z Droy Wood, gdy nastanie mgła. Mieliliśmy szczęście, kapitanie.

Prolog

Bertie Hass zamknął oczy. W napięciu czekał na chwilę, kiedy nad jego głową rozlegnie się trzask otwieranej czaszy spadochronu.

"Nie otworzy się, Bertie - wiesz, że nie. Czyż ten jasnowidz w Stuttgarcie nie powiedział ci, że zdarzy się coś takiego?"

Hass spadał coraz szybciej. Przygotował się do lądowania. Mógł teraz zobaczyć ziemię w bladym świetle księżyca, rozjaśnioną płonącymi szczątkami zestrzelonego bombowca i blaskiem łuny nad zbombardowanym miastem, poza horyzontem. Rozpętało się tam istne piekło.

Misja wykonana, panie komendancie, miasto zrównane z ziemią. Duma, nieodparta satysfakcja. To było nieuniknione, zawsze tracimy ludzi podczas nalotów. Żołnierze są tylko mięsem armatnim, ale każdy z pilotów miał nadzieję, że nie nadeszła jeszcze kolej.

Spadał.

I wtedy linki szarpnęły go, obróciły, pociągnęły za ramiona, jakby chciały oderwać się od ciężaru ciała. Omal nie stracił przytomności, mając znów przed oczami zamazany obraz twarzy Ingrid. "Ciemności i męki piekielne są pod tobą - pomyślał. - Czy nie widzisz płomieni?"

Roziskrzone ogniszcze, nocne niebo było tak jasne, że Niemiec widział je nawet poprzez zamknięte oczy. Nalot trwał. Hass słyszał nieustanny ogień artylerii przeciwlotniczej i buczenie ciężkich bombowców. Ale to wszystko rozgrywało się teraz daleko stąd.

Samolot Hassa został zestrzelony, eskadra była wciąż 5

tam, wciąż bez niego. Poczucie winy. Nie, na polu walki, każdy jest zdany tylko na siebie. Wszyscy się z tym godzili. Jak na wojnie... Bomby i wystrzały były ledwie słyszalne, możliwe, że skoczek zniósł nawet dalej, niż myślał. Pomarańczowa łuna zawisła nad horyzontem. Lotnik spojrzał w dół, widział mnóstwo cieni, jedne ciemniejsze od drugich, srebrny blask poza nimi to niewątpliwie morze. Na pewno stracił orientację. "Ciemności i męki piekielne są tuż pod twoimi stopami".

Hass próbował strząsnąć z siebie wszystkie niepokoje, zdusić w sobie głos, który niewątpliwie należał do mgrid, wróżki. Nie poszedł do niej tylko po to, by poznać swoje przeznaczenie, poszedł do niej, bo miał inne, bardziej interesujące powody. Tak jak jego koledzy z Luftwaffe, którzy go z nią zapoznali. Nie liczyła sobie więcej niż trzydzieści lat. Miała długie blond włosy i kształtną figurę. Jej wróżby były po prostu pretekstem do czegoś zupełnie innego. Przezroczysta kula z cienkiego kryształu we frontowym oknie jej zaniedbanego domu potrafiła pokazać coś znacznie ciekawszego niż tylko obrazy z przyszłości. Nie, żeby Bertie miał jakiś dowód i prawdopodobnie musiałby być stałym klientem, aby Ingrid zaprosiła go do tego drugiego pokoju.

Wróżka ostrzegła, by nie brał udziału w tej wyprawie. Możliwe, że było to coś w rodzaju zaproszenia, aby został i odwiedził ją znowu. To oznaczałoby jednak, że lotnik musiałby zachorować. Co prawda, były na to różne sposoby, ale Hass w życiu nie zrobiłby czegoś takiego. Miał obowiązek wobec fuhrera.

Był już znacznie niżej. Mógł rozpoznać szczegóły te-6

renu. Las, duży, sąsiadujący z przybrzeżnymi trzęsawiskami. Pilotowi zaschło w ustach. Mógł zostać złapany lub złamać nogę. Gorzej: mógł utonąć w bagnie. Nie miał żadnych wątpliwości, że spadnie prosto do lasu. Drzewa zdawały się poruszać. Długie, grube konary wyciągnięte jak jakieś niesamowite macki, próbujące go schwytać. W końcu wyładował. Głuchy chłupot Upadek na gąbczastej trawie moczarów. Przez chwilę Hass pomyślał, że wyładował na trzęsawisku. Jakoś udało mu się oswozić nogi z gliniastej ziemi.

Otaczały go wysokie drzewa, makabryczne karykatury z pniami o potwornych twarzach i siwych brodach. Bulgot... To była błotnista woda, przelewająca się i znów zbierająca w innym miejscu. Plamy bladej poświaty księżyca kontrastowały z cieniami, pokazując wszystko, co chciał zobaczyć i wiele rzeczy, których nie chciał.

Jakimś cudem spadł w sam środek czegoś w rodzaju leśnej przecinki. Ten duży las był w sam raz, aby się ukryć. Niemiec wzdrygnął się. Nagły dreszcz strachu bez żadnego powodu. Ten zapach to nie był zwykły smród starej, stojącej, stęchłej wody. Coś jeszcze... coś diabelskiego.

Pilot sprawnie uwolnił się z szelek spadochronu i ruszył z miejsca zostawiając za sobą ślad. Kiedy dotarł do linii drzew, złapał nisko wiszącą gałąź, podciągnął się i przeniósł ciężar ciała na twardy grunt. Cienie zdawały się rosnąć, rzucając na skoczek czarną zasłonę.

Zdawał sobie sprawę, że drży ze strachu i nienawidził siebie za to. Czyż nie był członkiem doborowej

eskadry Luftwaffe, jednym z nieustraszonych pilotów fuhrera. Misja zakończyła się sukcesem, a on przeżył. Teraz musiał wrócić do ojczyzny tak szybko, jak tylko to możliwe. Wojna już nie potrwa długo, Francja padła, a Anglię rzucono na kolana. Godzina chwały była już blisko. Lotnik złapał się na tym, że wciąż uważnie nasłuchuje. Nie mógł już teraz słyszeć odgłosów walki, niebo nie było już zaróżowione od ognia i wybuchów. Hass mógł równie dobrze wyładować gdzieś, gdzie wojna była jeszcze czymś obcym, gdzie panował niczym nie zmącony spokój. To naprawdę niesamowite.

Bagnisty szlam sączył się i bulgotał. Nocny ptak odezwał się gdzieś cichym piskiem. Musi pozostać tu do świtu, wtedy będzie mógł zorientować się w swoim położeniu. A potem to już tylko kwestia przemieszczania się w nocy i ukrywania w dzień, dopóki

Niemiec nie odnajdzie lotniska. Spryt i odrobina szczęścia, oto czego teraz potrzebował Hass. Samolot, jakkolwiek samolot. I gdy już lotnik przechytry strażę, nic nie będzie w stanie go zatrzymać. Próbował rozwiać swe obawy, bezskutecznie. Był zupełnie sam na obcej ziemi.

Dźwięk, jakby odgłos czyichś kroków na bagnistym gruncie. To wszystko kazało mu przypuszczać, że był ukradkiem obserwowany. Zimny dreszcz przeszedł lotnika. Drżącymi rękami otworzył skózaną kaburę. Wyciągnął ciężkiego, automatycznego ługera. "No, dalej, pokaż się, świnio, a zginiesz. Masz przed sobą gościa z hitlerowskiej Luftwaffe" - pomyślał Niemiec.

Cisza. Żadnego dźwięku. Hass wiedział jednak, że bez wątpienia jest tam ktoś. kto go obserwuje.

Victor Amery był na wzgórzu jeszcze przed zapadnięciem zmierzchu. Trzy razy w tygodniu pełnił tutaj wartę. Godziny spędzane w ciemnościach dłużyły się w nieskończoność. Rozkładany leżak, który miał tam ze sobą, pozwalał spędzić je nieco wygodniej. Straż ogniowa, jak to nazywano, była tym, co pozwalało ci się przekonać, że pomagasz w obronie swojego kraju. Właśnie to było celem Home Guard, psychologiczne dowartościowanie zarówno tych, którzy byli za starzy do służby na froncie, jak i tych, którzy byli do niej niezdolni.

"Wzięty żywcem" - to ulubione powiedzenie Victo-ra podczas nocnych dyskusji w pubie "Dun Cow", zanim poszedł na służbę. "Każdy wiedział, że to nadchodzi, ale oni wciąż mówili: "pokój naszym czasom". Dopóki nie wybuchła ta okropna wojna..." Wtedy. Kto by pomyślał? Więc najlepsze, co mogą teraz robić, to uzbroić wszystkich starych pierników w lekkie karabinki i powiedzieć: "Dołóżcie Szwabom w dupę, jeżeli tylko mają odwagę się tu pojawić". "I oto przyszli - pomyślał Victor. - Po pięćdziesiątce żyde staje się wprost nieznośne. Urzędnik za dnia i strażnik w nocy. Kiedy, do jasnej cholery, mogę się trochę przespać?"

Aż do dzisiejszej nocy... Jezu Chryste! Szwaby nadleciały, eskadra za eskadrami, chyba cała Luftwaffe, pewna siebie, skoncentrowana nad jednym celem. Najpierw zbombardowali sieć linii kolejowych, drogi i mosty, a potem zrzucili cały pierdolony ładunek na miasto. Victor widział, jak wyleciała w powietrze cała 9

fabryka amunicji. Bez pudła! Słaba artyleria przeciwlotnicza, to Szkopy zrobiły dziś przegląd naszych sił. "Ale dostaliśmy jednego skurwysyna. Dobra nasza, chłopaki!"

Victor widział bomby spadające na tę samą drogę, którą przyszedł. "Po co, do cholery, Szwaby to robili?" - zastanawiał się. Wszyscy inni zawrócili gdy pozbyli się całego ładunku. Ale ten jeden został trafiony, trafił wysokość aż wreszcie eksplodował. Victor Amery widział, jak bombowiec pikował w dół i rozbił się na polu ze skoszonym sianem, podpalając je w paru miejscach. Ciężki dym zawisł w powietrzu jak mgła, która czasami przychodziła znad morza.

Straż ogniowa.

I wtedy, kątem oka, Victor dostrzegł spadochroniarza. Z początku sądził, że to jakiś ptak, duży i pełen wdzięku, ale ostatecznie rozróżnił sylwetkę człowieka. Strażony lotnik szybował w kierunku lasu Droy. Victor odbezpieczył strzelbę. "Szwab. Wróg. Bandyta." - pomyślał. Co te skurwysyny zrobiły z miasta? Piekło, które wciąż jeszcze pochłaniało ofiary, setki, może tysiące ludzi ginących w ogniu. Podniósł broń do ramienia, kładąc jednocześnie palec wskazujący na spuście. Za daleko. Trzysta, może czterysta jardów. Nawet automat SG nie miałby takiego zasięgu. Mężczyzna z żalem opuścił broń. Ten sukisyn chce ukryć się w lesie, nie ma wątpliwości.

Anglik widział spadochroniarza przelatującego tuż nad wysokim dębem, po czym skoczek zniknął z pola widzenia. Niemca pochłonął cień lasu Droy, o którym w okolicy krążyły niesamowite opowieści Teraz, w no-10

cy, Amery wolał ich sobie nie przypominać. Co prawda nie wierzył w zabobony, ale podobno w każdej legendzie jest ziarno prawdy...

Victor mszył biegiem w kierunku wioski, aby zaalarmować mieszkańców. Na godzinę przed świtem las został otoczony przez nieduży oddział ochotników z Home Guard. Było ich kilkunastu, młodych chłopaków i jeden czy dwóch starszych, doświadczonych mężczyzn. Starsi stanęli na czatach. Las miał około pięciuset akrów powierzchni, był bardzo gęsty i podmokły. Martwe, zbutwiałe drzewa sterczały wysoko nad powierzchnią wody. Stary, ciemny las...

"Najgorzej jest wtedy, kiedy las spowija mgła znad trzęsawiska. Pojawia się zupełnie niespodziewanie. Bez względu na porę roku. Bagienne opary odbierają kształty wszystkiemu dookoła. Niech Bóg ma w opiece wszystkich, którzy w takim czasie znajdują się w Droy Wood" - pomyślał Amery.

Świtało. Na wschodzie widniała luna płonącego miasta. W powietrzu unosił się zapach dymu.

Zaszczekał pies. Brutus, owczarek alzacki leśnika Owena. Owen był teraz gdzieś za granicą, przez ponad dwa miesiące nikt nie miał o nim żadnych wieści, nikt zresztą nie interesował się Owenem. W czasie wojny wielu ludzi wyjeżdżało nie wiadomo dokąd, a potem ich nazwiska pojawiały się na tablicy pamiątkowej w kościele.

Owczarek był podobny do swego pana, zawzięty i nieobliczalny jak leśniczy. Nie było lepszego tropiciela niż Brutus. Jedynie Jack, należący do Toma Morrisa 11

mógł równać się z Brutusem. "Psy odnajdą tego szkopa" - myślał Victor.

Amery obserwował innych gwardzistów idących tyłami i raiierą.

"Kapitan Cartwright i stary Emson na pewno dotarli już na skraj lasu. Trzeba bardzo dokładnie przeczesać cały teren. Mamy mało broni. Karabinki, wiatrówki, siekiery, widły - co to za uzbrojenie? Spokojnie, tylko spokojnie..."

Ostry, przenikliwy dźwięk gwizdka przywołał Amery-ego do rzeczywistości. Ruszył wraz z innymi naprzód, z palcem na cynglu. Ten szwab był bez wątpienia uzbrojony. Nikt nie może cię ukarać, jeśli go zastrzelisz. To przecież wojna, nie ma czasu na sentymenty. Pomyśl o tych wszystkich ludziach, którzy ucierpieli podczas nocnego nalotu. Kobiety i dzieci. Gdyby nie nierówności terenu, Amery chodziłby cały czas z odbezpieczonym karabinem.

Dwadzieścia jardów od lasu. Psy już tam wbiegły, terier ujadł niemiłosiernie. "Nawet z psami - pomyślał Victor- to jak szukanie igły w stogu siana. Trzeba by całej sfory ogarów i dużego oddziału wojska, a i wtedy skoczek mógłby nam jeszcze uciec".

Niepokój Amery-ego wzrósł, kiedy tyraliera wchodziła w las. Tak ciemno, to nieprawdopodobne, jak listowie zasłania światło słoneczne, tworząc wokół coś w rodzaju ponurej, zielonkawej poświaty. Wszystko przesiąknięte wilgocią i zapachem zgnilizny. Czarna, mokra ziemia, błoto nigdy tutaj nie wysychało. Tutaj możesz pojąć sens wieczności, nieskończoności. Nie 12

wiesz nawet, czy jest dzień czy noc. Wciąż rozglądasz się wokoło... nie wiesz, co czai się w ciemności, a strach ma wielkie oczy.

Victor zatrzymał się, ponieważ idący przed nim Fred Ewart stanął, aby zapalić swoją obrzydliwie cuchnącą fajkę. W mroku płomyk zapalniczki niemal oślepił. W jego blasku widać było zaszuszoną, zarosniętą twarz mężczyzny z masą wągrów i sumiaste, siwe wąsy oraz jasnoniebieskie oczy, czujne i rozbiegane.

- No... i nie znaleźliśmy go - powiedział Ewart. -Marnujemy czas, ale właściwie przyszedłem tu pospacerować. Nigdy nikogo tutaj nie znajdują. Pamiętacie Vallum? Było to w trzydziestym drugim. Ten człowiek zabił swoją żonę i jej kochankę, przybiegł tu, zostawiwszy za sobą krwawy ślad po tym, jak odrąbał jej dłonie. Dziecko trafiłoby, idąc tym tropem, ale na końcu nie było nic. Jakby morderca zapadł się pod ziemię. Ten Niemiec tak samo. Jak kamień w wodę.

Victor Amery zadrżał ze strachu. Cholerny Ewart i jego opowiadki! To jeden z powodów, dla którego Victor prawie przestał odwiedzać pub "Dun Cow". Noc w noc działało mu to na nerwy. Historie, które przychodziły na myśl, gdy gaszono światła. Zawsze pojawiał się w nich Droy Wood. Możliwe, że stary sam wymyślał te bzdury. Głupi frajer. Lubował się w napędzaniu ludziom stracha. Był skarbnicą legend. Opowiadał je na okrągło tak długo, aż słuchacze przestali powoli w nie wierzyć i puszczali je mimo uszu. Ten las był taki sam jak każdy inny.

Wszystko to kłamstwa. Ewart kłamie jak cholera. Ale co do tego nigdy nie było całkowitej pewności.

13

W końcu znaleźli spadochron. Teraz zwierzęta chwyciły trop. Łowy na człowieka rozpoczęte.

Tyraliera posuwała się powoli. Ewart, jako dowódca akcji, narzucał tempo marszu. Kijem penetrował podmokły grunt pod nogami. Brzęczące roje czarnych muszek unosiły się w powietrzu.

Niespodziewanie poszukiwacze dotarli do starego domu. Kiedyś był to ładny dworek położony w samym środku szerokiej przecinki. Okazałe wykończenie dachu rozsypało się. Tu i ówdzie widać było dziury po dachówkach. Szyby już dawno powypadały z okien, które były teraz podobne do pustych oczodołów. Ktoś musiał sprawdzić wnętrze domu. Poszukiwacze patrzyli jeden na drugiego.

"Nie ja, nie, tylko nie ja!" - Amery wpadł w panikę.

Weszło ich pięciu. Ewart na czele. Jego pałka stuknęła delikatnie; ostry zapach fajki, niesiony przeciągiem, powiał im w twarz. Gryząca woń tytoniu przywodziła na myśl zbombardowane miasto i śwąd płonących ciał.

Ruina, nic poza tym. Przez kamienną podłogę z trudem przedzierały się kielkujące chwasty. Rozbite drzwi prowadzące z jednego większego pokoju do następnego. Wszystko pokryła gruba warstwa kurzu i pajęczyny wiszące między belkami.

Wszystkie meble dawno zniknęły. Ciszę przerywały jedynie głuche odgłosy kroków i stukot pałki Ewarta. Spróchniałe schody i zmuszane stropy zaskrzypiały pod ciężarem poszukiwaczy, jak gdyby protestując przeciw intruzom naruszającym spokój. W sypialni pozostała jedynie 14

metalowa, zardzewiała rama łóżka. Ktoś kiedyś w nim spał, może nawet się kochał. Widziało narodziny, prawdopodobnie i śmierć. Teraz jego czas już minął. Pozostanie tam na zawsze.

Nic. Tropiciele zeszli do holu, nie czekali nawet na starego, by sprowadził ich na dół, gdzie powitał ich zamglony blask słoneczny. Jest tu prawdopodobnie piwnica. Jeśli tak, nie wejdziemy tam. To prawie pewne, że nie ma tam nikogo, przynajmniej... nikogo żywego.

Uformowali się znowu w nierówny szpaler. Każdy z tropicieli czuł, że ich wysiłki są daremne. „Jego tu nie ma, skończmy z tym i wynośmy się z tego bezbożnego miejsca” - myślał niejeden.

Psy umilkły. Wyglądało na to, że udzielił im się nastrój ich panów. Victor zauważył, że zwierzęta nie podążały za nimi, gdy byli w ramach domku, lecz pozostały na zewnątrz. Teraz wszyscy bardzo się spieszyli, nawet Fred Ewart starał się dotrzymać im kroku.

Zapach był teraz bardziej intensywny, przesiąknięty zgnilizną butwiejących roślin. Zmuszał tropicieli do ciągłego spluwania. Niektórzy z nich znali go aż za dobrze. Zapach śmierci. Przynosił go tutaj wiatr po krwawej rzezi nocnego bombardowania.

Gwardziści przedzierali się przez gęste kępy trzciny, gdzie trudno było znaleźć przejście, omijali kałuże, które złowrogo bulgotały, gdy ktoś przypadkowo w nie wdepnął. Żadnych poszukiwań, po prostu uczucie nieodpartej potrzeby wydostania się z Droy Wood. Jeżeli Niemiec tu rzeczywiście jest, to na pewno tutaj pozostanie. Niejedna osoba już przepadła w tym lesie. "To 15

morderstwo z trzydziestego drugiego? Zamknij się! Niech cię cholera! Zatrzymaj swoje opowiadania na potem, gdy będziemy w "Dun Cow" - myślał Victor.

Wreszcie wydostali się poprzez trzciny na światło dzienne, gdzie kapitan Cartwright i jego towarzysze czekali na nich, siedząc na rozkładanych, myśliwskich stołeczkach. Wszystkich ogarnęło uczucie ulgi. Terier zaczął skomleć i biegać wokoło.

Ewart nabił fajkę świeżym tytoniem.

Victor Amery spojrzał na niebo. Z początku zdawało mu się, że w powietrzu wisi burza. Czerwony krążek słońca stawał się coraz ciemniejszy, aż w końcu zniknął zupełnie. Ale nie, chmur nie było, tylko macki mlecznej mgły nad wodą. Otoczenie traciło kontury.

- Ta cholerna mgła idzie od wybrzeża. - Głos Cartwrighta był pełen niepokoju. - Jeszcze godzina i będzie jak w listopadzie.

Myślę, że Szwab nam się wymknie. Ten cholerny las jest zbyt duży i gęsty. Trzeba całej armii, by go dokładnie spenetrować.

- On już nikomu nie przysporzy żadnych kłopotów. - Ewart zblił. - Nikt nie wydostanie się z Droy Wood, gdy opadnie mgła. Mieliśmy szczęście, kapitanie.

Teraz wyraźniej niż kiedykolwiek wszyscy czuli odór śmierci.

Rozdział I

Minęło sporo czasu, od kiedy Carol Embleton była ostatnio na dyskotecę. Nienawidziła tego, nie musiała tam być; mogła wrócić do małego domku rodziców. Mieszkała na skraju wioski. Ale ojciec i matka zadawali mnóstwo pytań, a teraz

dziewczyna nie miała nastroju, aby na nie odpowiadać.

Carol była wyraźnie czymś poirytowana. Jej kasztanowe włosy stawały się to żółte, to zielone, potem niebieskie w zależności od tego, jak z sekundy na sekundę błyskały kolorowe światła. Jej oczy, pełne furii iskrzyły się dzikimi błyskami. Potem kolory znikły, żarówki przygasły, a ona była jak rozkołysany, ulotny cień.

Można by wybaczyć przygodnemu widzowi stwierdzenie, że w tym półmroku dziewczyna wydawała się nieco za gruba.

Wysoka na jakieś pięć stóp i osiem cali, grubokoścista, ale na tle zwężającej się delikatnie talii jej kształtne piersi były pięknie zarysowane, kontrastując z szerokimi biodrami. Zwinna, wirująca z gracją, rzucająca wyzwanie rytmowi. Zagryzła z pasją usta aż do krwi.

Pieprzony Andy Dark! Wczoraj go kochała, dziś - nienawidziła z całego serca. Przed oczyma miała jego twarz. Nie była w stanie jej zapomnieć. Oto, co się dzieje z ludźmi gdy są zakochani. Ujmujący w swym, poniekąd szorstkim, sposobie bycia, długie, ciemne włosy, rzadzące na tyle głowy. (Zaczął łysieć przed trzydziestką, ale do diabła z tym!) Szczupły, zawsze ubrany w dżinsy i grubą, kraciatą koszulę. I nieodłączna lornetka.

Zawsze ten sam, zwodniczy szept:

17

- Przykro mi, ale tej nocy to nie wypali, kochanie, będzie tu zespół przyrodników. Przyjechali aż z Sussex aby filmować tę kolonię borsuków, o której ci już wspominałem.

"Nie wspominałeś o niczym, a nawet jeśli, to i tak nie słuchałam bo nic mnie to, cholera, nie obchodzi -myślała Carol. -

Większość dwudziestoletnich chłopaków kończy pracę o piątej i zabiera gdzieś swoje dziewczyny, aby razem spędzić wieczór. Dziewczyny, nie narzeczone, bo ja, na przykład, zdjęłam obrączkę i zostawiłam ją w domu. Odeślę ci ją jutro z powrotem. To nie będzie przesyłka polecona i jeśli zaginie gdzieś na poczcie - twoja strata".

Carol spocona zrobiła kilka kroków tu i tam, szukając wolnego miejsca. Ci gówniarze, którzy przyszedli z pubu naprzeciwko, rozsiadli się wygodnie na podłodze, zajmując sporo przestrzeni. Dziewczyna w żaden sposób nie chciała sprawiać wrażenia, że byłaby skłonna zatańczyć z którymś z nich. Wiele dziewczyn tańczyło samotnie, bo tak lubiły. A tej nocy panna Emble-ton miała ochotę tańczyć sama.

Popęłniła duży błąd. Powinna była uświadomić sobie miesiąc temu, że tak będzie już zawsze, gdy zacznie spotykać się z funkcjonariuszem służby ochrony przyrody. Wszyscy oni byli poślubieni naturze. Ona była ich prawdziwą żoną. Przepraszam, jeśli wdarałam się pomiędzy ciebie i twoje borsuki, kochanie. Nie miej mi za złe zostanę w domu i poczekam na twój telefon. Będę grzeczną dziewczynką, nawet nie spojrzę na innego 18

mężczyznę. Jak cholera! Ale nie chciała dać się poderwać tym frajerom. Są w końcu pewne granice.

Przetańczyć cały świat! Kołysać się z boku na bok, aż do zawrotu głowy!

Może Andy nie traktował jej poważnie. W każdym razie, pewnie wkrótce zacznie, skoro obrączka zostanie odesłana. Gdyby tak nadać list jutro, mógłby dojść tam w środę. Żarty się skończyły! To zdarzało się zbyt często. Andy wcale nie musiał filmować w nocy borsuków z tymi palantami. On zawsze trzymał z tymi nieznoszonymi ludźmi, ingerując w przyrodę, bo jeżeli łażenie nocą po lesie z kamerami i oślepiającymi światłami nie zakłóca spokoju... Carol skrzywiła się, gdy czerwone, dyskotekowe światło rozbłysło jej znowu prosto w oczy i wtedy zrozumiała, co czuły te biedne borsuki...

Hipokryta. OK, był zdecydowany pójść, to była jego decyzja. Skończyliśmy ze sobą, Andy. Proszę, nie nachodź mnie więcej.

Jest mnóstwo innych dziewczyn, tak samo jak mnóstwo jest innych chłopaków, ale nie takie parowy jak ty.

Prezenter zmienił płytę na wolniejsze nagranie, romantyczny przytulaniec. To wspaniałe, gdy potrafi się być w romantycznym nastroju i trzymać fason mimo wszystko.

Systematycznie kierowała swe taneczne kroki na zewnątrz parkietu, spoglądając przez moment na zegar w dalekim końcu holu. Wpół do dwunastej. Dyskdo-kej będzie to grał przez najbliższe pół godziny. Jeżeli szłaby do domu powoli, wszyscy położyliby się spać przed jej powrotem. Chryste, nie chciała spotkać żadnego z domowników, ani słuchać ich kazań:

19

- To tylko mała sprzeczka. Teraz idź i wyśpij się. Rano wszystko będzie wyglądało zupełnie inaczej. Andy to taki miły chłopiec, nie zdajesz sobie sprawy, jakie miałaś szczęście, Carol.

Możliwe, że Andy był miły, jeżeli nie miało się nic przeciw dzieleniu go z borsukami, lisami i innymi stworzeniami, które od czasu do czasu bez reszty pochłaniały jego uwagę.

Drzwi do garderoby się nie domykały i musiała pchnąć je z całej siły. Nie domykały się zawsze, odkąd pierwszy raz Carol poszła na dyskotekę, kiedy miała czternaście lat. Cała wioska była taka sama, ludzie nie chcieli niczego zmieniać, czy było to dobre czy złe. Zupełnie tak jak Andy. Nawet gdyby miał sześćdziesiąt lat, chodziłby filmować coś po nocach. To chyba dość poważny powód, by zerwać zaręczyny.

Noc była sucha ale tak chłodna, że dziewczyna trzęsła się z zimna pod swoją kurtką z owczej skóry. Jesień dawała znać o sobie. Liście kasztanów tu i ówdzie pokryły już zagłębienia terenu. Kasztanowce zawsze pierwsze zaczynały tracić liście. Andy jej o tym opowiedział. Niech go diabli!

Nagle zdecydowała. Pójdzie do domu okrężną drogą, ulicą prowadzącą na północ, a później skręcającą w stronę posiadłości Droy. Księżyc był dostatecznie jasny, aby mogła widzieć drogę przed sobą. Teraz rodzice na pewno będą już w łóżku, kiedy wróci. „J wcale rano nie będzie inaczej, przekonam się, do cholery, że nie"-myślała.

Szła przez opustoszałą wieś, uświadamiając sobie 20

nagle, że wioska straciła swój dawny urok. Carol mieszkała tu przez dwadzieścia lat, spędziła zaledwie jedną noc poza domem, nie licząc nudnych wakacji z rodzicami. Ale od czasu, gdy skończyła szesnaście lat, już nigdy więcej z nimi nie wyjeżdżała. Wakacje przestały ją w ogóle obchodzić. Właśnie tu popełniła wielki błąd. Wtedy Andy (cholera, nie mogła pozbyć się go ze swego życia, zabierze jej to pewnie całe miesiące) pojawił się w jej życiu. Uniwersyteckie wykształcenie, podróżę po Afryce i Środkowym Wschodzie, wszystko opłacone z funduszy rządowych, aby mógł prowadzić obserwacje czegoś, co wcale nie chciało być obserwowane. I oto, co zrobiło się z niego!

Postrzępione chmury przesłoniły nieco okrągłą tarczę księżyca, oblewając pobliską okolicę migotliwym blaskiem. Po obu stronach wzniesienia pochyłe nierówności przechodziły w urwisko, a dalej stawały się już prawdziwymi górami. Ciemne zarysy lasu, ostoi lisów i jeleni. "I borsuków" - pomyślała dziewczyna.

Andy, żalony skurwysyn i to wszystko tam śmierdzące zupełnie jak on, jak gdyby przez niego dotknięte. Nie zwracała na to uwagi, kiedy zaczęła zabiegać o jego względy. Teraz nie było od tego ucieczki. A może jednak?

Elżbieta, szkolna przyjaciółka Carol, ukończywszy siedemnaście lat, spakowała się i wyjechała do Londynu, gdzie znalazła pracę. Nagle Carol przysłała do głowy pewna myśl. Nie było nic, co mogłoby powstrzymać ją od jutrzejszego wyjazdu.

"Londyn"-to brzmiało podniecająco. Była tam tylko raz na jednodniowej wycieczce, kiedy mieszkała w Potteries z wujkiem Do-21

nem i ciocią Ellen. Londyn był na tyle duży, by można swobodnie kierować swoim życiem, nie będąc ograniczonym przez jakiegoś pomyłonego podglądacza ptaków. Nie miała żadnych skrupułów. Rodzice musieliby się przyzwyczaić do jej nieobecności i znaleźć sobie coś nowego, czym mogliby się zająć. Nie miała pracy. Od czasu, gdy zamknęli fabrykę, panna Embleton była na zasiłku dla bezrobotnych. Większość młodych ludzi w Droy dzieliło jej los. Było niewiele szans na znalezienie pracy. Każdy znosił swój los, starając się czymś wypełnić czas. Właśnie teraz Andy nie miał odpowiedniego zajęcia. Obserwacja życia ptaków i zwierząt gdzieś w lesie, na wzgórzach, nie była pracą. Jedyne, czym Dark tak naprawdę się przejmował, to niszczenie przyrody, zastawianie sidła, pułapek, kłusownictwo. To... jasna cholera, zaczęło padać. Zimne strugi deszczu zacinały prosto w twarz, tak że Carol musiała postawić kołnierz kurtki, żalując, że zapomniała parasola. Teraz żałowała, iż nie wybrała krótszej drogi do domu. Ale było już za późno. Gdyby teraz zawróciła, szłaby jeszcze dłużej. I jakby tego nie było jeszcze dosyć, księżyc skrył się za chmurami. Dziewczyna widziała jedynie niewyraźny zarys drogi przed sobą. Było rzeczywiście tak ciemno, że mogła przejść obok, nie zauważywszy dziury w żywopłocie nie opodal Droy Wood, mijając nawet skrót przez pole, prowadzący prosto do wsi. Przez moment dziewczyna wpadła w panikę, ale zaraz się opanowała. Nie mogła przegapić przejścia, zbyt często tędy chodziła. Mogłaby iść z zamkniętymi oczu-22

ma. To było miejsce ich spacerów w pogodne wieczory. "Andy - pomyślała. - Chciałabym, żebyś teraz tu był. Nie kłam, nie chcesz go już nigdy widzieć. Skurwysyn!"

Jesienny deszcz, nagły, gęsty i zimny. Znak, że zima już niedaleko, choć to dopiero wczesny październik. Carol przyspieszyła kroku, czując, że przemokły jej dżinsy od kolan w dół. Do przejścia pozostało jej jeszcze co najmniej półtorej mili. Będzie zupełnie mokra, nim dotrze do domu. Miała nadzieję, że matka chrzestna nie czekała do jej powrotu. "Gdzieś ty była, Carol, zupełnie zmokłaś, a gdzie Andy?" -zapyta pewnie matka. Zamknij się mamo, wyjeżdżam z domu, będę mieszkała w Londynie i cokolwiek powiesz, nie zmieni to mojej decyzji.

I wtedy, z tyłu, usłyszała zbliżający się samochód, nadjeżdżający od strony wioski. Wciąż jeszcze był dość daleko, jakieś pół mili. Odgłos silnika przypominał brzęczenie jakiegoś natrętnego owada.

Panna Embleton zawahała się, spojrzała w kierunku pojazdu. Teraz mogła już zobaczyć światła, dwa błyskające snopy, jak przeciwlotnicze reflektory, przecinające mrok w poszukiwaniu nieprzyjacielskiego samolotu. Mimo woli dziewczyna zeszała na pobocze, pamiętając tych gówniarzy, którzy po zamknięciu pubu zjawili się w holu dyskoteki. Zbyt dużo wypili. Na pewno nie przeszliby pomyślnie próby z balonikiem. Pomijając to, że w Droy żaden gliniarz nie zatrzymałby ich, nawet gdyby ci staranowali tuzin samochodów na 23

głównej ulicy. A nawet jeśli, to i tak o wszystkim decydowałby komisarz Houliston.

Tak, to mogą być te gbury. Choć z drugiej strony, wcale nie muszą. I, jakby pomagając Carol podjąć decyzję, w tym momencie deszcz przybrał na sile, zupełnie jak w czasie burzy, siekająca ulewa. Dyskotekowe szlagiery znów zabrzmiały jej w głowie.

"Stary, złoty hit", ten, który dyskdotce puścił zaraz przed jej wyjściem.

Reflektory samochodu oślepiły ją. Zmrużyła oczy. Przez chwilę nie widziała zupełnie nic. Obroty silnika spadły. Wóz zwolnił, zaczął hamować, omal jej nie potracił. Usłyszała dźwięk otwieranych drzwi. Kierowca wychylił się. Był sam. "A więc to nie te dupki z holu" - pomyślała.

- Wyjątkowo brzydka noc jak na taki spacer. -Przyjazny głos z akcentem, którego Carol nie mogła skojarzyć, lecz z pewnością nie był to akcent mieszkańców okolic Droy. - Czy może robisz to każdego wieczora, dla kondycji?

- Nie. - Schyliła się, zajmując wolne miejsce obok kierowcy. Rzuciła szybkie spojrzenie do tyłu, jak gdyby spodziewając się znaleźć tam prostaków z dyskoteki. Ale nie było nikogo. Zupełnie przytulne miejsce, jak na mokrą, jesienną noc.

- Byłam na dyskoteci w wiosce. Kiedy wychodziłam, nie padało. Miałam ochotę pójść spacerem do domu. Dłuższą drogą, okrężną- zaśmiała się. -To będzie dla mnie nauczka.

- Bez chłopaka? - zażartował mężczyzna i wrzuciwszy bieg, ruszył powoli z miejsca. 24

- Nie. Dzisiaj, posprzecaliśmy się trochę, ale mam nadzieję, że jutro wszystko będzie w porządku. - "Zaraz, dlaczego do cholery się wygadałam? Jutro wcale nie będzie OK, ponieważ wynoszę się stąd, nim znowu się w tym pograżę. Żegnaj Andy, twoja obrączka jest już na pocztce. Twoja obrączka, nie moja".

Carol spojrzała na kierowcę i zobaczyła profil człowieka, który z pewnością nie był starszy niż... „Jezu, czy Andy musi wszędzie się pojawiać?” Wyglądało na to, że miał na sobie garnitur, lecz bez krawata, kołnierz koszuli elegancko wysunięty na klapy marynarki. Krótka, starannie przystrzyżona broda. Nie, nie był ani trochę łysiejący, to było nie do przyjęcia. On nie jest zupełnie podobny do Andy'ego i wcale nie chcę żeby był". Chciała powiedzieć: "No, nie, to niezupełnie prawda, jutro nie będzie OK, bo nie chcę go już więcej widzieć". Ale to zabrzmiałoby głupio. Nie opowiadała się intymnych szczegółów swoich spraw miłosnych, szczególnie nieznanemu, który jedzie dokądś w nocy samochodem.

- Jakaś miłą stąd jest dziura w tym żywopłocie - powiedziała. - Jeżeli mnie tam wysadzisz, to będę miała tylko kilka minut do domu.

- W porządku. - Miała wrażenie, że mężczyzna się uśmiechnął, ale twarz kierowcy była skąpana w mroku. - Jak masz na imię?

- Carol. Carol Embleton.

- Ja jestem Jim. Jadę na północ, przede mną najprawdopodobniej cała noc za kółkiem. Miło jest zabrać kogoś i pogadać trochę, to przerywa monotonię. -25

Włókł się dwadzieścia pięć mil na godzinę, widać nie chciał jechać szybciej. Carol wcale to nie przeszkadzało. Była mu wdzięczna za miłe towarzystwo. Nawet dwadzieścia pięć mil na godzinę, ale zmierzała przecież do domu znacznie szybciej, niż piechota. Po prawej stronie, w świetle reflektorów widziała skraj Droy Wood. Pokręcone, skarłowaciałe drzewa zdawały się

sięgać do drogi swymi sękatymi, zdeformowanymi konarami, jak gdyby próbowały zatrzymać samotnych podróżników. Carol przejął dreszcz. Nigdy jeszcze tutaj nie była, nigdy nie chciała tutaj być. Nie pamiętała nawet, czy Andy kiedykolwiek wspominał, że zna to miejsce. To jedna z tych wilgotnych, przygnębiających okolic, których wszyscy unikają, nie tylko z powodu miejscowych przesądów.

- Chciałbym zatrzymać się na kilka minut na papierosa. - Wskazówka szybkościomierza opadła poniżej dwudziestu mil na godzinę. - Jeżeli ci to nie sprawi kłopotu, byłbym wdzięczny za towarzystwo. To będzie dla mnie długa, samotna noc. Zazdroszczę ci twojego miłego, ciepłego łóżka.

Włosy na głowie Carol Embleton zjeżyły się ze strachu. Poczwała w żołądku skurcz. Wreszcie złapała oddech, ale kiedy mówiła, głos zdrztał jej nieznacznie.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wołałabym nie. Moja rodzina na pewno na mnie czeka. No i mój chłopak może być tam z nimi... próbując załagodzić sprawę. - "Kłamaczuha" - skarciła w myśli sama siebie. - Ostatnio, kiedy wyszłam sama... jeszcze przed północą zadzwonił na policję. Było mnóstwo kłopotów. 26

- To tylko pięć minut. - Mężczyzna zdecydowanym ni-chem skręcił kierownicą w prawo, zjeżdżając na coś w rodzaju polanki o miękkim podłożu, porytej koleinami po parkujących tu wielkich ciężarówkach. Teraz było tu pusto.

-Nie... proszę...

- Nie będziemy dłużej niż minutę czy dwie.

- Mogę już stąd dojść piechotą. To tylko kilkaset metrów.

Carol w nagłym przypływie paniki pociągnęła za klamkę i wtedy silne palce oplotły przegub jej ręki. Zimny dreszcz. Strach. Nie była w stanie nawet krzyknąć i nie mogła znaleźć rygła.

- Chcę tylko porozmawiać. - W każdej innej sytuacji ton nieznanego wpłynąłby na nią uspokajająco, gdyby nie uścisk wbijający się w jej rękę z dzikością chińskiego ognia. - Widzisz, gdy jestem w drodze, nie mam zbyt wielu okazji do pogawędki. Często jadę nocą, śpię w ciągu dnia. Powoli staję się samotnikiem. Czasami musisz z kimś rozmawiać..., bo inaczej zwariujesz.

- Tak, ja... myślę, że masz rację. - Naciskała całym ciałem na drzwi, marząc o tym, by nagle się otworzyły i jak katapulta wyrzuciły ją na zewnątrz. Wtedy pobiegłaby, daleko, jak najdalej.

- De masz lat? - Pochylił się do niej bliżej tak, że mogła poczuć tchnienie jego oddechu, słodki, miętowy zapach, gdyż nieznanomy właśnie żuł gumę.

- Dwadzieścia.

-1 założę się, że nie jesteś dziewczcą, co? - Natarczywe pytanie, które w innej sytuacji spowodowałoby ostrą ripostę dziewczyny. Ale nie teraz.

27

- Nie... nie jestem. Ale nie jestem też dziwką.

- A ten twój chłopak, z którym się pokłóciłaś... czy pieprzy cię regularnie?

Odwróciła głowę, nie chciała spojrzeć mu w oczy. To chyba figiel księżycy sprawił, że oboje wydawali się błyszczeć, świecić w przerażającym, pożądliwym szaleństwie. , Jesteśmy... ze sobą związani".

Coś ścisnęło ją za gardło, przeszkadzało mówić. Przełknęła ślinę.

- On nie jest jedynym, który cię rznął, a może...?

-Posłuchaj, ja...

- Odpowiedz mi! - syknął. Podmuch miętowego oddechu uderzył ją w twarz. - Chcę tylko, abyś odpowiadała na moje pytania.

- Dobrze. - Panna Embleton zdrztała ze strachu. -Nie, zaczęłam bawić się w seks, kiedy... kiedy miałam szesnaście lat.

Chłopak spoza wioski. Tylko raz, potem już nigdy tego nie robiłam, dopóki nie poznałam Andy-*ego. A teraz, kiedy już ci powiedziałam, pozwól mi odejść!

Przez chwilę było cicho. Mężczyzna szperał w schowku naprzeciw niej, wreszcie znalazł to, czego szukał. Widziała, jak wyciągnął coś, co wyglądało jak zmięta chustka do nosa. Wcisnął to w prawą rękę dziewczyny. Chustka była ciepła i wilgotna.

- Wiesz, co to jest? - Jego głos był teraz ledwie słyszalny. - No dalej, powiedz mi. Spróbuj zgadnąć, jeśli nie wiesz.

- To jest... to jest męska chustka do nosa - odparła i pomyślała: "O Boże, to wariat. Gdyby tylko Andy wy-28

szedł teraz spośród drzew, mówiąc: «Musieliśmy przerwać filmowanie. Było zbyt wilgotno. Trzeba spróbować następnej nocy»\ Ale Andy Dark nie przyszedł. Nie mógł tutaj przyjść.

- Cholerna racja! - zachichotał kierowca, po czym jego głos znowu powrócił do tamtego podnieconego szeptu. - Ale to nie wszystko... Widzisz, ja... spuściłem się w nią, jakieś dziesięć minut temu, zanim wsiał. Wilgotna chusteczka wypadła jej z dłoni.

"O Boże, proszę, nie. Czytasz o takich facetach w codziennej gazecie, wmawiasz sobie, że w rzeczywistości ich nie ma, a jeżeli nawet, to nigdy nie spotkasz żadnego z nich". I nagle dla Carol Embleton stało się to realne.

- Nazywam się James Foster. - Lodowata nutka dumy w jego głosie. - Można było o mnie przeczytać i zobaczyć moje zdjęcie w gazecie. Nie mogłaś tego przeoczyć. Zgwałciłem dziewczynę, ale sędzia puścił mnie wolno. Zrobiono wokół tego dużo szumu, bo społeczeństwo nie rozumie, nawet nie chce spróbować mnie zrozumieć. W zeszłym tygodniu zgwałciłem następną i teraz przeszkukują okolicę, ścigają mnie. Widzisz, ja ją zabiłem.

Carol omal nie straciła przytomności. Była zupełnie sama gdzieś w lesie, zdana na łaskę zbrojca i mordercy, którego nazwisko widniało na pierwszych stronach gazet. Pamiętała jego zdjęcie z telewizji. Rozpoznała go, chociaż było ciemno i nie mogła mu się dokładnie przyjrzeć. O miłosierny Boże!

- To była jej wina, że musiałem ją zabić - mówił ze skrucą. - Nie chciałem, naprawdę ją lubiłem. Ale 29

wrzeszczała i szamotała się. Gdybym ją puścił, poszłaby na policję. Teraz będą musieli się sporo natrudzić, aby udowodnić, że to byłem ja. Ty im nie powiesz, prawda? To pragnienie przyszło nagle, było bardzo silne-kontynuował. - Więc zjechałem z drogi, zatrzymałem się i spuściłem. Ale nie zrobiłem nic dobrego, nie dało mi to przyjemności i wiedziałem, że będę musiał znaleźć jakaś dziewczynę. Nie wierzyłem własnym oczom, gdy zobaczyłem kogoś tak ładnego jak ty. Powiedz mi, onanizujesz się, czy też twój chłopak zaspokaja cię tak, że nie potrzebujesz tego robić?

- Czasami - odrzekła i pomyślała: "Powiedz mu prawdę, nie masz nic do stracenia" - Od kiedy chodzę z Andy^m, nie tak

często jak kiedyś, gdy miałam kilkanaście lat. Każdy to robi od czasu do czasu, to żaden powód do wstydu.

- Spójrz, jak na mnie podziałała rozmowa z tobą. - Przesunął rękę Carol w dół. Zaciśnęła dłoń i niemal wyrwała ją z uścisku, gdy tylko poczuła twardą wypukłość w jego spodniach. Rozchylił jej palce, prowadząc je powoli w górę i w dół, wzdłuż naprężonego materiału.

- Założę się, że masz cudowną, małą cipkę... Carol. Serce waliło jej jak oszalałe. W każdej chwili może wpaść w histeryczny szal, a właśnie dlatego w zeszłym tygodniu zginęła tamta dziewczyna. Liczyła na odrobinę sprytu i przebiegłości, pamiętając o starym, wyświechtanym dowcipie, który jakaś aktorka filmowa była zmuszona być w życie: "Kiedy gwałt staje się nieunikniony, połóż się i miej z niego przyjemność". Carol Embleton oczywiście nie miała z tego 30

przyjemności, ale była zdeterminowana. "Trzymać się kurczowo życia tak długo, jak było to tylko możliwe. Andy, potrzebuję cię kochanie".

- OK, pozwolę ci - udawała podniecenie wywołane jego erekcją - ale tylko, jeśli obiecasz mi, że potem mnie wypuścisz. Obiecaj mi, a spróbuję i dam ci prawdziwą satysfakcję. W przeciwnym razie zacznę się wydierać i szarpać i będziesz musiał z tym skończyć, zabijając mnie. A wtedy nie pozostanie zbyt wiele do przetrzeźwienia, prawda?

- Obiecaję. - Zachowywał się jak uczeń, któremu nagle obiecano jakąś niespodziankę. - Pozwolę ci potem odejść. Obiecaję. Drżała ze strachu, odpinając sprzączkę swych dżinsów, próbując się zebrać.

"To będzie proste - myślała. - To nie jest James Foster, to tylko jeden z tych głupich gwałcicieli, o których fantazjowałaś kilka lat temu. To Andy, czujesz go, będziesz kochać się z pasją. To Andy... Andy... Andy..."

To był prawie Andy, on nawet smarował ją oliwą, żeby nie sprawić bólu, gdy w nią wchodził. Ale kiedy byli już jednym ciałem, Andy zniknął, a pożądliwe widmo Jamesa Fostera pojawiło się znowu: intensywny, miętowy zapach omal jej nie udusił. James przygniół ją, przyciskając jej piersi tak długo, aż dziewczyna krzyknęła głośno, z nadzieją, że mężczyzna zrozumie ten odgłos jako objaw orgastycznej ekstazy. | "Musisz go zadowolić, to twoja jedyna szansa, by pozostać przy życiu". Poruszał się coraz szybciej, leżąc na niej i błyskając oczyma, a jego ciało pokryło się potem. 31

Jego dłonie pieściły szyję Carol. Niemal krzyczała, kiedy zaczął masować i szczypać jej piersi.

Nagła myśl, mały płomyk nadziei, bo nie było nic, czego można by się uchwycić. Zaczęła udawać jęki rozkoszy, nienawidząc go jednocześnie za każdy głębszy mch. W jakiś sposób zdołała ułożyć się w takiej pozycji, że siedzieli teraz twarzami do siebie. Wtedy ona była na nim.

O Chryste, to było okropne, odpychające. Próbowwała o tym nie myśleć. "Muszę to zrobić, jeśli chcę pozostać przy życiu. Ty sukinsynu, zabiłeś dziewczynę, ale mnie już nie zabijesz". Zwiększając tempo, poczuła w sobie pulsującą nabrzmiałość, aż przeszedł ją dreszcz, zbliżał się orgazm.

I wtedy nadszedł moment, na który czekała, gwałtowne przeszywające ciepło wytrysku, jego palce przyciskające ją namiętnie. Wyliczyła czas perfekcyjnie, schodząc z niego jednym, szybkim szarpnięciem, odepchnęła mężczyznę, w tym samym czasie naciskając klamkę drzwi, całym swym ciężarem napierając na nie, by się otworzyły.

Foster sięgnął ręką, próbował pochwycić dziewczynę, lecz nie dał rady i wtedy Carol była już wolna, biegnąc nago w mrok deszczowej, jesiennej nocy. Pędziła na oślep, wykorzystując przewagę tych kilku sekund po przerwaniu szczytowaniu.

Piętnaście, może trzydzieści sekund ulgi, czas trwania męskiej ejakulacji, która go tam zatrzyma. Potem gwałciciel pewnie ruszy za nią, aby dokonać straszliwej zemsty na dziewczynie, która poniżyła go, opuściwszy w momencie największej rozkoszy. 32

Dziki, karkołomny bieg. Wpadała na drzewa. Grzęzła w głębokim błocie. Dopiero po kilku minutach uświadomiła sobie, że uciekając w panice, znalazła się w Droy Wood. Za późno, by wracać po własnych śladach. "O Boże, jaka jestem głupia - pomyślała - Nie, lepiej zostań tutaj. Masz większą szansę w gęstym lesie, z mnóstwem kryjówek. Tam, na drodze, dopadnie ciebie ten z samochodu!".

Nasłuchiwała, drżąc ze strachu i zimna. Na początku cisza, potem usłyszała kroki mężczyzny. Przywarła z całej siły do pnia ogromnej olchy. Domyślała się, że mężczyzna biegnie jak opętany, to w jedną, to w drugą stronę. Ale w rzeczywistości Foster stąpał pewnie i rozważnie, coraz bardziej zbliżając się do swej ofiary jak myśliwy do zranionej zwierzyny, która ugrzęzła w głębokim bagnie. Słaba, księżycowa poświata, odbijająca się w kałużach, kontrastowała z ciemnymi plamami cienia.

Był bliżej, coraz bliżej. "Och, dzięki Bogu, że nie zatrzymał się, aby znaleźć latarkę, zanim wyruszył w pościg." - Zamknęła oczy, daremna nadzieja, że nie będzie tego widział. - "Och, Andy, gdzie jesteś, kochanie? Tak mi przykro, przepraszam."

Jej prześladowca był już o kilka jardów od miejsca, gdzie się ukryła, usłyszała wyraźnie jego ciężki oddech. Przystanął. Carol skuliła się jeszcze bardziej;

z pewnością odnajdzie ją lada chwila.

Ale gwałciciel nie zbliżył się bardziej. Przeszedł obok. Klął jak szewc, odgarniając gęste gałęzie, które łamiąc 33

się, wydawały odgłos podobny do strzału z pistoletu. Minął swoją ofiarę, szedł coraz głębiej w las.

Carol Embleton nie miała jednak nadziei, wzmówiła sobie, że w końcu mężczyzna musi ją odnaleźć. Ale odgłosy jego poszukiwań stawały się coraz bardziej odległe, aż w końcu zupełnie ucichły. Ulga przeszła w euforię. Dziewczyna była żywa, wolna; pozostało jej tylko wycofać się po własnych śladach do drogi i biec, dopóki nie dotrze do przejścia. Chmury znów przysłoniły księżyc. Padał coraz gęściejszy deszcz. Wokoło widziała jedynie cienie. Droga nie mogła być daleko. Pięćdziesiąt jardów, w linii prostej może nawet mniej. Dziewczynę znowu ogarnęła panika. Tędy, na pewno...? Nie, nie tędy, ale którądy? Gdyby tylko wciąż mogła słyszeć oprawcę, wtedy wiedziałaby, w jakim pójść kierunku. Ale nie było słyhać nic. Martwa cisza. To musiało być tam. Najwyżej pięćdziesiąt jardów.

Spróbowała przesunąć się po cichu naprzód, ziemia była zimna i błotnista, deszcz zaczynał w twarz. Ślizgając się, o mało nie upadła, gdyby nie chwyciła zwisającej nisko gałęzi. Gałąź zatrzęszczała, ale nie pękła. Carol wciąż grzęzła. Z ziemi wydobywały się najprze-dziwniejsze bulgoty i mlaskania oraz obrzydliwy zapach stęchlizny.

Wciąż moczary. W niektórych miejscach głębsze, tak że musiała się wycofać i szukać jakiejś drogi okrężnej. Prawdopodobnie bagno było większe niż sobie wyobrażała. Ale być może to tylko kilka jardów...

Jednak nie. Głębokie błoto i chlupoczące kałuże. Wciąż nasłuchiwała, lecz nie zdołała wyłowić żadnego 34

odgłosu kroków gwałciciela. Z prawej strony grunt był twardszy. Zachęcał do biegu. Spojrzała na księżyc, wciąż skryty za

chmurami.

I wtedy zapadła się po kostki w kolejnej plamie mułu. O mało nie krzyknęła w ataku hysterii, gdy zdała sobie sprawę z rzeczywistości: zgubiła się! To niemożliwe. A jednak było to prawdą.

Deszcz zaczął teraz niemal poziomo, pluskając głośno w kałuże wokół niej. Dziewczyna próbowała iść naprzód, lecz musiała dać za wygraną - było zbyt głęboko. Spojrzała w lewo, lecz natknęła się tylko na kolejne, bagienne "oczko".

Wreszcie zabłądziła na trawiasty pagórek. Wilgotny, lecz stały grunt całkowicie pokryty łoziną, która nie zrzuciła jeszcze swych liści, osłaniając Carol od wiatru i deszczu. Zapadając się oplakiwała swoje beznadziejne położenie. Przycupnęła i zwinęła swoje nagie ciało w kłębek. Zimno, wyczerpanie, strach, wszystko to dawało się Carol we znaki. Ogarnęła ją nagła, nieodparta senność.

"Nie mogę tu zostać - pomyślała. - Ale będę musiała, nie mam żadnego wyboru. Umrę na zapalenie płuc. Ale coś znacznie gorszego mogłoby się zdarzyć, gdybym zupełnie zabłądziła w Droy Wood po ciemku. Będę musiała tu zostać aż do rana".

Wciąż nasłuchiwała. Nic, tylko dźwięki, które były zapewne odgłosami zwierząt, wiatru, deszczu, chlupotem wody. Zamknęła oczy, jakby w obawie, że mogłaby coś dostrzec w ciemnościach tej okropnej nocy.

Modliła się o nadejście świtu; w końcu zmorzył ją sen.

Rozdział II

Andy Daric i jego towarzysze, krótko po północy zakończyli obserwację borsuków. Tej deszczowej, wietrznej nocy zwierzęta nie chciały opuszczać swoich legowisk. Co prawda kilka sztuk wyszło na zewnątrz, jednak zniechęcone deszczem wróciły do swoich nor. Czekali jeszcze dwadzieścia minut, lecz żaden się więcej nie pojawił.

- Tracimy czas - powiedział Andy. - Prawdopodobnie wyjdą jeszcze w nocy, aby coś zjeść, ale z pewnością nie będzie to nic, co warto byłoby sfilmować.

- Może w takim razie spróbujemy jutro? - Wysoki mężczyzna w długim, przeciwdeszczowym płaszczu najwyraźniej nie miał ochoty rezygnować z okazji.

- Jeśli będziemy próbować każdej nocy, prędzej czy później trafimy na coś ciekawego.

- Bardzo proszę, możecie sobie wrócić jutro - odparł szorstko strażnik. - Mam zajęty każdy wieczór w tym tygodniu, ale cieszę się, że będziesz próbował. Sam.

Andy był bardzo niespokojny, prawie wściekły. Carol czuła się zaniedbywana przez niego, a on nie mógł jej mieć tego za złe. Strażnik przyrody musiał być gotowy do usług na każde wezwanie nie tylko obywateli, lecz praktycznie każdej organizacji mającej jakiś związek ze środowiskiem naturalnym. Przybysze z Sussex chcieli coś zobaczyć, więc trzeba było pójść i pokazać im to. Nikogo nie obchodziło, że ty też możesz mieć swoje prywatne życie. Byłeś sługą wszystkich przez dwadzieścia godzin na dobę.

- Wolelibyśmy pozostać tu trochę dłużej - powie-36

dział jeden z przyrodników. - To wstyd, tak szybko się zniechęcać.

- Dobrze. - Andy zrezygnowany skinął głową. - W takim razie czekamy jeszcze godzinę.

W rzeczywistości jednak byli tam jeszcze trzy godziny. Kilka razy jakiś borsuk wylazł z nory, aby coś zjeść, lecz zaraz chował się z powrotem.

Była za kwadrans czwarta nad ranem, gdy Andy Dark zaparkował wóz naprzeciwko swojego bungalowu. Nawet, gdy wyłączył silnik, był przekonany, że słyszy gdzieś dzwonek telefonu. Andy "emu wydawało się, że człowiek, który wykręca numer jest bardzo niecierpliwy i że rozmówca nie odwiesi słuchawki, dopóki ktoś nie odbierze. O tak wczesnej porze musiało to być coś pilnego.

Andy starał się jak najszybciej przekręcić klucz w patentowym zamku. Niech to cholera! Miał go nasmarować już ładnych parę tygodni temu, teraz musiał użyć siły, aby zamek zaskoczył. Telefon na stoliku w holu wzywał. Przecucie nieszczęścia kazało Andy'emu zwlekać z podniesieniem słuchawki, gdyż wiadomości o takiej porze są zawsze złe. Tak jak tamtej nocy, gdy zadzwonili ze szpitala aby go powiadomić o śmierci ojca. Potem przez kilka miesięcy echa tamtej rozmowy prześladowały Andy'ego w snach. Teraz mogło być podobnie.

W końcu mężczyzna przełamał opory. Podniósł słuchawkę. Powiedział półszeptem:

-Halo.

- Andy? - Zmartwiony głos Billa Embletona, ojca Carol.

- Tak. O co chodzi. Bili?

37

- Gdzie jest moja córka? -, Jeśli jest z tobą, to jesteś zwykłym sukinsynem. Choć mam nadzieję, że nocowała u ciebie, wtedy byłaby przynajmniej bezpieczna** -myślał zapewne Embleton.

- Carol? Nie widzieliśmy się dzisiejszej nocy... -Głos Andy'ego Darka zawisł w próżni, a żołądek zaczął uciskać jak wielka piłka. Uczucie, które przyprawiło mężczyznę o mdłości.

- Nie było mnie... Filmowaliśmy borsuki... nie widziałem Carol...

Obaj nagle zamilkli, owładnięci nagłą obawą. Czuli, że obaj byli świadkami jakiegoś nieszczęścia. Nie mogli wydusić z siebie ani słowa. Mieli nadzieję, że to uczucie zaraz minie, tak samo nagle, jak się pojawiło.

- Zaraz tam będę - Andy pierwszy przerwał to okropne milczenie, po czym odłożył słuchawkę i pobiegł z powrotem do samochodu. Ruszył ostro. "O Jezu Chryste, żeby tylko nic się jej nie stało - pomyślał. - To moja wina, ci pieprzeni idioci, zachciało im się filmować borsuki... Powinienem im powiedzieć, żeby się odpierdolili lub zostawić ich w cholere".

Prowadził bardzo nerwowo. Wozem zarzucało na zakrętach. Krople deszczu iskrzyły się w światłach reflektorów. Jechał wzdłuż Droy Wood, minął niewielkie auto stojące na leśnym parkingu, lecz nie zwrócił na nie uwagi, wcale go nie obchodziło. Teraz najważniejsza była Carol.

Puste, wiejskie dróżki, domy, które zdawały się opustoszałe, bez żywej duszy, jakby jedynym mieszkańcem Droy była śmierć. Straszne... Wóz wpadł na wąż-38

ską, zwirową drogę prowadzącą do drewnianego, czar-no-białego domku o jasno oświetlonych parterowych oknach.

Bili Embleton czekał w drzwiach, wysoki, szpakowaty. Opierał się na klamce, jego postawa zdradzała niepokój.

- Ona... nie przyszła do domu. - Głos mężczyzny przeszedł w szept. - Dokąd, na Boga, mogła pójść?

- Nie panikuj. - Andy przecisnął się obok niego, skinął głową do Joan Embleton, która właśnie stanęła na schodach. - Jest bardzo wiele miejsc, do których mogła pójść, raczej bezpiecznych. Nie była w najlepszym nastroju. Widzicie, dziś w nocy musiałem poprowadzić ekipę badaczy borsuków.

- Och, rozumiem. - Chwilowa ulga na twarzach obojga Embletonów. - Może w takim razie, po prostu gdzieś sobie poszła, mogła nawet zostać na noc u Thel-my Brown. Kiedyś były dobrymi przyjaciółkami. -Matka dziewczyny spojrzała w kierunku telefonu.

- Tak, ale nie możemy przecież dzwonić o tej porze. - Andy skrzywił się. - W każdym razie, będzie to pierwsze miejsce, które sprawdzę rano.

- Wcale nie zachowywała się dziwnie. - Joan Embleton zeszła kilka stopni w dół. - Myślałam, że wychodziła z tobą, chociaż to zabawne, pomyśl sam: wcale po nią nie przyszedłeś. Po prostu wyszła, nie było jej po-(tem w domu).

- Sprawdzę to zaraz z rana. - Andy Dark odwrócił się w kierunku otwartych drzwi. Stojąc tam, nie zmieniliby niczego, gubiąc się w domysłach. Carol wyszła roz-39

drażniona, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa była gdzieś zupełnie bezpieczna. Wiele dziewczyn postępowało podobnie pod wpływem nagłego impulsu. - Zadzwoń do was natychmiast, gdy tylko będę coś wiedział.

Wracał powoli do swojego bungalowu. W głowie wciąż jednak kłębiły mu się różne myśli. Przy Droy Wood wciąż stał zaparkowany mini morris. Prawdopodobnie zakochana para. Andy zazdrościł im.

- Ale poszła na dyskotekę! - Na piegowatej twarzy Thelmy Brown malowało się zdziwienie, gdy wciąż stała w drzwiach, czesząc swoje długie, piękne włosy.

- Na dyskotekę?! - zawołał Dark z niedowierzaniem. - To zupełnie nieprawdopodobne! - Nagła obawa kazała mu zapytać: -Zkim?

- Z nikim. Tak długo, jak ją widziałam, była sama. Wydawało mi się to trochę dziwne, przynajmniej. Ja byłam z Johnem, moim chłopakiem, inaczej podeszłabym do niej i spróbowała porozmawiać. Tańczyła sama, sprawiała wrażenie kogoś, kto naprawdę dobrze się bawi.

- Kiedy wyszła?

- Nie jestem tego pewna. John i ja byliśmy do końca, więc wiem, że już jej nie było. Rozglądałam się za nią, gdy zapalili światła. Dobry Boże, chyba nic się jej nie stało, prawda?

- Mam nadzieję, że nie. - Przez moment mężczyzna poczuł się słabo, oparł się o framugę drzwi. - Mogła po prostu u kogoś zostać, nie wiem... 40

- Może powinieneś zawiadomić policję...

-Najpierw muszę dokładnie sprawdzić sam, inaczej mógłbym wyjść na głupca. - Uśmiechnął się blade. -Popytam w wiosce, może ktoś widział, którą wracała z dyskoteki. A potem, jeśli się nic nie wyjaśni...

Już nic nie wiedział, nie miał nawet ochoty na to, aby przemyśleć tę sprawę. Po prostu modlił się w duchu, by Carol odnalazła się cała i zdrowa.

Zwykła, mała wioska w jesienny poranek, gospodynie zmywające frontowe schody, kobiety prowadzące dzieci do szkoły.

Przyzwyczajenia, których nikt nie chciał zmieniać, ponieważ były integralną częścią ich życia, ich własnego, małego świata.

- Dzień dobry, panie Dark. - Starsza kobieta w podwiązanej żółtej chustce, przywitała strażnika. - Mówiłam właśnie naszemu Bertowi, że widzieliśmy twoją narzeczoną, jak przechodziła tędy zeszłej nocy.

Andy zdrętwiał. Tutaj, w Droy, mieszkańcy wioski niczego nie mogli przeoczyć, ich uwadze nie uszedł nikt, kto mijał ich domy. Niektórzy prowadzili nawet coś w rodzaju ewidencji obcych samochodów. Zajęcie, które miało urozmaicić nieco ich nudę.

- Widziała pani Carol?

- O, tak... ale może nie powinnam o tym mówić, padnie Dark. Ona .była sama. Pomyślałam sobie, że to dziw-l, ne. To wszystko. Ale to przecież nie moja sprawa... | - W którą stronę poszła? - Twarz Andy^go Darka przybrała groźny wyraz.

- Niech pan posłucha, ja nie chcę plotkować. - Ko-41

bieta zarumieniała się zakłopotana. - Mówiłam już, że to nie moja rzecz i nie chcę być powodem sprzeczki między wami. Tak wyszło, że się wygadałam, a teraz tego żałuję.

- Niech mnie pani posłucha - powiedział głośno Andy. Ogarnął go gniew na kobietę, która przecież mogłaby nagle zatrzasnąć mu drzwi przed nosem. - Carol Embleton zniknęła. Jej rodzina się martwi. Próbuje ją odnaleźć.

- Och! W takim razie... no, nie mogę powiedzieć dużo więcej ponad to, co już powiedziałam, panie Dark. Szła dość szybko, wychodziła z wioski. Wydawało mi się to bardzo dziwne, bo gdyby szła do domu, skręciłaby na Thorn Street. Więc powiedziałam do mojego Berta, że wygląda na to, iż panna Carol idzie na piechotę całą drogę aż do domu pana Andy'ego. O takiej porze będzie musiała przechodzić obok Droy Wood. Wie ^>an, co mam na myśli...

Obok Droy Wood!

Andy poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. W ustach miał gorycz. Patrzył wciąż przed siebie, ale nie widział już drogi. Tylko Droy Wood, ciemny i straszny, wciąż cuchnący stęchlizną. Zapach śmierci.

- Czy dobrze się pan czuje, panie Dark?

- Nic mi nie jest - skłamał, uruchamiając silnik wozu.

- Jeżeli nie dotarła do pańskiego domu...

- Pewnie zmieniła plany. - Strażnik włączył bieg. -Dziękuję za pomoc. Jestem pewien, że odnajdę ją całą i zdrową. Ruszył, przeklinając jakiś samochód zaparkowany 42

tak, że tarasował prawie całą drogę. Andy musiał więc czekać, aż przejedzie powolny wózek mleczarza, by ominąć przeszkodę. Szarpiąc kierownicą, jakby chciał ją przepołówić, podążał krętą, wąską drogą wychodzącą z Droy. Rozglądał się na wszystkie strony, zbierając myśli. Jeżeli Carol szła tą drogą, to niewątpliwie zmierzała w kierunku jego bungalowu. Ale jeśli wiedziała, że Andy'ego nie ma w domu, więc po co? Misja pojednawcza? Nie znalazł też żadnej kartki wepchniętej pod drzwi, na pewno by ją zauważył. Mogła pójść przez pola na skróty, prosto do domu. Ale nie poszła. Boże wszechmogący!

Droy Wood wynurzył się z półmroku. Ten mini morris wciąż był tam zaparkowany, lecz w wozie nie było nikogo. Możliwe, że samochód został ukradziony i teraz złodziej go porzucił. Przecież auto mogło się zepsuć. Pod wpływem nagłego impulsu strażnik skręcił kierownicę i zjechał na pobocze. Na siedzeniach samochodu pozostawione były jakieś ciuchy, garnitur, para dżinsów, bluza... o Boże!
Wyskoczył z land-rovera, silnym szarpnięciem otworzył drzwi. Wypadła wilgotna, biała chustka, lecz Dark zignorował ją. Wsiadłszy do auta, chwycił w dłoń tę niebieską bluzę, bojąc się na nią spojrzeć.
To Carol! Ale bluza wcale nie musiała należeć do Carol, takie rzeczy produkowano masowo, można je kupić dosłownie wszędzie. Słaby zapach piżma. Carol zawsze używała perfum z piżmem. Tak jak i wiele innych dziewcząt. Próbując wmówić sobie, że te rzeczy nie należą do jego narzeczonej chwycił się każdego 43

szczegóły, który by to potwierdził. Sprawdził sprzączki u paska, czerwone majtki i buty.
Wreszcie musiał przyjąć do wiadomości: te rzeczy są własnością Carol Embleton.
Zamarł ze strachu. Nie był w stanie się ruszyć, po prostu siedział i patrzył nieruchomo w jeden punkt. Nie miał co do tego wątpliwości. Carol była w tym samochodzie, została rozebrana do naga. Teraz nie było jej tu.
I wtedy jego wprawne oczy przyrodnika uchwyciły coś w błocie. Ślady bosych stóp. Wyszedł z auta i pochylając się zaczął odczytywać ślady z taką wprawą, jak niektórzy czytają książki. Ślady Carol to te mniejsze, częściowo zadeptane przez duże, ciężkie. Prowadziły do Droy Wood!
Poszedł naprzód jeszcze kilka kroków, tu zaczynała się trawa i trzciny. Siady stóp wiodły w kierunku drzew.
Andy "emu zakręciło się w głowie. Carol i jakiś nieznamy facet weszli do lasu; on jej nie zabił, ale zawiókł ją tam, aby ukryć ciało dziewczyny. Chwilowa ulga. Ale dlaczego? Nie chodzi się do wilgotnego bagnistego miejsca, jakim jest Droy Wood tylko po to, aby się pieprzyć.
Zaszczoło mu w ustach i czuł, że cały drży. Ten las miał swoją ponurą, niesamowitą sławę. Dark nie wierzył we wszystkie ludowe opowieści, niemniej jednak to miejsce nie należało do przyjaznych i na sam jego widok cierpła skóra. Niektóre z trzęsawisk były bardzo zdradliwe. Tylko w zeszłym roku kilka owiec zabłąkało się tam, po czym przepadły bez śladu i była to prawda, a nie jakaś bujda. 44

Moment wahania. W takiej sytuacji powiadomienie Billa i Joan Embletonów o tym, co odkrył, byłoby równie okrutne jak bezsensowne. Mógłby wrócić i powiedzieć o wszystkim komisarzowi Houliston*owi, ale jedynym tego rezultatem byłoby przysłanie tutaj kon-stabla w celu prowadzenia poszukiwań, co tylko utrudniłoby sprawę. Przecież konstabi to stary bubek. Pozostało tylko jedno. Musiał wejść do lasu i poszukać dziewczyny. Choć nie był do końca przekonany o słuszności swej decyzji. Droy Wood rozciągał się na ogromnej przestrzeni co najmniej pięciuset akrów. Bagno pokryte lasem, otoczone wysepkami trzciny na obrzeżach. Cała armia mogłaby tu przepaść jak kamień w wodę. Starsi ludzie z Dun Cow opowiadali, jak w czasie ostatniej wojny zestrzelony pilot Luftwaffe wylądował w tym lesie na spadochronie i nigdy go już nie odnaleziono. "Według wszelkiego prawdopodobieństwa Niemiec wymknął się, zanim następnego dnia oddział Home Guard rozpoczął poszukiwania" - tłumaczył sobie Andy.
Ale perspektywa marszu w głąb lasu, nie była zbyt zachęcająca. Strażnik spojrzał w górę, ku niebu. Nocna ulewa już minęła. Poranek był duszny i mglisty. Lekko mżyło, wszystko to wyglądało jak jeden z tych cichych wczesnojesiennych dni, który wkrótce mógł przynieść pierwszą, typowo jesienną mgłę.
"Wystrzegaj się Droy Wood, gdy nadchodzi mgła znad morza" - mówiono.
Andy otrząsnął się, zbadał podmokły grunt, spoglądając na stratowane trzciny nie opodal. Na szczęście 45

miał na nogach swoje wellingtony, w których chodził na co dzień, gdyż miejscami woda była głęboka. Sięgała prawie po kolana. Strażnik próbował odpędzić od siebie obraz Carol błędzącej nocą w tym błocie. Jeżeli już nie żyła, to Dark nie chciał być tym, który odnajdzie jej ciało.

Rozdział III

Komisarz Jock Houliston nabiał swoją wielką fajkę. Starał się ją zapalić, ale wilgotny tytoń nie chwycił iskry. Policjant patrzył bezmyślnie na wielką mapę topograficzną wiszącą na jednej ze ścian posterunku. Nagle życie przestało być przyjemną ścieżką prowadzącą wprost do emerytury. A przecież wcale nie musiał tego wszystkiego robić.
Miał nadwagę i niezdrową cerę, mnóstwo popękanych żyłek na policzkach, nadających jego twarzy purpurowy kolor. Łysiejący, o zaokrąglonych kształtach, był z siebie dumny, że jest typowym jowialnym policjantem, ostatnim przedstawicielem tego ginącego gatunku wiejskich stróżów prawa. W następnym roku mieszkańcy Droy będą musieli zadowolić się jakimś młodzikiem z miasta, który będzie chciał pokazać swoją władzę. A wtedy skończą się nocne libacje "po godzi-nach" w pubie "Dun Cow".
Jock nie przeszkadzał w tych zabawach, aby ich uczestnicy mogli go potem utożsamiać ze "starymi, dobrymi czasami".
Westchnął cicho i jego twarz przybrała wyraz, jak gdyby komisarz był oficerem śledczym.
Sierżant detektyw Jim Fillery był osobą zupełnie niepozorną. Można by przejść obok niego na ulicy, nie zwracając nań uwagi. Jedyną cechą charakterystyczną sierżanta Fillery'ego były jego oczy, jasnoniebieskie, lodowate punkciki, które przesywały na wskroś każdego, na kogo tylko spoglądały. Trzy lata temu sierżant prowadził niezwykle śledztwo. Podczas przesłuchania, 47

więźnię oskarżony o spowodowanie wypadku, w którym zginęło siedmioletnie dziecko, upozorował upadek i uderzył głową o ścianę pokoju. Wtedy nastąpiły, jak zwykle, publiczne zarzuty o "brutalność policji".
Wyniki badań przeprowadzone przez biegłego sądowego dowodziły jednak, że podczas szamotaniny z Fillery'm więźnię pośliznął się i upadł, więc nie było powodu, aby obwiniać za to sierżanta. Pół roku później ranny zmarł nagle na skutek wylewu krwi do mózgu i wtedy podniosła się nowa fala protestów, rodzina zmarłego żądała rewizji wyroku i ponownego dochodzenia. Ale ich protest został odrzucony, a Fillery'ego zrehabilitowano. Twardy człowiek, pełen siły i samozaparcia- ale pewnego razu nieco przesadził.

- Na pewno w tej okolicy grasował Foster. - Głos sierżanta detektywa brzmiał cicho, lecz trzeba było słuchać uważnie, gdyż

Fillery nigdy niczego nie powtarzał dwa razy. - Ten wóz na skraju lasu, to ten skradziony w Stoke-on-Trent. Jestem całkowicie pewien, że nie znajdziemy tej dziewczyny żywej, chociaż mój zwierzchnik wychłostałby mnie za to, co powiedziałem. Może Foster zaskoczył ją w lesie i zabił, chociaż mordercy-zboczeńcy z reguły nie atakują nikogo, prócz upatrzonych ofiar. W każdym razie, dzisiaj wszystko się wyjaśni, nie mam żadnych wątpliwości, gdy tylko chodzi o Droy Wood. To miejsce ma bardzo złą sławę.

- O to właśnie chodzi - powiedział ze złością Houliston. - Droy Wood to bagnisty las z mnóstwem kryjówek.

- Zbadamy to dokładnie - warknął nerwowo oficer śledczy. - Zmobilizujemy wszystkich policjantów, 48

;alej okolicy oraz całą kompanię rekrutów z armii, rzy są cholernie szczęśliwi, gdy mogą zrobić coś zytecznego; do tego jeszcze parę najlepszych psów-picieli. Odnajdziemy dziewczynę i tego strażnika syrody, a jeżeli Foster jest tam także, to tym razem m się nie wymknie, zapewniam pana.

W głosie Fillery'go zabrzmiała teraz nutka osobi-;go rozgoryczenia. Pamiętał swoje ostatnie spotkanie lamesem Fosterem. Pewnego deszczowego, listo-dowego dnia sierżant aresztował Fostera pod zarzu-n gwałtu. Jeszcze jeden z tysięcy seksualnych zbo-ęńców, który powinien zostać wykastrowany. Ten smetyczny zabieg, powinien uspokoić zboczeńca na dś czas. Zamiast tego, sędzia dał mu wyrok w zawie-sniu, polecając go jednocześnie bacznej uwadze psy-iatrów. Głupi, stary palant! Następnym razem Foster ów kogoś zamordował, a teraz wyglądało na to, że po z kolejny był sprawcą morderstwa. Fillery także wy-srał się na to polowanie. Miał przeciwie osobiste pora-unki z Jamesem Fosterem; chciał być właśnie tym, 5ry go znajdzie nagiego, skulonego gdzieś pod krza-;m. Błagającego o litość, której nie powinien się spo-iewać. Choć dziesięć sekund sam na sam z nim!

- Nadciąga gęsta mgła znad morza - powiedział spójnie Houliston. - To bardzo zły czas na wyprawę do roy Wood.

-Słyszałem już te wszystkie bzdury, co to niby dzie-się w tym lesie, gdy pojawia się mgła. - Detektyw śmiał się chrapliwie. - To może jedynie sprawić, że isze zadanie będzie nieco trudniejsze. Ale przetrzys-49

niemy dokładnie cały las, każdy cholerny krzaka każd(kępkę trzciny. Jeżeli on tam jest, dostaniemy go. Ter bandyta nie ma szans.

Jock Houliston skinął w milczeniu głową. Od samego rana zjechało już tutaj mnóstwo pojazdów: policyjne radiowozy i furgonetki, wielkie, wojskowe ciężarówki Pod wieloma względami tropiciele byli gorsi od mordercy, gdyż motyw ich działania był ten sam: niezdrowe pożądanie. "Zupełnie jak sępy"- pomyślał Houliston.

I tak nagle Droy zwróciło na siebie uwagę całego kraju.

I nadciągnęła w ciągu nocy, ale nie opadła z nadejściem świtu. Nisko wiszący, biały obłok, który zdawaj się nagle urywać tuż przy krawędzi, gdzie las przylegał do drogi. To dziwny, niesamowity widok. Nawet przypadkowy obserwator nie miałby żadnych wątpliwości że ta mgła ukrywała czyhającego szatana. Zimna i wilgotna, niosła w sobie zapach gnijących, obumarłych szczątków procesu, który trwał od wieków i którego końca nie będzie nigdy.

Samochody stanęły wzdłuż całej drogi biegnące. skrajem lasu. Mini morris oraz land-lover wciąż jeszcze tam stały, teraz otoczone pomarańczową wstęgą policyjnej taśmy. Później zostaną usunięte.

Umundurowany wyższy oficer policji tłumaczył coi kilku młodym żołnierzom, co jakiś czas wskazując pałką tam, gdzie rozciągała się spowita bielą wielka gęstwina. W tyralierze wszyscy muszą trzymać się w zasięgu wzroku swych sąsiadów. Co pięćdziesiąt jardów 50

liał iść policjant z psem. Na wszelki wypadek rozsta-iono też dodatkowe posternki. Chociaż prawdopo-obnie nie będą one wcale potrzebne. Wzięto pod uwa-? wszelkie ewentalności.

Na wypadek, gdyby Foster zapragnął wziąć nogi za pas, a flankach ustawiono policjantów z psami. Mieli zamiar rzeszukać dokładnie każdą kępkę trzciny, każdy krzak.

Jock Houliston założył traperki saperki, choć właści-de wcale nie lubił tych butów. Ci chłopcy nie rozumie-dokładnie, po co ich tu ściągnięto. Niemożliwością yło im to wyjaśnić. Szydzili ze wszystkich pogłosek, onieważ ich nie rozumieli. Kiedy niemiecki skoczek /yłałował w lesie, Jock był jeszcze małym chłopcem. 'amiętał poszukiwania, słuchał uważnie, co ojciec mó-/ił na ten temat. Ten Szwab tam był, czy ktoś wierzył, zy nie i gwardziści z samoobrony byliby go znaleźli, ;dyby nie ta mgła. Zupełnie taka sama jak dzisiaj.

Te poszukiwania nie były zadaniem łatwym ani bez-iecznym. Jock spędził sporo czasu, przeglądając listę isób bezpowrotnie zaginionych w Droy Wood. Każde-;o dnia ktoś gdzieś ginął, byli to często ludzie, którzy nieli ważny powód do takiego zniknięcia, chcąc zataić woja tożsamość w innym miejscu rozpoczynali później iowe życie. Ale policjant był głęboko przeświadczony, e wielu z nich w tej okolicy kierowało swoje kroki właś-de do Droy Wood. Niektóre z bagiennych oczek były idradliwe, mogły wciągnąć kogoś w głąb bez śladu wszystko, co pozostawało po człowieku to nazwisko na nieczystej liście zaginionych.

r Houliston dołączył do szpaleru, przesunął się parę 51

jardów naprzód tak, by mógł widzieć zarysy następnego poszukiwacza, młodego żołnierza. Policjantowi zaschło w ustach, wyraźnie wyczuwał smak zgnilizny. Zakasłał i splunął. Po jego prawej stronie był Roy Be-an, leśnik z rewiru Droy.

Ktoś przeciągle zagwizdał i ruszyli wolnym, miarowym krokiem.

Houliston spojrział na zegarek, ósma dwadzieścia pięć. To będzie długi dzień. Głosy nawoływania. Szukający przez cały czas utrzymywali kontakt między sobą. Co chwila zatrzymywali się. Czasami ktoś ugrzązł w błocie, musieli go wyciągać. Przed nimi, gdzieś dalej, majaczyły jakieś cienie, ale nie wyglądało na to, że psy złapały jakiś trop. Były ciche, jakby wystraszone, niechętnie szły naprzód. Atmosfera stawała się nieznośna.

Jock wiedział, wkrótce obława zbliży się do starego domu. Widział go już kiedyś, wiele lat temu, ale nigdy nie był w środku tej ruiny. Przypomniała mu się opowieść ojca o tym dniu, kiedy Home Guard szukała tu zestrzelonego szkopa.

"Nigdy bym sam tam nie wszedł, chłopcze"-powiedział kiedyś stary Mac Houliston, co prawda nie miał ochoty mówić o tej całej historii, ale czuł jednocześnie, że powinien to zrobić, na wypadek gdyby, jego syn zablądził tam na skutek jakiejś idiotycznej, szkolnej eskapady. - "Nie ma tam nic oprócz śmierci, zgnilizny i zardzewiałej, żelaznej ramy łóżka, ale cały czas ma się wrażenie, że jest tam ktoś, kto cię obserwuje. Duch tego domu. Sprawdziliśmy wszystkie pomieszczenia i jak 52

lajszybciej wyszliśmy na zewnątrz. Przypuszczam, że musi tam być jeszcze piwnica, ale nikt nie chciał do niej schodzić. Jeśli

tak, to szwab mógł się ukryć właśnie ^am, na dole. Wciąż jeszcze może tam być". I To była jedna z tych rzeczy, które przerażały Houli-^tona. Te stare ruiny, jeżeli jeszcze tylko stały. Tak czy pwak, trzeba je będzie dokładnie spenetrować, przetrząsnąć dokładnie piwnicę.

- Tam jest dom. - Człowiek, który był najbliżej niego, przesunął się i konstabi rozpoznał Roya Be-ana, gajowego. Ostry zarys twarzy mężczyzny z wystającymi górnymi zębami ledwie majaczył we mgle. Lewe oko osadzone głębiej niż prawe, zbyt mały nos. Houliston usłyszał raz, od jakiegoś turysty, złośliwą uwagę: "To chyba jakiś pierdolony, wiejski idiota". Od tego czasu młody leśnik zawsze nosi spodnie z futerek kreta wpuszczone do wypolerowanych kamaszy, co, jak mu się zdawało, przysparza mu splendoru, gdyż był to tradycyjny strój ludzi lasu. Znak jego statusu, jego ojca i matki, a jeżeli ludzie nie potrafili zwrócić uwagi na taki uniform tego powszechnie szanowanego zawodu, to było z nimi po prostu bardzo źle.

- Zgadza się. - Jock poprawił swoją czapkę z daszkiem. - Domek Droyów, tam na lewo.

Nawet kłębiąca się mgła nie była w stanie ukryć o-płakanego stanu murów. Spróchniałe już dawno krokwie przechyliły się i sterczały niczym połamane żebra. Przez dziury w dachu widać było strych. Kupa gru-53

zu. Wkrótce resztki ścian przewrócą się i to będzie koniec okazałego niegdyś domostwa rodziny Droyów.

Wyrównano szyki. Tu i ówdzie ostre dźwięki gwizdków powstrzymywały tych, którzy zbyt szybko wysforowali się. Houliston westchnął, gdy ujrzał Fillery "ego. "Dla tego człowieka to nie lada gratka - pomyślał. - Będą tu siedzieć całymi godzinami".

- Wejdziecie ze mną do środka, konstablu - detektyw zwrócił się do Houlistona. - Wy, gajowy, zaczekajcie tutaj. Przypuszczam, że dobrze znacie to miejsce, lepiej niż ktokolwiek z nas tu obecnych, ale zawołamy was, gdybyście byli potrzebni. - "Nie lubię, gdy cywile się płaczą pod nogami, chyba że jest to absolutnie nie do uniknięcia" - pomyślał Fillery.

-Nie sir, nigdy tu nie byłem. - Głos Beana zabrzmiał bardzo niepewnie.

-Nie polujemy już w tym lesie. To nie jest bezpieczne.

- Za dużo bagien, co? - uciał krótko Fillery. Nie chciał, aby ten prostak zaczął opowiadać jakieś niestworzone historie o Droy.

Dziś powinni zająć się faktami, a nie ludowymi bajdami. - Chodźcie za mną, konstablu, rozejrzemy się. Musimy być ostrożni, nie chcemy przecieżyć, żeby ta kupa gruzu zawałiła nam się na łeb.

W jakiś niepojęty sposób belka nad wejściem wciąż utrzymywała strop, drzwi nie było już od dawna. Wewnątrz ziała ciemna, pełna wirującego kurzu pustka. "Przerażające. Zupełnie jak w piekle Dantego. Wszyscy, którzy tu wchodzą, porzućcie wszelką nadzieję" - myślał Houliston. Lecz detektyw brnął naprzód, roz-54

ważnie, ale z ochotą zaglądając do środka. Zapalił latarkę i przechylił ją tak, że snop światła padał do wewnątrz.

- Wchodzimy - powiedział.

Blask latarki obnażył ściany pokryte mchem i porostami. Brudnozielone kobierce opadające łagodnie ku podłodze, rozpełzały się we wszystkich kierunkach. Z resztek sufitu kapiała woda. Krople, spadające na kamienne podłogę, rozpryskiwały się na różne strony, tworząc tu i ówdzie niewielkie kałuże. Houliston przeknął ślinę. Ten dźwięk przypominał mu pewną audycję radiową, której zwykł słuchać, gdy był jeszcze młody. Zostawiał wtedy otwarte na noc drzwi swojej sypialni tak, by mógł słyszeć radio grające na dole, w salonie. Bezgłowe ciało w pustym domu, miarowe kapanie krwi, krew ścieka po schodach do holu...

- Spójrzcie! - Houliston aż podskoczył, gdy Fillery krzyknął. Detektyw uklęknął. - Oto coś interesującego... Reszta instynktownie odkrzyknęła:

-Co?!

Fillery zrobił dumną minę. Milczał, jak gdyby wczuwał się w rolę Sheriocka Holmesa, który w takich sytuacjach mawiał do Watsona: "Z pewnością widzisz to samo eo i ja".

Jock Houliston pochylił się, spoglądając uważnie na podłogę. Zobaczył sporą kupkę mchu, na której wyraźnie odcisnięty był ślad bosej stopy! Posterunkowego przeszedł lodowaty dreszcz, spojrzał w kierunku wyjścia. Słyszał jak na zewnątrz Roy Bean rozmawiał z żołnierzami. Żołnierze i gajowy zdawali mu się teraz odlegli o tysiące mil.

55

- Jest świeży - westchnął Fillery. - Zobaczcie, jak ciężar przygniótł gąbczasty mech, nie zdążył się jeszcze podnieść.

Powiedziałbym, że to sprawa kilku godzin. Spójrzcie, tam jest następny... i jeszcze jeden. Prowadzą prosto do holu.

Konstabi Houliston wcale nie miał ochoty podążać za swym towarzyszem. Ktoś tu był, nikt nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Świetnie, więc polowali na zbiega, co wcale nie przerażałoby Houlistona, gdyby tylko odbywało się w jakimkolwiek innym miejscu, niż Droy Wood! Dawne opowieści krążyły mu po głowie. Historie opowiedane przez jego ojca o tym, jak dawno temu członkowie rodziny Droyów byli okrutnymi rządzcami tych ziem. Jak Droyowie pomagali celnikom polować na przemytników przybywających na to bezludne wybrzeże. Więźniów skuwano i przyprowadzano tutaj, następnie zadawano im śmierć w męczarniach. Po nocach wieśniacy słyszeli torturowanych i słuch o przemytnikach ginął na zawsze. Plotki i bujdy. Fikcja. Lecz człowiek wmawiał sobie, że wszędzie, byle nie tutaj...

- Zobaczmy, dokąd prowadzą te schody. - Głos Fillery^ego odbił się echem w zamkniętej przestrzeni. Detektyw przesunął się do przodu, penetrując snopem światła każdy kąt. Houliston podążał za nim, nie miał innego wyjścia. O Boże, czy to wszystko nie mogło poczekać choć rok?

- To musi być piwnica. - Nagle promień latarki zatrzymał się na czymś, co wyglądało jak otwarty właz. Nawet Jock Houliston nie potrzebował wskazówek by-56

strookiego detektywa, aby zobaczyć stosik śmieci odgarniętych z powierzchni klapy. Więcej mchu, więcej śladów stóp prowadzących prosto na dół do "trzewi" domu Droyów. Teraz detektyw musiał uważać, włożył do kieszeni płaszcz rękę. Był uzbrojony, strzeli, jeśli będzie musiał.

Schodzili powoli, świecąc latarką po wszystkich zakamarkach piwnicy. Tam, na dole nie było już żadnych gruzów, piwnica uniknęła zniszczenia. Odstraszały tylko surowe ściany i powietrze przesycone stęchlizną. Panował chłód. Można było wyczuć obecność Złęgo.

Houliston przysunął się bliżej detektywa, nie chciał pozostawać z tyłu, sam w tej obrzydliwej ciemności. Był przygotowany na wypadek, gdyby ukazał im się makabryczny widok zamordowanej dziewczyny. Ona po prostu musiała tutaj być. Możliwe, że Dark także. I Foster. To pomieszczenie było większe, niż się spodziewali. Wyglądało jak stare katakumby, rozciągające się hen, daleko. Wilgotny strop podtrzymywały kamienne kolumny. Przerażające myśli kłębiły się w tysej głowie posterunkowego. "Przypuśćmy, że strop pod wpływem jakichś wibracji obsunie się, grzebiąc nas żywcem. Dziecinne strachy wylażące z

kredeńsu. Wierzysz w duchy? Słyszysz, jak szepczą w ciemnościach? Dotykają cię swymi zimnymi, wilgotnymi paluchami?"

- Jezu Chryste! - Sierżant Fillery wzdygnął się.

Obaj mężczyźni patrzyli, słowa były zbyt ciche. W świetle latarki ujrzeli to, co znajdowało się przy koń-cy ściany piwnicy. Wymurowano tam coś w rodzaju obszernej wnęki. Tam, z kamiennej ściany sterczał cały 57

rząd zardzewiałych kajdanów, kilka miało też specjalne obręcze na nogi. Wyobraźnia zaraz podsuwała widok sprzed wieków: umęczone ciała, połamane kończyny sterczące z łachmanów, straszliwe jęki torturowanych. O Jezu, chciałoby się zatkać rękami uszy, by nie słyszeć żałobnych lamentów i wrzasków tych nieszczęśników. Czuło było zapach śmierci, stęchlizna nigdy nie opuszczała tego miejsca. Tutaj szatan żył wiecznie.

- Ale... tu nikogo nie ma - westchnął Houliston, nieśmiało sugerując, że może powinni się stąd wynosić. Coś w środku nakazywało człowiekowi jak najszybciej wynosić się stąd. Jednak bystrooki Fillery wypatrzył coś jeszcze.

Znowu ukląkł, palcem wskazującym grzebiąc po podłodze i podnosząc coś do góry, pod sam nos, ostrożnie dotykając tego językiem. Potem wyprostował się i popatrzył na kolegę.

- Krew - powiedział szeptem. - Świeża krew! i - O Boże! - Houliston cofnął się o krok.

- I jeszcze więcej śladów stóp. - W świetle latarki twarz detektywa była blada. - Wszystkie dochodzą tutaj, kończą się przy tej okropnej ścianie, ale żaden nie prowadzi z powrotem.

-To niemożliwe!

- Tak, jeśli spojrzeć na to realnie, ale to może być po prostu sztuczka, choć Bóg raczy wiedzieć, co ten ktoś chciał osiągnąć, robiąc coś takiego. Niewątpliwie musiał to być jeden z tych torturowanych nieszczęśników, uciekający z powrotem do początków osiemnastego wieku. Ale dla nas nie ma to żadnego znaczenia, - Głos 58

detektywa zabrzmiał nieszczercze. Sierżant także się bał, choć nadrabiał miną.

- Ano, w tym domu na pewno nikogo nie ma - obwieścił Fillery czekającym ludziom, kiedy wraz z Houlistonem wydostali się na zewnątrz. - Parter i piwnica są puste, a piętro już dawno się zawaliło. Dokończymy poszukiwania w lesie.

Konstabi sprawdził czas. Wpół do dwunastej. O Boże, musieli spędzić w tym miejscu prawie godzinę. Mimo tej cuchnącej mgiełki, wyjście na zewnątrz przyniosło mu ulgę.

Znow uformowano tyralierę. Wszyscy czekali na sygnał. Mgła zgęstniała sprawiając, że niezwykle kształty drzew stały się jeszcze bardziej demoniczne, jakby sosny i dęby wymachiwały swoimi potężnymi konarami, chcąc pochwycić intruzów. Świerki przywoływały na myśl rozgniewane olbrzymy. Wydawało się, że drzewa mówią: "To ziemia starych Droyów, zmykaj stąd, jeśli ci życie miłe!"

Roy Bean świstał przez zęby. Gajowy gwizdał prawie zawsze w czasie polowań, gdy zewsząd otoczony był ziemiaństwem z ich range-roverami i strzelbami Puroey czy Boss. Gdzieś tam, w głębi duszy, bardzo ich nienawidził, nienawidził też własnej roli slugusa, jaką za każdym razem odgrywał. Czasami miał ochotę wziąć swoją dwudziestkę dwójkę, z tłumikiem i odstrzelić kilka dorodnych bażantów dziobiących ziarno, które zresztą sam im podsypywał. Rader, rzeźnik z miasteczka, zawsze odpaliłby mu na stronie parę fun-ciaków. Gdyby Beanowi udowodniono kłusownictwo, mogło to gajowego kosztować utratę stanowiska, ale on 59

wmawiał sobie, że takie ryzyko byłoby niewspółmiernie mniejsze niż satysfakcja wynikająca z upolowania ptaków przeznaczonych dla gości. To wynosiło go ponad tych wszystkich skurwieli i dowodziło, że gajowy potrafi ich przechrzyć. Stary Houliston miał stracha. Gajowy czytał to z jego pobladłej twarzy i trzęsących się rąk, gdy posterunkowy nerwowo ruszał swoją pałką. Widać, ci dwaj widzieli tam w środku coś podejrzanego. Ale nie było mowy, żeby Roy Bean powędrował z powrotem sam do starego domu, by sprawdzić, co to było. Nie, dziękuję, sir.

Żałował, że dzisiaj nie miał przy sobie strzelby. Niech to cholera, miał przecież do tego prawo, ponieważ Droy Wood był oficjalnie częścią jego rewiru. Ale ten nadęty inspektor kazał mu zostawić dubeltówkę w samochodzie. .Jakakolwiek broń, panie gajowy, może być tylko w posiadaniu wyznaczonych policjantów".

Tak jest, sir. Pierdole cię.

Było teraz coraz trudniej iść. Kępy trzciny stawały się gęstsze, podłoże bardziej miękkie. Do sondowania terenu przed sobą Roy Bean używał długiego kija, starając się odnaleźć twardsze miejsca. Mgła także stawała się wciąż gęstsza i gęstsza, nie można już było zobaczyć innych poszukiwaczy ani po prawej, ani po lewej stronie, więc tyraliera nie mogła być równa. Oznaczało to, że tropiciele nie są w stanie systematycznie spenetrować całego lasu.

Przynajmniej ten inspektor nie sprzeciwiał się mu, gdy przyprowadził Muffin, sukę-spaniela. Roy, wyruszając w teren, zawsze zabierał ze sobą psa. Dobrze jej 60

)bi taki paskudny dzień jak ten; ostudzi jej zapach. Su-nigdy zwyczajnie nie chodziła, zawsze biegała. Nie oczęła, zanim nie odnalazła tropu. Jeżeli ktoś z zagi-)nych by się tutaj znajdował, Muffin odnalazłaby go, wiele wcześniej, niż te powarkujące psy policyjne. cz gajowy czułby się o wiele swobodniej, mając na nieniu strzelbę. Chryste, miał tylko nadzieję, że to izystko nie przeciągnie się aż do zmroku.

Liver i biały spaniel pognały naprzód, prawdopo-bnie zwęszyły ślad królika. Roy pogwizdywał nie-apliwie. Do diabła, nie chciał żeby się gdzieś zgubi-Nie odszczekiwała mu, ale słyszał jak pluska łapami uszuje w zaroślach, gdzieś tam, z przodu. Znowu za-/izdał.

Nagle suka zatrzymała się. Sekunda czy dwie zupeł-j ciszy, po czym zwierzę wydało przeciągły skowyt... iskomlała. Potem znowu skomlenie.

- Muffin! - Gajowy pospieszył naprzód. Czuł jak je-i stopy zapadają się w gęstej mazi. - Pierdolone cho-rstwo!

Pelen strachu i złości, grzęznąc w błocie, Bean wycił się rosnącej obok małej brzozy i wtedy zoba-yl wracającego spaniela. Muffin położyła uszy po so-e, podkuliła ogon, biegła skomlać i piszcząc. Uciekała!

- Głupia, jebana suka! - Gdyby nogi Roya nie były więzione w bagnie, kopnąłby ją z pasją. Pies podbiegł izej i schował się za swojego pana.

- Ty duma świnio, wepchnęłaś mnie z powrotem .to gównu. Ty...

i Jego złość zaraz opadła, kiedy we mgle dostrzegł ja-61

kiś kształt wyłaniający się ze skłębionego, mlecznego oparu. Człowiek. Bean zrazu pomyślał, że to ktoś z tropicielei, żołnierz

albo policjant, który prawdopodobnie usłyszał jego utarczkę z psem i przyszedł sprawdzić, co się stało. Ale nie, sylwetka była zupełnie niezwykła: obszerna płaszcz, graniasty kapelusz. Postać miała włosy opadające na ramiona. Zjawisko to przypominało żywego stracha na wróble z kreskówki dla dzieci. Ale przez sekundę czy dwie gajowy mógł zobaczyć oblicze widmi i wtedy omal nie krzyknął z przerażenia. Surowe, ordynarne rysy, częściowo pokryte brodą i jakimś liszajami, głębokie, jakby ślepe oczodoły. Usta wykrzywione w złośliwym grymasie odsłaniały dwa rzędy krzywych, powyłamywanych i szerniałych zębów. I wtedy "to", równie nagle, jak się pojawiło, rozpląnęło się we mgle, tak jakby go nigdy tutaj nie było. Czyżby złudzenie optyczne? Roy Bean chętnie uwierzyłby w to, ale pies był wciąż wystraszony. Wiedział tylko, że cokolwiek to było, musiało to być żywe. Mrok sączył się już z mgły, gdy poszukiwacze wydostali się wreszcie z Droy Wood. Szli w milczeniu. Patrzyli tępo jeden na drugiego, zbijając się w ciasną gromadę. Wszyscy czekali na rozkaz zakończenia akcji. Trójki zaginionych: strażnika przyrody, dziewczyn i zbrojnego mordercy nie znaleziono w Droy Wood. Ale każdy był przekonany, że jednak coś tam było. 62

Rozdział IV

Carol Embleton spała, skulona pod pnem uschniętego zewa. Śnił się jej erotyczny, przerażający sen. Leżała ga na kamiennej podłodze w ciemnym, ponurym pokoju. Nad nią, w rozkroku, stał nagi podniecony mężczyzna. Najpierw ogarnął ją strach, a potem uczucie ulgi. Ndy, dzięki Bogu! Ale mężczyzna był wściekły. - Ty dziwko! - Kopnął ją, aż jęknęła. Wiła się u jego 5p, próbując ostonić głowę przed kolejnym ciosem. - Ty obrzydliwa, śmierdząca kurwo! "Dlaczego, Andy powiedz mi, dlaczego?" - Chcę znać prawdę! - Mężczyzna zacisnął pięści. - Wszystko ci powiem - zaszczołała - co tylko chcesz wiedzieć, powiem wszystko! - Tym lepiej dla ciebie. - Pochylił się nad nią tak, że ogła czuć jego oddech. Znow jadał miętowe cukierki. Onanizowałaś się, prawda? Odpowiedz mi! - Tak - wyznała ze wstydem. Jej łzy kapały na pod-ogę. - Zrobiłam to. Przepraszam. - Suka! - Chwył ją za twarz. - A kiedy pieprzyłem ę pierwszy raz, nie byłaś już dziewicą, prawda? - Nie! - Drżała bliska hysterii. - Nie byłam dziewicą, rzecież ci mówiłam. - Więc opowiedz mi o tym jeszcze raz. - To był chłopak z innej wioski. - Oparła się o wil-Ertną, kamienną ścianę. - Tylko ten jeden jedyny raz. Przysięgam, że tylko raz. A potem wystawałaś nocami przy drodze, by ktoś 63

cię podwiózł i rznąłaś się z obcymi facetami, prawda? Na miłość boską, mam rację?

-Nie!
- Pieprzona kłamczucha. - Andy Dark uderzył Caro w twarz. Dziewczyna poczuła, jak ruszają się jej zęby w ustach miała krew. "Och, Andy, ja cię kocham, nie musisz..." - A co z tym facetem w minimorrisie, wte dy, po dyskotecę? Walilaś się z nim, jakbyś od mięsie cy nie miała fiuta, co?
-Nie... tak... O Boże, musiałam, przysięgam, musiałam. Inaczej on by mnie zabił. Zgwałcił mnie.
Nagle w pokoju ściemniło się tak, że Carol nie wi działa już Andy'ego, ale wciąż go czuła. Położył się ni niej i wszedł w dziewczynę.
- A teraz, kiedy już ciebie przeleciałem, zabiję cię Tym razem już mi się nie wymkniesz!
Zakręciło się jej w głowie, czuła, że powoli słabnie obsuwając się ku krawędzi czarnej przepaści bez dna Bolała ją każda część ciała, ale teraz nie obchodził je ból fizyczny. Żeby tylko Andy...
Andy... Andy... An...dy...
Obudziła się zapłakana, drżąc z zimna. Patrzył w ciemność deszczowej, jesiennej nocy. Szukała An dy'ego, dopóki zupełnie nie oprzytomniała. "Nie ma gi tutaj i nie będzie" - pomyślała.
Wszystkie problemy znowu powróciły. Była nag i zdana tylko na siebie, a gdzieś w pobliżu krążył ma niak seksualny, morderca. W dodatku zablądziła w le się i będzie musiała tu pozostać aż do świtu.
Wszystkie dziwne odgłosy przerażały dziewczyn 64

oraz bardziej. Raz nawet, zdawało się jej, że usłyszała rzmot burzy, przetaczającej się echem, łomot. Na nicie pojawiły się jakieś rozbłyski, które następnie prze-hodziły w jasną, ognistą poświatę. Po pewnym czasie stwierdziła, że grzmoty są podo-ne do wystrzałów z ciężkich karabinów maszynowych. A tamten huk, to eksplozje bomb spadających niepoohamowaną, niszczącą siłą. Całe miasteczko mu-iało znajdować się w krwawym blasku. Carol czuła awet w powietrzu gryzący dym. Słyszała buczenie ieżkich bombowców. Nalot za nalotem... O Boże, wy-uchła nowa wojna. Tej nocy zwiariował chyba cały wiat. Chyba że to tylko kolejny, nocny koszmar, tak ik ten sen z Andym. Brzęczący dźwięk stawał się coraz głośniejszy. Carol anbleton skuliła się. Przywarła mocno do pnia. Jeden z sa-nolotów przelatował zupełnie blisko, na niewielkiej wyso-DŚci, zupełnie jak modele podczas popisów nad plażą. Nagle maszyna stanęła w płomieniach. Oślepiający ilask. Wrak pikował w dół. Carol zatkała dłońmi uszy f oczekiwaniu na potężną eksplozję. Niebo było szkar-atne, zapewne odbijały się w nim wszystkie ognie pie-aelne. Dziewczyna skuliła się ze strachu. To było szaleń-two i ona także oszalała. Patrzyła w niebo. Czując spa-eniznę, słyszała-jęki ginących. Nagle coś innego zwró-iło jej uwagę. Z początku Carol sądziła, że to tylko ień. Księżyc wyrztał nieco zza chmur i w jego świetle Iziewczyna dostrzegła kołyszającą się sylwetkę. Spado-hroniarz!
65

Zdumienie, potem ulga, że lotnik wydostał się z płonącego bombowca. Dziewczyna patrzyła w niebo. Śmierć, tam w górze, wydawała się Carol o wiele bardziej przerażająca niż na ziemi. Z wypadku samochodowego można jeszcze wyjść^ cało. W płonącym samolocie nie było już żadnej szansy.

Skoczek znów stał się widoczny na tle niskiej chmury. Chyba nawet już wyładował, może zawisł gdzieś w konarach drzew, dyndając bezradnie jak małpa na ogonie. Albo ranny leży w którejś z tych bagnistych kałuż. Jedna myśl za drugą, nękały jej skołataną głowę. Nagle zabłyśnięcie iskierki nadziei. Sprzymierzeniec. Razem odnajdą drogę, która wyprowadzi ich z tego obrzydliwego miejsca. Lotnik obroni ją przed gwałcicielem. Dziewczyna musi spróbować i odnaleźć skoczka. Trzeba teraz przewyciężyć strach przed moczarami, ciemnością i mgłą! Nie dostrzegła dotąd pełzających oparów, które rozeszły się już po całym lesie. Cichutko krążyła pomiędzy drzewami. Carol ruszyła na poszukiwanie lotnika. Żeb) tylko księżyc znów nie zaszedł za chmury! Szare macki oparów przesunęły się pomiędzy pniami, dotykając dziewczynę zimnymi, wilgotnymi paluchami, jakby chciały ją pochwycić. "To jest przeklęta ziemia, nigdy stąd nie uciekniesz" - zdawały się mówić. Carol pobiegła, nie zważając na błoto. Drzewa wokół niej poruszały się niczym żywe istoty, smagając gałęziami w twarz, trzcina wiązała jej stopy w bagnie "Chodź, zostań z nami na zawsze, w naszym lodowatym, śmierdzącym mule". 66

Wpadła w głębszą rozpadlinę, jednak w jakiś sposób wyrwała się i znalazła okrężną drogę. Biegła bez tchu, na oślep, nie zważając na to, czy zmierza we właściwym kierunku, wiedziała tylko, że musi biec. Paraliżujący strach, że prześladowca ją ściga, bo przecież teraz zboczeniec musiał ją usłyszeć. Musiała odnaleźć tego spadochroniarza, tylko wtedy będzie bezpieczna. Nagle została brutalnie zmuszona do zatrzymania. Krzyczałaby z przerażenia, gdyby nie fakt, że czyjaś dłoń zastłoniła jej usta. Druga ręka objęła ją w pól i uniosła nad ziemię. Carol pomyślała, że to już koniec. Zaraz umrze, modliła się, by nastąpiło to bez bólu. Zadał szybki cios w tułów, oszczędzając jej ponownego gwałtu. - Mein Gott! - Usłyszała niski, nosowy szept, leżąc w trawie twarzą do ziemi z zaciśniętymi powiekami. Nie chciała patrzeć na pożądanego tego obłąkanego typu. - Zabij mnie - wyszeptowała. - Przestań się mną bawić. Gdy już będę martwa, możesz zrobić, co chcesz. Cisza. Macki mgły dotykają jej ciała, jakby próbując odwrócić na plecy. Czowała wnikliwe, przeszywające spojrzenie napastnika, słyszała jego oddech. - Mein Gott! - Znów ten obcy głos. Zaskoczona stwierdziła, że w jakiś dziwny sposób uspokoiło ją to na moment. Carol ostrożnie otworzyła oczy. Dostrzegła zupełnie nieznanego mężczyznę, który patrzył na nią z góry. Mgła zdawała się go omijać, jakby bała się go dotknąć. Krótko przycięte blond włosy, postawna sylwetka, 67

poszerzona jeszcze o kombinezon lotniczy, który miał na sobie. Kurtka o barwach ochronnych, postrzępiona u dołu. Wystające kości policzkowe, paskudna rana, tuż pod lewym okiem, która, zdaje się, przestawała już krwawić. Oblepione błotem, ciężkie buty sięgały kolan. W bladym świetle księżyc dostrzegła w jego dłoni pistolet z lufa wycelowaną prosto w nią. Przez parę sekund oboje wpatrywali się w siebie, aż nieznajomy przerwał milczenie, mówiąc powoli, jak gdyby musiał przypominać sobie dawno zapomniane angielskie słowa. - Co tutaj robisz? - Ja... ja... - Odpowiadaj! Szybko! - Pistolet drgnął niebezpiecznie. - Zgubiłam się. - Carol przełknęła ślinę. "Musiałam zwariować, ten okropny las zamieszał mi w głowie". I wtedy przypomniała sobie spadochroniarza, który kołysząc się spadał z nieba. Jeżeli to zdarzyło się naprawdę, to musiał być właśnie on. - Kurwa pilnująca swego interesu nocą w bagienym lesie - zaśmiał się nieszczerze. - To sztuczka wymyślona przez szalonych Anglików, żeby mnie zwabić w pułapkę. - Nic nie rozumiem - "O Boże, też jakiś wariat". - Byłam napastowana. Zostałam zgwałcona. Uciekłam tutaj i zgubiłam się. Widziałam, jak rozbił się twój samolot. Pomyślałam, że razem moglibyśmy spróbować wydostać się... - To podstęp - powiedział, robiąc krok do przodu 68

i przez moment pomyślała, że zaciśnie palec na cynglu. - Anglicy próbowali wielu sztuczek, by mnie ująć. Kiedyś wysiali na morze ludzi w łódkach. Śmieszna ekspedycja. Innym razem przebrali się za pielgrzymów, ale Bertie Hass wciąż jest na wolności. Na naziste nie ma mocnych. - Nazista! - Wciąż upierasz się przy swojej idiotycznej, zabawnej historyjce? - Wyczuła teraz złość w jego głosie. -Pilota Luftwaffe nie zwiedzie żadną pospolitą kurewką, Przejrzałam cię. Nie ujdzie ci to bezkarnie. Wstawaj! Chwiejąc się Carol stanęła na nogi. Musiała zwariować, ale nie było innego wyjścia, jak tylko słuchać tego tajemniczego, uzbrojonego bandyty. Mgła była teraz tak gęsta, że nie sięgała wzrokiem dalej niż na jard lub dwa. Zdawało się to nie przeszkadzać jej towarzyszowi. Pewność ruchów świadczyła o tym, że wie, co robi i dokąd chce się udać. Tylko skąd? Przecież wyładował dopiero przed chwilą! Przestało już padać i księżyc zaczął przeświecać mleczną zadymkę. Gdzieś daleko wciąż słychać było nieustanne eksplozje. Dostrzegła majaczący przed nimi budynek. Ogromny, z wysokimi wieżyczkami, przypominający nieco zamek, przerażający w swej posępności. "Jedynym domem w Droy Wood jest Droy House - pomyślała - i wszyscy mówią, że to już ruina, a ten nie nosi żadnych śladów zniszczenia". - Mój pałac - powiedział z dumą w głosie, chwyciwszy ją w pasie lodowatym uściskiem, jak gdyby się 69

bal, że dziewczyna mu ucieknie. - Tak jak Fihrer ma swoje Krucze Gniazdo, tak Bertie Hass ma swa niezdobytą twierdzę. Anglicy nie wiedzą o niej, bo jest otoczona lasem i bagnami. - Ale... ale wojna była prawie czterdzieści lat temu - zwróciła się twarzą ku niemu - w 1945. Teraz jest 1980... - Idiotko! - Przez moment myślała, że wyrznie ją w twarz. - Wojna dobiega już końca, ale uparci Anglicy i ich alianci wciąż wierzą, że mogą pokrzyżować nasze plany. Służę ojczyźnie i moim obowiązkiem jest pozostać tu tak długo, póki potęga Niemiec ostatecznie nie zgnie Anglii. Milcząco przytaknęła. Dalsze upieranie się groziło karą. - Wchodzimy do środka. - Luger pchnął ją do przodu.

- Pozostaniesz tutaj jako mój więzień - zaśmiał się, widząc jak jej nagie ciało dostaje z zimna gęsiej skórki.
- W gruncie rzeczy, ja także będę tu więźniem, póki armia niemiecka nie nadejdzie z odsieczą.
Wewnątrz budynku nie było żadnych, widocznych śladów dewastacji. Tylko solidne, kamienne ściany i podłogi, żadnych mebli.
Zimno i tajemniczo. Poświata księżycy sączyła się oknem, oświetlając cały hol. Coś z piskiem poruszyło się w cieniu, jakby protestując przeciw nadejściu intruzów. "Nietoperze" - skrzywiła się Carol. Zapewne były tu także szczury.
Upadłaby, pokonując rząd schodów prowadzących w dół, gdyby człowiek nazywający siebie Bertiem Has-sem nie przytrzymał jej. Jego palce były trupio zimne. 70

Wszechobecna stęchlizna przyprawiała ją o kaszel. Powietrze, niemal pozbawione tlenu, było tu lodowate. Czują na twarzy i włosach liczne pajęczyny. Chropowata podłoga ocierała jej stopy, gdy oprawca niecierpliwie popychał dziewczynę przed sobą. Wokół panowała nieprzenikniona ciemność.
Poczuła coś chłodnego i ciężkiego z metalicznym zgrzytem zaciskającego się na jej nadgarstkach. Instynktownie próbowała uwolnić się z kajdan, ale było za późno. Podobnie stało się z nogami na wysokości kostek. Dźwięk łańcuchów uświadomił jej, że została przykuta do ściany.
- Błagam... - zaszlochała.
- Możesz sobie krzyczeć, i tak cię nikt nie usłyszy. - Ostro zabrzmiał w ciemnościach szept Niemca. - Pozostaniesz tu szpiegu!
- wysyczał jadowicie. - Prawdopodobnie, kiedy nadejdzie nasza armia, zostaniesz stracona. Decyzja należy do Gestapo. Nie będziesz musiała długo czekać. Kolejne miasta twojego kraju są właśnie równane z ziemią przez śmiercionośne naloty Luftwaf-fe. Anglicy stoją już na krawędzi klęski.
Fanatyzm. Zdawało się jej, że słyszała stuknięcie obcasów. Wyobrażała sobie podniesioną rękę w geście hitlerowskiego salutu. Potem szybko wyszedł. Samo-dyscyplina, nawet w szaleństwie.
"Boże, proszę, aby to był tylko sen". Naprężyła kajdany, ale były to naprawdę solidne dyby. Mogła stać tylko na palcach. Ręce zaczynały już drętwieć, bo krew szybko z nich odpływała.
"Gdzie jesteś, Andy? Przepraszam... gdybym się na 71

ciebie nie obraziła, nigdy by się to nie zdarzyło". Ale Andy Dark nie był w stanie odnaleźć jej tutaj. Ani nikt inny.
Cos musnęło jej stopy. Krzyknęła ze strachu, czując sierść poruszającego się stworzenia i słysząc jakieś szuranie. Oczy przywykły już do ciemności i zauważyła całe mnóstwo matowoczerwonych punkcików, rozsypanych jak rubiny na czarnym suknie. Szczury! Całe tuziny, usadowiwszy się po kątach, obserwowały ją, czekając na ucztę. Bała się, że mogą zaatakować, kiedy będzie jeszcze żywa, że rzucają się i rozerwą jej ciało na strzępy swoimi małymi, ostrymi zębami. Ale póki co, zdawały się cierpliwie czekać.
Wciąż było słychać echo odległych eksplozji oraz jednostajny warkot artylerii przeciwlotniczej. Dostrzegła na nocnym niebie czerwone reflektory płonącego miasta. Nieustanne brzęczenie ciężkich bombowców drażniło niemal równie mocno jak wszechobecny smród spalenizny.
Znów dało o sobie znać wyczerpanie. Dziewczyna zawisła na łańcuchach, naprężając je tak, że metalowe obręcze wrzynały się w nadgarstki. I powrócił wtedy nocny koszmar ostatniej nocy, ten sam, ponury pokój z kamienną posadzką. I tamten mężczyzna. Mógł nim być Andy. Albo James Foster.
Albo Bertie Hass.
- Ty cholerna dziwko, mów!
-Nie, błagam!
W przeblaskach ohydnej rzeczywistości widziała, jak szczury podbiegają bliżej.

Rozdział V

Andy Dark wciąż podążał śladem biegnącym przez stratowaną trzcinę. W miejscach, gdzie błoto było głębsze, zdźbła zdążyły się już podnieść i tylko dzięki swojej spostrzegawczości przyrodnik nie zgubił tropu. Za każdym razem, gdy natrafił na skrawek twardego gruntu, przeszukiwał obfite listowie z zapartym tchem, bojąc się tego, co mógłby odkryć. Ale nie znalazł nic.
A może nie dotarli aż tak daleko? Miejscami odnajdywał głębsze odciski stóp zboczeńca podążającego za dziewczyną, ale w ciemnościach Foster nie był w stanie zobaczyć śladów pozostawionych przez uciekającą. Doszedł do wielkiego, poskręcane drzewa, pod którym Carol spędziła noc. Trawa została zgnieciona najpóźniej dwie godziny temu.
Krew uderzyła mu do głowy, w uszach czuł dudnienie. Więc żyła, morderca jej nie znalazł. Prawdopodobnie z nastaniem świtu poszła z powrotem. Mogła już być przecież w domu, a on pęta się tu jak hipiec. I wtedy znowu dostrzegł ślad prowadzący r zupełnie przeciwnym kierunku - na wschód, w stro-? morza. "Chryste, straciła orientację w terenie, szła wprost na bagna. Ona..."
Zatrzymał się. Jakieś poruszenie w ciemnościach omiędzy drzewami zwróciło jego uwagę. Chmura dyłu, jak gdyby ktoś, kogo Andy nie mógł dojrzeć, zapa-1 papierosa. Zamiast się rozwiać, dym zaczął gęstnieć. "o znów nadciągała mgła znad morza. Oparł się plecami o drzewo, rozważając, co począć 73

dalej. "Trzeba by całej armii, aby dokładnie przetrząsnąć Droy Wood. Carol zgubiła się, może uległa panice, j Będzie pewnie chodziła w kółko; głębokie trzęsawiskal odcinały od przejść prowadzących na zewnątrz. A gdyl już nadciągała mgła, można było spodziewać się wszystkiego. Gwałcieciel jest tu także. O Jezu!"
Andy Dark przyłożył dłonie do ust i zaczął wołać Carol po imieniu. Nic, nawet echa. Tylko mgła gęstniejąca nieprawdopodobnie szybko. Westchnął, przypominając sobie wszystkie opowieści o lesie. Każde miejsce miało swoje legendy, rozpowszechniane i wzbogacane przez przesądnych miejscowych. Dlatego wieśniacy bali się Droy Wood. Ale istniały też realne powody, aby trzymać się z dala od tego lasu.
Głębokie moczary, które mogły wciągnąć każdego, kto poddał się panice i nieuważnie w nie wstąpił. Ta cholerna mgła zwiększała jedynie niebezpieczeństwo.
-Ca-rol!
Brakowało mu już tchu. Wszędzie panowała kompletna cisza przerywana jedynie odgłosem kapiących z drzew kropel wody.

Powinien pójść po pomoc do wioski, ale to zajęłoby zbyt dużo czasu. Zanim zebrałby ekipę poszukiwawczą i zanim by się tu zjawili, byłoby już późne popołudnie. Potem zmierzch i kolejna noc, którą Carol musiałaby spędzić w tym okropnym miejscu. Nie, to żadne rozwiązanie. Musiał sam kontynuować poszukiwania. Modlił się w duchu, by udało mu się ją odnaleźć. Spojrzał na zegarek - za pięć wpół do dziesiątej. Coś się tutaj nie zgadzało. Był tu znacznie dłużej. Przyłożył 74

egarek do ucha, potrząsała, postukał. Nic. Stał, a w y cholernej mgle trudno było nawet zgadnąć, jaka iogła być pora dnia. Ruszył z miejsca, żalując, że nie ma przy sobie kom-asu, z którego korzystał przy obserwacjach ptaków na agnach. Będzie musiał sobie poradzić bez niego. Zro-i wszystko, co w jego mocy. Ślad zaczął się rwaćJak-y dziewczyna kilkakrotnie zmieniała decyzje; do-zedłszy do głębokiego rowu, próbowała widocznie naleźć dogodne przejście.

Odnalezienie go zajęło mu parę minut. Ciemny strumyk sięgający do końca cholewek jego wellingtonów, ący się leniwie. Trochę wody przelało się przez krawędzie, moczając skarpety. Błoto było jakby z gumy. ciężko odpychając się, krok po kroku, dobrnął do prze-iwległego brzegu. Wdrapał się do góry, dalej szukając ładu. Ale nie było nic, żadnego odcisku stopy na miękiej, czarnej ziemi.

"Przecież musi gdzieś być!" - Rozglądał się wokół. Zeszedł dziesięć jardów w prawo, nic nie znalazł. Yrócił i poszedł w lewo, znowu nic. Musiały być dal-ze ślady, chyba że poszła brzegiem strumienia. W górę ;zy w dół? Dark westchnął, lecz nagle zastylł w napię-;iu, kiedy wyłowił delikatny hałas.

Andy próbował dostrzec coś przez mgłę, ale teraz itała się jeszcze gęstsza. Widoczność spadła do dziesięciu jardów. Znowu usłyszał hałas, jakby głęboki, charczący oddech. Ktoś poruszał się z trudem. Z pewnością o nie Carol, w takim razie to musiał być... gwałciciel! , Andy'ego ogarnęła wściekłość. Zaledwie kilka jar-75

dów od niego znajdował się człowiek, który poniżył Carol w stopniu przechodzącym ludzkie pojęcie. Mogła nawet... umrzeć! Na samą myśl o tym zakrećilo mu się w głowie. A jeżeli przybył za późno? Zmaltretowane ciało dziewczyny mogły już pochłonać bagna. Na zawsze, bez śladu.

Sukinsyn! Andy mszył do przodu z zacisniętymi pięściami. Zapłaci za to, co zrobił. Wymierzy karę, nie zważając na żadne ludzkie prawa. Nie będzie taryfy ulgowej, żadnej litości. Tutaj, w Droy Wood, stanie z nim twarzą w twarz, jeden na jednego. Seksualny morderca został skazany na śmierć. Andy Dark był teraz sędzią, ławą przysięgłych i egzekutorem wyroku w jednej osobie.

Ruszył w stronę, skąd dochodziły odgłosy, przedzierając się przez rozrośnięte dęby, pozbawione już zupełnie listowia. Andy zastylł na moment w napięciu, dostrzegając zarysowujący się we mgle kształt i... chrząknął z zakłopotania. Spodziewał się ujrzeć obnażonego mężczyznę, którego ubranie pozostawione było w zaparkowanym przy drodze wozie. Zamiast tego, ujrzał długi płaszcz, kapelusz o trójkątnym kształcie - stary i niemodny. Postać, wyłoniwszy się z szarego oparu, znów znikła. Pośpieszył naprzód. Po chwili stanął nasłuchując. Kroki oddalały się, nie zostawiając żadnych śladów...

Andy oblał się zimnym potem, w żaden sposób nie mógł tamtego złapać. Po prostu na chwilę pojawiał się to tu, to tam, po czym znikał we mgle, nigdy nie oglądając się za siebie, nie podejrzewając nawet, że ktoś go 76

obserwuje. Sposób, w jaki tamten przemierzał głębokie rozlewiska, nie pozostawiając po swym przejściu nawet jednej złamanej trzcinki, był zupełnie nie pojęty.

I nagle Andy zdał sobie sprawę z tego, że wokół mego coś się poruszyło. Słyszał stłumione głosy, nawoływania, ale nie mógł zrozumieć języka. Brzmiało to jak pochrząkiwanie zwierząt. Ogarnął go strach, przywodząc na myśl wszystkie legendy o zdarzeniach, które miały miejsce we mgle, o ludziach, którzy znikali bezpowrotnie. Bzdura! Ale teraz już nie był tego taki pewny. Zaczynał wierzyć we wszystko, z czego kiedyś kpił, siedząc w zaciszu swego bungalowu.

Zatrzymał się. Przywarł mocno do najbliższego drzewa. Dwóch ludzi tylko parę jardów dalej. Wynurzyli się spośród drzew i przeszli o kilkanaście centymetrów od niego. Jezu, wystarczyło tylko spojrzeć na te twarze, nawet częściowo przysłonięte mgłą, aby się przekonać, że coś tu nie grało. Wychudzone i pomarszczone rysy, których nie powstydziliby się nie pierwszej świeżości trup. Odziani byli w długie płaszcze i trójkątne czapki naciągnięte na oczy, jakby chcieli innym oszczędzić widoku swoich przegniłych twarzy.

Minawszy go, szli dalej, zmierzając w tym samym kierunku, co ten pierwszy, którego zauważył. Ale było ich więcej. Andy mógł ich słyszeć na prawo i lewo. Zaczęła go ogarniać panika. Nie chodziło już tylko o bezpieczeństwo Carol, ale o to, że był sam w tym okropnym lesie, obcując ze zjawiskami, które w normalnym świecie nie miały racji bytu.

Czuł zapach bagien i morza, drzewa stawały się co-77

raz rzadsze. Mgła nie była już taka ciemna. Wyszli na otwartą przestrzeń, nad samo morze. Andy zatrzymał się, ogarnęły go wątpliwości. Czy iść dalej? Może Ca-rol nie zaszła aż tutaj. Modlił się w duchu by tak było, ale przecież nie mógł być tego pewny.

Poruszając się ostrożnie, zatrzymywał się co pewien czas. Szedł za odgłosami tych dziwnych postaci. Coś ważnego musiało przywieść je na bagna Droy, jakieś straszne zadanie, które musieli wykonać, a którego świadkiem stał się mimo woli.

Nagle o mało na nich nie wpadł, ale wycofał się w samą porę, dając nurka w gęste kłęby mgły. Kilka postaci przycupnęło przed nim za głazami wąskiej, skalistej plaży, wpatrując się w morze. Czekali, a raczej czyhali. Ale na co?

Andy ukląkł. Mgła zdawała się gęstnieć, jak gdyby chciała go odgrodzić od czegoś, czego nie miał prawa widzieć, pokrywając bielą te kreatury; ich gardłowe chrząkania umilkły. Cicho wyczekiwali w fetorze gnijących wodorostów. Obserwowali.

Wtedy mężczyzna pochwyił jakiś dźwięk - delikatny, rytmiczny plusk wody, ktoś wiosłował.

Wciąż niewidoczna łódź zmierzała w kierunku brzegu.

Rozdział VI

- Uczestnictwo pani w rekonstrukcji zdarzeń prowadzących do odtworzenia zaginięcia panny Embleton i pana Darka jest sprawą całkowicie dobrowolną, panno Brown. Chcę, żeby pani zdawała sobie z tego sprawę. - Detektyw Jim FULery wskazał dziewczynie krzesło w swojej głównej kwaterze na posterunku policji w Droy.

Nie chciał rozgłosu, żadnego ostrzału ze strony mass-mediów, gdyby coś poszło nie tak. Nie dlatego, że było to całkiem prawdopodobne. Mógł też, jako cywil, równie dobrze odgrywać rolę prywatnego detektywa. Byłoby lepiej, gdyby miejscowi wykazywali więcej zainteresowania tą sprawą. Może udałoby się określić tak niewyraźny dotąd trop zaczynający się na dyskotece. Zapewne nie wniosłoby to wiele nowego poza tym, że ktoś widział ją, jak wychodziła lub coś takiego. Ale na razie Jim Fillery nie mógł spodziewać się więcej. Troje ludzi, którzy powinni byli zostać odnalezieni w Droy Wood, rozplynęło się w powietrzu, choć poszukiwania były bardzo staranne.

- Chcę powiedzieć - Thelma Brown uśmiechała się - że Carol jest moją najlepszą przyjaciółką, a poza tym byłam jedną z ostatnich osób, które ją widziały.

- Bardzo dobrze. - Fillery skinął głową. - Będziemy w stałym kontakcie, więc nie ma potrzeby się martwić. Zaczniemy dziś w nocy. Ta sama dyskoteka, ta sama sekwencja nagrań i prawdopodobnie przyjdą wszyscy, którzy tam byli owej nocy. Potem wyjdzie pani o wpół 79

do dwunastej, pójdzie pani tą samą trasą, a jeden z naszych ludzi podwiezie panią błękitnym mini na sam skraj Droy Wood. To będzie koniec wizji lokalnej. "Nie możemy dopuścić, aby weszła do lasu" - myślał policjant

Wszystko tak samo, Thelma Brown była zdenerwowana. Niespodziewanie, to ona miała odegrać główną rolę w odtworzeniu ostatnich wydarzeń, które wstrząsnęły całą wioską. Czuła się zobowiązana wobec Carol, musiała zrobić coś, co mogłoby w jakiś sposób jej pomóc

- Jesteś szalona - skwitowała matka dziewczyny, dowiedziawszy się o planowanej rekonstrukcji. - Nic dobrego z tego nie wyniknie. Bardzo się to ojcu nie podoba. - Thelma była od dziecka poddawana takim szantażom.

- Nie włócz się teraz późno po nocach, bo ojciec nie może zasnąć, dopóki nie wrócisz bezpiecznie, a przemęczenie w jego wieku bardzo szkodzi.

John, chłopak Thelmy, także był wściekły.

- Nie pozwolę ci tego zrobić! - krzyczał ze złością, zacisnąwszy pięści. - Nigdzie, do cholery, nie pójdziesz, słyszysz?!

- Zrobię, jak będę uważała - odparła Thelma - i ani ty, ani ktokolwiek inny mnie nie powstrzyma.

- To szaleństwo. To jest niebezpieczne i w dodatku nic nie pomoże. - John zaczął podnosić głos. - Takie rekonstrukcje nie wprowadzają do sprawy nic istotnego, to tylko marnowanie czasu. Tak jak te portrety pamięciowe, które policja zawsze sporządza, artystyczna wizja sprawcy, zlepek informacji uzyskanych od niegodnych zaufania świadków. Gdy wreszcie złapią go-80

ścia, jest zupełnie do tego niepodobny. Rozpowszechniają takie rzeczy, aby przekonać ludzi, że coś w ogóle robią.

- Pójdę - powiedziała uparcie - czy ci się to podoba, czy nie. A jeśli nie, to wiesz, co możesz zrobić!

Następnej nocy zdenerwowana wmieszała się w dyskotekowy tłum. Miała przetańczyć całą noc.

"Spróbuję wprowadzić się w dobry nastrój. Nazywam się Carol Embleton. Carol Embleton. Jest tam John, ciągle się na mnie gapi. John? A ten chłopak Thelmy Brown. Nie widzę Thelmy, ale jest tu tyle ludzi, że naprawdę trudno kogoś odszukać.

Pewnie znowu się posprzeczał i przyszedł sam. W każdym razie to nie moja sprawa. Jestem w końcu zaręczona z An-dym Darkiem. - Przeszedł ją lekki dreszcz. - Ach, ta podniecająca fantazja".

Kolejne nagranie, szybszy rytm, błyskające światła. Kolorowe lampki oślepiły, przenosząc w świat ruchomych cieni i ogłuszającej muzyki. Zupełnie tak, jak tamtej nocy. Dokładnie tak samo.

"Musisz wyjść o wpół do dwunastej, bo idziesz dziś do domu pieszo. Sama. Gdzie Andy? Wyjechał, aby coś filmować. Masz dziś długą drogę przed sobą, wzdłuż Droy Wood..." Krew pulsowała jej teraz szybciej, niż rytm gitary basowej. Na dworze było zupełnie ciemno, prawdopodobnie także padało. ^Zdaje się, że nie był to dobry pomysł".

Ubranie, które nosiła, należało w całości do Carol. To co znaleziono w tym mini: dzinsy, bluzka, skórzana kurtka... To wszystko zostało zdarte z ciała Carol tuż 81

przed... O, Boże! "Nie to wcale nie tak, bo to ty jesteś Carol i nic ci się nie przydarzyło, ani nie przydarzy. Po prostu długi spacer do domu". Odwróciła się tak, by stanąć plecami do tego psychodelicznego światła. Poczekala, dopóki przed oczami przestały jej się przesuwać kolorowe plamki, aby dojrzeć godzinę na ściennym zegarze - za pięć wpół do dwunastej. Thelma poczuła skurcz w żołądku. "Ruszaj w drogę, dziewczyno!"

Przeciskała się w kierunku drzwi damskiej toalety. Gdy je otworzyła, buchnął zapach silnych perfum i ury-ny. Chciała opuścić to miejsce tak szybko, jak tylko mogła. Skórzana kurtka była całkiem fajna, nie jakaś tam imitacja. Tylko nieco za szeroka w ramionach, ale nie szkodzi. Andy Dark kupił ją Carol na zaręczyny.

Na ścianie napis "onanizujesz się?", wyskrobany przez jakąś obrzydliwą ladacznicę, prawdopodobnie dziewczynę tych facetów na motorach. Thelma zdała sobie sprawę, że się rumieni. Przeknęła ślinę. Bezpośrednie pytanie, które zdawało się zawstydzać każdego, kto je przeczytał. "Pilnuj swego nosa!" - pomyślała dziewczyna

Gdy zmierzała w kierunku wyjścia, czuła na sobie wzrok wielu ludzi. "Dlaczego wszyscy się gapią? Zastanawiają się, dlaczego nie ma ze mną Andy*ego i czy można z tego zrobić plotkę".

Zaczynało się chmurzyć, księżyc z trudem przedzierał się przez grubą zasłonę. Wyszedł zza chmur na sekundę czy dwie, ale gdyby przyjrzeć mu się uważnie można by dostrzec jego "oczy", "nos" i "usta". Tak widzą 82

go małe dzieci. Teraz zmarszczył brwi. "Nie powinnaś dziś sama wracać piechotą do domu, Thelma Brown. Przepraszam - Carol Embleton. Ale jeśli już musisz, to nie idź skrajem Droy Wood. Dziwne rzeczy zdarzają się tym, którzy zostali zaskoczeni przez mgłę płynącą od morza".

"Muszę".

Zerwał się wiatr, unosząc z sobą wcześniej opadłe liście i rozdmuchując je wzdłuż drogi, jak gdyby jakiś niewidzialny olbrzym zamiótł je miotłą. Mżyło, więc Thelma postawiła kołnierz, przyspieszając kroku. "Już niedługo, w każdym razie wkrótce ma podjechać ten mini".

Po obu stronach drogi ciągnął się rząd domków. Znowu czuła na sobie obce spojrzenia. "Zobaczcie. Oto ona, Carol Embleton, na swym ostatnim spacerze. Nikt jej więcej już nie zobaczy. Nigdy".

Nagła, chłodna, jesienna ulewa sprawiła, że Thelma zapragnęła biec. "Nie idź obok Droy Wood. Jeszcze nie jest za późno, możesz zrezygnować. Powiedz inspektorowi, że to było dla ciebie zbyt trudne. Nie może cię do tego zmusić".

"Nie poddam się teraz, nie zawrócę i będę szła obok Droy Wood, aż dojdę do dziury w żywopłocie, potem na skrót przez pola.

Za pół godziny będę w domu".

Wysła ze wsi. Żywopłot po obu stronach drogi ugiął się pod podmuchami wiatru. Wysoki, wiotki głóg, nie przycinany od dwóch czy trzech lat. Deszcz smagał ją w plecy, jakby popychając do przodu. "Pospiesz się, teraz jest zbyt późno, aby zawrócić. Będziesz musiała minąć Droy Wood".

83

I wtedy usłyszała nadjeżdżający samochód. "Idź ulica, żeby cię zauważył i nie minął. Jeżeli tak się stanie, będziesz musiała iść wzdłuż lasu sama".

Kierowca włókł się niemożliwie. Nie była jeszcze w zasięgu reflektorów. Poczła dziwny niepokój. "Tak musiała czuć się Carol, nie mając pojęcia, kim mógł być prowadzący auto. Tak jak ja. Przypuśćmy, że to nie jest policjant, tylko ktoś inny. Wskakuj mała, tutaj jest sucho i przyjemnie".

W tym momencie snopy reflektorów objęły ją całą, oślepiający blask nie mógł przeniknąć białej ściany mgły. Samochód przyspieszył teraz nieco, doganiając ją. Gdy się zrównali, ostro zahamował. Opony ślizgały się po mokrej nawierzchni drogi. Drzwi otworzyły się.

-Wskakuj, mała.

Zawahała się, poczuła nieodpartą chęć ucieczki. "Nie, nie wsiądę do środka. Wiem, co przydarzyło się Carol". Przytrzymując drzwi, starała się dojrzeć pograżoną w ciemnościach postać. Widać było tylko zarys sylwetki.

- No dalej, przemkniesz do suchej nitki. - Wyczuła w jego głosie lekkie zniecierpliwienie. "Nie każ mi czekać, bo..." Właśnie to "bo" ją niepokoiło, jednak wślizgnęła się na siedzenie, zamykając drzwi.

- Co wypędziło cię na taką paskudną noc, mała? -Zdawało jej się, że czuje lekki zapach mięty. "Prawdopodobnie żuje gumę, bo policjantowi nie wolno palić na służbie".

- Ja... szłam do domu. - Było to oczywiste. - Mój chłopak nie przyszedł dziś na dyskotekę, więc musiał-84

łam wracać sama. Choć wcale nie jestem z tego powodu zadowolona. - "To prawda..."

- Cholerna mgła! - Jej towarzysz ostro ruszył z miejsca, silnie przechylając samochód w lewą stronę. Włączył światła drogowe.

- Powinno się być przygotowanym na mgłę o tej porze roku, szczególnie w pobliżu terenów bagnistych. Mam nadzieję, że zaraz się z niej wydostaniemy.

- Prawdopodobnie. - "Właśnie jesteśmy przy Droy Wood".

- Jak masz na imię? - Poczła jego spojrzenie. Przecież wiedział, musiał wiedzieć, widać mieli odgrywać swoje role przez całą drogę.

- Thel... Carol Embleton. - Gdy już się powiedziało "a", trzeba powiedzieć "b", gramy przez cały czas. Mgła zgęstniała jeszcze bardziej, kłębiąc się wokół wolno jadącego samochodu, jak gdyby starała się pochwycić jego pasażerów w swoje objęcia.

- Mieszkasz gdzieś w pobliżu?

- Tak. - "Doskonale wiesz, że tak". - Mógłbyś wysadzić mnie kawałek dalej, zaraz za lasem. Jest tam przejście w żywopłocie. Stamtąd mam już parę kroków.

Ale nie wysadził jej przy przejściu. Skręcił w porytą kołami, parkujących tu samochodów, zatoczkę. Co teraz, zawrócą i pojedą do domu? "Na pewno. Nic by nie przyszło z siedzenia tam przez pół nocy" - pomyślała Thelma.

Zamilkła. Mgła skutecznie utrudniała jazdę. Musieli zwolnić do piętnastu mil na godzinę. Rzuciła krótkie spojrzenie na kierowcę. Ujrzała jego twarz we wstecz-85

nym lusterku. Nie więcej niż trzydzieści lat. Przystojny. Barczysty. Nie mogła dokładnie rozpoznać, w co był ubrany, ale były to pewnie ciuchy należące do tego Ja-mesa Fostera. Wzdrygnęła się. "Jak mógł to na siebie włożyć? Pewnie musiał. Był policjantem i płacono mu za robienie rzeczy nieprzyjemnych, których inni nie mieli ochoty robić". Thelma zauważyła, że odsuwa się od niego.

"Tak musiało to wyglądać w przypadku Carol, w samochodzie ze zboczonym mordercą. Ale ten człowiek jest policjantem.

Jesteś pewna? Skąd możesz wiedzieć, że to policjant? Musi nim być. Nie, wcale nie musi".

I wtedy wóz gwałtownie skręcił, przebijając ścianę mgły. Za szybą biały jak mleko opar, nie widać żadnych punktów odniesienia, nic. Thelma trzymała się kurczowo siedzenia, nieomal krzycząc:

- Boże, ty chyba nic nie widzisz, nie wiesz, dokąd jedziesz. Możemy się rozbić albo przewrócić!

Ale tak się nie stało. Samochód zjechał na pobocze, grzęznąc w błotnistych koleinach. Zatrzymał się. Kilka sekund bezruchu, po chwili zgasły światła, silnik wydawał się krztusić. Pozostał jedynie przyćmiony, niesamowity blask lamp pozycyjnych i kontrolki we wnętrzu.

Można było niemal dotknąć mgły, która zdawała się wsączać do środka przez niedomknięte okno, dotykać, obejmować ludzi siedzących we wnętrzu, kpiąc sobie ze wszystkiego. Przerazające. Przez chwilę Thelma doznawała uczucia ulgi. Nie rozbili się, w jakiś sposób kierowca znalazł to miejsce, do którego zmierzali. Teraz było już po wszystkim. Mogła iść do domu. 86

- To tutaj. - To było stwierdzenie, a nie pytanie ze strony policjanta.

- Tak. - Jej głos zabrzmiał dziwnie. Źle się czuła w swej roli. - To jest to... prawda?

- Nie możemy być pewni. - Jego głos był bez wyrazu. - Wszystko zależy od mgły.

- Co... co pan ma na myśli? - Lodowate palce strachu zatrzymały jej serce, a za sekundę wprawiły je w takie bicie, że Thelma bała się, że jej towarzysz może to usłyszeć.

- Mgła... - Jego ton pozostał monotony. - Nie możemy się stąd ruszyć, prawda?

Te słowa drażyły jej mózg: "Nie możemy się stąd ruszyć, prawda?"

- Moglibyśmy... wrócić do domu... jechać wzdłuż krawędzi.

- Mgła gęstnieje. - Była to z pewnością prawda, teraz nie było już widać nawet reflektorów światła pozycyjnych.

Ton głosu policjanta przerazał dziewczynę. Wyglądało na to, że wszystko układało się po myśli kierowcy. "Przykro mi, ciociu Winnie, nie możemy dziś razem wypić herbaty z powodu brzydkiej pogody. Dzięki Bogu - idealna wymówka".

- Nie możemy tutaj zostać - wyszeptala Thelma.

- Dlaczego nie? Właściwie nie jest zimno, tylko trochę mży i jest mgła. Jeśli zmarzniemy, mogę przecież w każdej chwili uruchomić silnik.

Nagle Thelma zdrętwiała. Poczła obejmującą ją rękę, która przyciągała ją delikatnie, ale stanowczo. Zbliżył swoje usta do jej

twarzą i pocałował ją.
Znowu poczuła duszący zapach mięty.
87

- Proszę... - Próbowwała się odsunąć, ale trzymał ją zbyt mocno.
- Jesteś bardzo atrakcyjną dziewczyną. - Cyniczny, przerażający ton. - Możemy tu zostać całą noc. Tylko ty i ja, żadnych zbędnych pytań. Nie trafiają tu, gdy będą nas szukali, prawda?
Thelmie zaschło w ustach. Trzymał teraz jej twarz, aby nie mogła się od niego odwrócić. Zmuszał ją do patrzenia mu w oczy. Oczy, które błyskały dziwnymi zielonymi iskierkami. Odbijały się w nich lampki kon-trolek. Przeszył ją dreszcz. Przypomniała sobie, że podobne przeżycia musiała mieć wtedy Carol. "Ale ja je-stem Thelma Brown, a nie Carol, to nie może być prawdą. To tylko żart, to gra. Ten człowiek jest policjantem, zaopiekują się mną". - Ale jego oczy mówiły coś zupełnie innego.
- Mój chłopak będzie mnie szukał - powiedziała. - On pierwszy sprzeciwił się temu, bym tu przyszła.
- Masz chłopaka! - Wydawał się zdziwiony i podekscytowany.
- Tak. - "Czy można było powiedzieć coś więcej?"
- W takim razie założę się, że nie jesteś już dziewicą. - Thelma wyczuła jego pożądliwe spojrzenie. Przypomniała sobie napis ze ściany damskiej toalety na dyskoteci. Zdawała sobie sprawę, że się rumieni, ale czuła, iż musi mu odpowiadać.
- Nie, nie jestem dziewicą. - Jego usta znowu się zbliżyły. Obrzydliwy zapach mięty. Próbowwała się opierać, ale przycisnął ją mocniej. - Przestań, to boli.
Nie przestał. Przygniótł ją do siedzenia, przywiera-88

ją do jej ust. Jego język napierał tak długo, aż rozwarła wargi i przyjęła go delikatnie swoim. Symulacja aktu płciowego. Gwałtu!

Thelma była bliska płaczu. Widziała przewiercające ją na wskroś pożądliwe oczy, które zdawały się czytać w jej myślach. Chciała krzyknąć: „Jak śmiesz?! Poskarżę się inspektorowi Filleryemu”, ale nie zrobiła tego. Z tych samych powodów, dla których Carol Embleton także nie krzychała w samochodzie kilka dni temu.

- Nie chcę, żebyś to robił - zaszlochała.
- Ale ja chcę! - Jego głos był głębokim, przerażającym szeptem. Rozpiął kurtkę dziewczyny i przesuwając po bluzce ręką, dotarł do jej krągłych piersi.
- Mamy przed sobą całą noc, kochanie.

Zbyt przestraszona, aby stawiać opór, ułożyła ciało w ten sposób, że mógł łatwo zdjąć z niej ubranie, pieszcząc ją niecierpliwie. Widząc, że mężczyzna się rozbiera, uświadomiła sobie, że nie ma szansy uciec. Bała się jeszcze bardziej tej okropnej mgły za oknami.

Uniósł ją na kolana w ten sposób, że ramiona i głowa zwiisały jej za oparciem fotela. Spoglądała na czem tylnego siedzenia, które zdawało się ją zapraszać. Thelma wybuchła płaczem. Wziął ją od tyłu, zaspokajając swój popęd.

Powoli dotarło do niej, że nie są już złączeni, że gwałciec opadł z powrotem na fotel, ciężko dysząc. Poruszyła się, trącając udem o klamkę drzwi, które otworzyły się i zakotłowały na zawiasach. Mgła wdarła się do środka, ogarnęła Thelmę swoim lodowatym tchnieniem.

Pod wpływem nagłego impulsu wyskoczyła na zewnątrz, czując pod stopami grząskie błoto.
89

- Hej, co ty do cholery wyprawiasz?! - Usłyszała pełen wściekłości wrzask mężczyzny.

Thelma zerwała się do ucieczki na oślep. Nieważny kierunek, wiedziała tylko, że musi uciec jak najdalej od tego człowieka. Gdyby ja dogonił, mógłby ją nawet zabić.

Biegła po grząskim bagnie, rozpryskując wodę, przedzierając się przez sterczące niewzruszenie zarośla. Wszystko skapanie w gęstej, mlecznobiałej mgłę. Drzewa groteskowo powykręcane, zdawały się wyciągać do niej tysiące macek, raniąc jej nagie ciało, gdy chciała je ominąć.

Biegła w panice, aż do utraty tchu. Nieludzko zmęczona, upadła na ziemię, starając się uchwycić jakieś dźwięki poza szaleńczym kołataniem własnego serca. Na lewo jakiś ruch, jakby ktoś pędził przez las, co jakiś czas grzęznąć w błocie. Odległy grzmot burzy... Nie, to trwało za długo i było zbyt ciche. Raczej odgłos serii eksplozji, jedna po drugiej. I jeszcze jedna. Księżyc był teraz jaśniejszy. Podświetlał niesamowite ruchome cienie, rozmazywane w dodatku przez mgłę. Wydawało się jej, że niebo purpurowieje, odbijając krwawe refleksy dalekich płomieni.

Patrząc w górę, miała wrażenie, że to słońce wschodzi, rozlewając pomarańczową poświatę nad horyzontem. Skuliła się, nie chcąc już nic widzieć, choć zdawała sobie sprawę, że powinna się rozejrzeć wokoło. I wtedy dziewczyna usłyszała dźwięk nadlatującego samolotu. Powietrze wibrowało tak, że w uszach czuła ból.

Rozdział VII

Andy Dark dostrzegł łódź wynurzającą się z mgły. Była teraz zaledwie kilka jardów od bagnistego brzegu. Wytężał wzrok, by dokładnie widzieć, co się dzieje. Pełzający wokół, szary opar nie ułatwiał mu obserwacji.

Dno łodzi zaszurało o piasek. Ktoś wyskoczył na brzeg, starając się podciągnąć ciężką łódź dalej. Pozostali (chyba było ich czterech) rzucili mu linę, którą przywiązał do starego korzenia. Wyskoczyli na plażę, rozmawiając przyciszonymi głosami. Rozpryskiwali wodę, biegając tam i z powrotem, wyładowując jakieś ciężkie skrzynie oraz paki.

Naliczył trzech mężczyzn i jednego chłopca, który nie mógł mieć więcej, niż trzynaście lat. Kilka jardów dalej siedzieli tamci ludzie, w swoich dziwacznych strojach i naciśniętych na oczy trójkątnych kapeluszach. Obserwowali i czekali. Śmiertelny chłód, ani jednego podmuchu wiatru. Światło zaczynało przygasać.

Andy znowu pożałował, że nie ma zegarka. Z pewnością było gdzieś koło południa. Miał takie uczucie, jakby czas biegł tutaj inaczej. A może to wina tej okropnej mgły? Nagle legendy o Droy stały się czymś więcej, niż tylko głupimi bajeczkami, które można było lekceważyć.

Postąpił naprzód kolejnych kilka jardów, po czym przycupnął za kępą trzciny. Teraz mógł lepiej widzieć tajemniczych

przybyszów. Mieli na sobie stare, zniszczone ubrania, o kroju, który w dwudziestym wieku można spotkać jedynie w muzeum i teatralnych garderobach. Polatane kapoty, koszule ręcznej roboty, spod-91

nie podkasane, aby się nie zamoczyły. Wszyscy, prócz wychudzonego chłopaka, mieli bujne brody. Jakaś straszna choroba pozostawiła piętno na twarzy chłopca. Silnie wystające kości policzkowe świadczyły o dużym wyniszczeniu organizmu. Ledwo dźwigał ogromne skrzynie, wkładając za każdym razem w ich niesienie ogromny wysiłek, jakby obawiając się kary za lenistwo. Sprawiał wrażenie zastraszonego. Spieszyli się, rozglądając się wokół z widocznym niepokojem. Było oczywiste, że to co, robili, było tajemnicą. Chcieli czym prędzej skończyć i odpłynąć.

Andy otrząsnął się. Niewątpliwie byli to przemytnicy, ale słabo zorganizowali swój proceder. Gdyby chociaż mieli łódź motorową, ale to wyglądało jak nocny koszmar, wytwór chorej wyobraźni.

Nagle ci, którzy do tej pory ukrywali się, wkroczyli do akcji. Wybiegli zza głazów, odcinając przemytnikom odwrót. Krzyki. Andy pomyślał, że to chłopak. Wrzaski. Przekleństwa. Przytłumiony strzał, ktoś wypalił z pistoletu, ale kula musiała chybić.

Gwałtowna bijatyka. Napastnicy uzbrojeni byli w ciężkie pałki z wystającymi gwoździami.

Wystrzał. Jeden z przemytników upadł. Andy widział ranę w głowie, tak głęboką, że sięgała aż po kark, obnażając kości kręgosłupa. Innego trafili dwukrotnie w pachwinę, trzeci schwytywany wrzeszczał, podczas gdy oprawcy łamali mu nogi swymi maczugami.

I wtedy Andy zauważył coś, co sprawiło, że najchętniej uciekłby w las opętany dzikim przerażeniem. Nie było wcale widać krwi. Ani kropli, nawet najmniejszej 92

strużki ciekącej z którejkolwiek z ran^adanych potwornymi ciosami!

Obrzydliwość tego widoku sprawiła, że Darkpo prostu skamieniał. Napastnicy, którzy niewątpliwie byli czymś w rodzaju celników, zajęli się teraz chłopakiem. Dwóch chwyciło go za ramiona, podczas gdy trzeci zamierzył się nabijaną gwoździami pałką. Instynkt podpowiadał Andy^mu, by przyjąć nieszczęśnikowi z pomocą. Nie mógł stać bezczynnie obok, przyglądając się obojętnie zbrodni. Ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Bez względu na to, co czuł, był zmuszony zostać i patrzeć, niezdolny nawet do odwrócenia głowy.

Zmusili chłopaka do otwarcia ust i wcisnęli mu do środka koniec maczugi. Ostre ćwieki rozrywały i wy-szarpywały kawałki ciała. Potem obracali drugi koniec pałki, wpychali ją głębiej. Chłopiec jęczał. Poranili mu język i dziąsła. Gdy wreszcie zaniechali tej okrutnej tortury, na twarzy dziecka malowało się nieme błaganie o łaskę. Ale wciąż nie było widać ani kropli krwi!

Związali wszystkim przemytnikom ręce i poprowadzili w głąb lasu, dokładnie w tym kierunku, gdzie ukrywał się przyrodnik! I wciąż Andy nie mógł zrobić kroku. Bryza od morza rozwiała już nieco mgłę, która nie stanowiła teraz żadnej ochrony.

Zauważyli go. Wystrzelili pistolet i Andy usłyszał świst kuli, która minęła go, uderzając w kamień, nie opodal jego głowy. Z wysiłkiem wyciągnął z błota uwięzione stopy i zerwał się do ucieczki. Tamci byli kilka jardów za nim. Biegł w kierunku lasu. Musiał spróbować ich zgubić. Mgła mogła się nagle rozwiać, 93

lecz równie dobrze mogła zgęstnieć. Słyszał tuż za sobą chrapliwe oddechy ścigających. Gdyby tylko miał nad nimi chociaż małą przewagę, z pewnością byłby ich zostawił w tyle. Czuł ból w płucach. Kwaśny, zatęchły odór mgły był potworny. "Ci ludzie to chyba jakieś zjawy - starał się sobie tłumaczyć - jakieś projekcje podświadomości. Mgła to ekran, na którym ogląda się film. Nie mogą mi nic zrobić, zagrażają jedynie takim samym, jak oni".

Doganiali go szybko. Kolejny strzał i znów kula świsnęła mu tuż nad głową. Miał wrażenie, że nie chcą go trafić, chcieli go mieć żywego. Żeby tylko zdołał dobiec do lasu...

I wtedy upadł. Nie był pewien, czy potknął się o jakąś kępę trawy,, czy też zmęczone nogi odmówiły posłuszeństwa. Na chwilę, przed jego oczami, zapanowała ciemność, ale już po kilku sekundach poczuł, jak nasiąka brudną, śmierdzącą wodą, co ocuciło go prawie natychmiast. Uniósł głowę, by nie zakrzuszyć się wodą z płytkiej kałuży. Zamknął oczy. Czuł, jak kula przesywa mu bark. Jeden krótki moment bólu, nic więcej. Gdzieś, kiedyś przeczytał, że nigdy nie słyszało się tego jedyne go wystrzału, po którym kula trafiała człowieka. Cisza, tylko świadomość, że prześladowcy go dopadli. Krzywiąc się z bólu, osłaniał się rękami przed ciosami maczugi.

Związali mu ręce i podnieśli na kolana. Ktoś wyrznął go pięścią w głowę. Spojrzał w górę, na te twarze, które równie dobrze mogły należeć do ekshumowanych trupów. Oczy, które patrzyły bez mrugania po-94

wiekami, rozwarte usta, z których ziała czarna czeluść, cucl)nący oddech mieszający się z odorem mgły.

Wymienili spojrzenia, rozmawiając po cichu dialektem, który mężczyzna ledwie rozumiał. Jakiś łamany angielski.

-Jeszcze jeden przemytnik... Zabierzcie go do lochu...

Został uniesiony na nogi. Silne palce chwyciły go za nadgarstki, popychając do przodu. Czuł przenikliwy chłód tych dłoni.

Niemożliwością było, by temperatura ludzkiego ciała mogła spaść tak nisko.

Potknął się i o mało nie upadł, czując jednocześnie, że ciężko obuta noga kopnęła go w udo.

Ktoś zaczął szlochać. To musiał być chłopak. Prawdopodobnie dwaj pozostali przemytnicy także prowadzeni byli do lochu.

Złość stłumiła jego strach. "Nie jestem przemytnikiem, nie obchodzą mnie wasze porachunki". Ci celnicy, bo z całą pewnością nie mógł to być nikt inny, w dawnych czasach ścigali przemytników i wymierzali im karę.

Nim doszli do lasu, mgła znowu zaczęła gęstnieć. Jeden z oprawców szedł nieco dalej, z przodu, reszta podążała jego śladem, omijając głębokie bagniska. Krążyli tak między drzewami i kępami trzciny, aż nagle w oddali zamajaczył kształt domu. "Droy House, bez wątpienia - pomyślał Andy. - Zupełnie taki jak kiedyś".

Setki lat temu stał tutaj zamek. Został zniszczony w czasie wojny domowej, potem na jego fundamentach wzniesiono obronny dwór. Posępny i groźny wznosił się nad korony drzew. Frontowe drzwi były rozwarte 95

szeroko jak paszcza potwora szykującego się do połknięcia swojej ofiary.

Weszli pokrytymi mchem schodami na ganek i przeszli holem, który kiedyś był prawdopodobnie częścią wewnętrznego dziedzińca. Drewniana boazeria pokrywała część kamiennej ściany. W głębi widać było stół i krzesło, ale innych mebli ani śladu. Jeszcze dalej widniała otwarta kłapa w podłodze, pod nią schody prowadzące w dół, w mrok.

Prześladowcy popchnęli Andy^ego na te schody. Prawie głową w dół zsunął się po kamiennych stopniach. Nie było odwrotu, czekał go masy los, a nie mógł nawet zaprotestować, nie wspominając już o jakiegokolwiek obronie. Podpełzł do ściany, by się podeprzeć. Słyszał, jak reszta jeńców została za nim wrzucona do lochu. Chłopak bełkotał, próbował krzyczeć, ale udało mu

się wydać tylko jakieś pomruki. Ranny w głowę i nogi nie był w stanie ustać. Upadł i poczołgał się w kącie. Nagle jeden z przemytników, ostatni strącony w dół, zawołał:

- Na miłość boską, tylko nie tutaj! Nigdy już nie ujrzemy światła dziennego!

Ktoś z góry zaśmiał się i spadająca kłapa pograżyła loch w nieprzeniknionej ciemności, przesyconej stęchlą wilgocią. Andy przesunął się wzdłuż ściany, badając otoczenie wyciągniętymi rękami. Zdawało mu się, że było to coś na kształt przejścia prowadzącego do przepastnych podziemi Droy House. Badając każdy centymetr przed sobą, bał się, że gdzieś tam, dalej może być jakiś głęboki, przepastny dół. Spieszył się mimo woli, jakby prze-

czuwał, że lada chwila jakaś trupio zimna dłoń złapie go za ramię.

Słyszał innych, poruszających się w ciemnościach po omacku. Ktoś się przewrócił, przeklinając w dziwnym dialekcie. Soczyste reprimendy, skierowane były najwidoczniej do chłopca. Wszyscy zdawali się zapominać o tym, że obcy został uwięziony wraz z nimi, ale prędzej czy później będą musieli sobie uświadomić ten fakt

Szczury... słyszał ich piski. W pewnym sensie wydawały się przyjaznymi stworzeniami. Zwłaszcza w porównaniu z tymi, którzy ich uwięzili. Gdzieś pod sufitem dało się słyszeć ciche trzepotanie, zapewne nietoperze. Fakt, że nietoperze tu zamieszkiwały, świadczył o tym, że mogły swobodnie wydostawać się na zewnątrz i wracać, prawdopodobnie wystarczała im jakaś wąska nisza. W takich sytuacjach człowiek chwytą się najdrobniejszej rzeczy, która może być pomocna, buduje swe nadzieje na mało znaczących szczegółach, wiedząc, że bez tego poddałby się i zginął.

Zawsze bał się podziemi, teraz ów lęk odezwał się z całą gwałtownością. Co rusz natykał się na niewidoczne, rozpostarte w mroku pajęczyny. Jeżeli jeszcze dotąd nie zwariował, to nie wytrzyma już długo. Wstrzymał oddech, nasłuchiwał. Nie słyszał pozostałych więźniów, nawet ich oddechów. Możliwe, że wcale ich tu przedtem nie było, że to tylko wytwór jego chorej wyobraźni. Albo po prostu umarli. Nie, to niemożliwe, przecież już wcześniej byli martwi. Musieli gdzieś tu być.

Obawiał się, że mogli podkraść się do nich po cichu, 97

jak drapieżne bestie, które poczuły zapach świeżego mięsa. Rozejrzał się dookoła, nie mogąc dostrzec nic prócz ciemności. Znowu wyciągnął przed siebie ręce, próbując odszukać szczelinę, przez którą wylatywały nietoperze.

Wtedy nagle czegoś dotknął. Rozpoznał ludzkie ciało. Ciepłe i żywe, zwiisało przykute do ściany. Pod wpływem dotyku ten ktoś głośno wrzasnął.

Andy cofnął się gwałtownie. Był bliski obłędu, chciał uciekać. W wyobraźni widział swoich towarzyszy, wynędzniałych i poranionych. Ale ich ciała były zimne i martwe, chociaż mogli się poruszać i mówić. To nie mógł być żaden z nich.

- Kto... kim jesteś? - Jego szept odbił się wielokrotnym echem. - Kim jesteś?

Czekając na odpowiedź, słyszał jak tamten nabrał głęboko powietrza, jak gdyby szykując się do kolejnego krzyku. Ale padło tylko jedno słowo, imię wypowiedziane z obawą, ale i z nadzieją. Jego własne imię.

- Andy? - Zabrzmiał delikatnie kobiecy głos. Poznał go natychmiast.

- Carol! Jezu, co oni ci zrobili, kochanie? Ruszył do przodu, poczuł stojącą, a raczej zwisającą pionowo postać. Nagie ciało kobiety zakute w kajdany. Jak? Dlaczego? Kiedy? Pytania, które mogły na razie pozostać bez odpowiedzi. Najpierw musiał uwolnić Carol.

- Wydostanę cię z tych dybów. - Przesunął dłoń wzdłuż jej ręki i namacał żelazne bransolety. Przestraszył się przez moment, że mogą być zamknięte na kłódkę, a klucz ma jeden z tych diabelskich celników. Po 98

chwili westchnął z ulgą. Zwykły, toporny zatrzask, nic więcej. Zardzewiały i niewyrobyony. Silnie nacisnął. Usłyszał szcęk i mechanizm ustąpił, uwalniając rękę dziewczyny. Za moment puściła druga obręcz. Carol, trzęsąc się z zimna i zmęczenia rzuciła się mu na szyję płacząc. Wciąż jeszcze nie mogła w to uwierzyć.

- Och, Andy, to naprawdę ty?

- Tak, to ja - powiedział, przyciskając ją czule do siebie i całując. Wpatrywała się z niepokojem w egipskie ciemności, czy czasem nie zjawią się te widma, chwytając ich swoimi zimnymi, martwymi rękami. Ale nic takiego się nie stało, panowała martwa cisza. Może oni w ogóle nie istnieli?

- To wszystko jest idiotyczne - powiedział szeptem.

- Wygląda na to, że stare legendy miały w sobie ziarno prawdy. Przemytnicy, celnicy z osiemnastego wieku, upiory przemierzające mgły Droy Wood. Wszystko wydarzyło się we mgle, to jej wina.

- O czym ty mówisz? - Oparła się na jego ramieniu.

- Nie widziałam żadnych celników. Uwięził mnie jakiś niemiecki pilot.

- Niemiecki pilot!?

- Właśnie. Po tym, jak uciekłam temu Fosterowi, całe niebo przybrało czerwoną barwę. Były bombardowania i strzały, a potem rozbił się samolot. Niemiecki samolot, ale lotnik zdołał wyskoczyć na spadochronie. Twierdził, że wojna jeszcze się nie skończyła, że Anglia jest o krok od klęski. Zamknął mnie tu, aby poczekać na gestapo, które ma podjąć decyzję, co ze mną zrobić.

- Wielki Boże! - Andy "emu zaszumiało w głowie. -99

Jesteśmy więc uwięzieni, a na wolności jest nazista i zboczeniec, nie wspominając o bandzie bydłaków, szalejących po lesie z maczugami.

- O co w tym wszystkim chodzi, Andy? - Carol cała się trzęsła.

- Nie mam pojęcia - przyznał. - Może to ta mgła w jakiś sposób przywraca do istnienia te postacie z minionych czasów. Tak jak w filmach, które czasami puszczają w telewizji. Sądzę, że oni żyją w tej mgle. Łapią każdego, kto pojawi się w lesie. Coś w rodzaju wehikułu czasu. Nie znajduję na to innego wytłumaczenia.

- To okropne. - Nie chciała opowiadać szczegółów swojego spotkania z Fosterem. To mogło poczekać.

- Musimy się stąd wydostać - powiedział. - Najpierw spróbujmy przez tamten właz. Może uda mi się go wyważyć. Teraz trzymaj się mnie, postaram się znaleźć drogę powrotną.

Przed każdym krokiem Andy uważnie badał podłoże. Ciągle się jeszcze bał, że lada moment schwyci go trupio zimna dłoń, że usłyszy nieszczęsnego chłopca, starającego się wyartykułować jakieś ludzkie dźwięki rozpacz. Ale nikogo nie było.

- Tu, na schody - powiedział z nadzieją w głosie, obawiając się, żeby Droy Wood nie zafundował im kolejnej, okropnej zjawy.

Wchodził, stopień po stopniu, aż gdy wreszcie dotknął kłapy włazu, jego nadzieje rozwiały się. Ciężka, masywna, z dębowego

drewna, zapewne od wieków uniemożliwiała ucieczkę takim jak oni.

- Będę musiał znaleźć coś, aby to wyważyć. - To oznaczało, że musiał z powrotem zejść do lochu i po 100

omacku spróbować szczęścia w tych nieprzeniknionych ciemnościach. Powinien wcześniej o tym pomyśleć.

Rozpaczliwie pchnął kłapę. O dziwo, ruszyła się. Zardzewiałe zawiasy zgrzytnęły, do środka wpadł szary promyk dziennego światła. Dźwigając powoli kłapę, bał się jakiejś okrutnej, podstępnej pułapki. Kolejnych sześć cali, coraz wyżej i wreszcie mógł oprzeć kłapę o ścianę holu.

- Nie mogę uwierzyć - szepnęła, ciągnąc Carol za rękę. Oboje wygramolili się pośpiesznie z piwnicy, jakby w obawie, że drzwiczki mogą się nagle zamknąć. - Nawet tego nie zaryglowali! Wydostaliśmy się, dziewczyno. Mój Boże, udało się! Przykucnęli obok, osłaniając od blasku oczy, mógł to być świt, zmierzch lub każda inna pora dnia. Zimowy dzień, przyćmiony grubą mgłą.

- Najlepiej, jeżeli wrócimy na szosę. - Carol złapała się na tym, że mówi szeptem. - Nie może być daleko.

- Tak, jestem pewien, że to niedaleko. - Zaciśnął usta, pamiętając zbyt dobrze o tym, co może czekać ich w lesie. Od wieków te same, skarłowaciałe drzewa, wieczny półmrok, mgła, bagniska i moczary, gdzie ludzie ginęli bez śladu.

- Ruszamy. Trzymaj! - powiedział, ściągając kurtkę. - Nałóż to na siebie. Teraz pobiegniemy tak szybko, jak się tylko da. "W Bogu nadzieja, że wybierzemy właściwy kierunek".

Przeszli zaledwie kilka kroków wzdłuż wybrukowanego holu, gdy usłyszeli dochodzące z góry miarowe stukanie ciężkich, skórzanych butów.

101

- Ktoś... schodził na dół po schodach. - Carol przytuliła się do swego chłopaka. Czowała, jak rozgląda się dokoła, słyszała, jak Andy wziął głęboki oddech.

Na schodach, mniej więcej w ich połowie, pojawiła się wysoka postać odziana w nieskazitelnie czysty, szarzielony uniform. Stała i patrzyła na nich jasnoniebieskimi oczami, nie mrugnawszy ani razu.

W jego prawej dłoni tkwił, trzymany jakby od niechcenia, wycelowany w nich, automatyczny ługer.

- Więc... - Bertie Hass uśmiechnął się, lecz nie było w tym grymasie nawet cienia szczeroci. - Sądziacie, że uda się wam uciec z mojego zamku, co? Myślę, przyjaciele, że łatwiej byłoby wam uciec z Colditz. - Niemiec powoli zaczął schodzić w dół, nie przestając się uśmiechać. - Wyobraźcie sobie, że jeśli jeńcy wojenni zostają przyłapani na próbie ucieczki, może ich za to spotkać tylko jedno.

Rozdział VIII

James Foster zaniechał w końcu poszukiwań swej ofiary. Kilka razy słyszał, jak pluskała wodą gdzieś tam, pomiędzy kępami trzciny; był przekonany, że ją schwyta. I tak by się stało, gdyby nie ta cholerna mgła. Teraz gdzieś zniknęła, a on musiał przyjąć do wiadomości fakt, że też zabłądził. Zupełnie stracił orientację.

Najważniejsze, to znaleźć teraz jakieś suche miejsce na resztę nocy.

Odnajdzie ją jutro, kiedy się rozwidni. Drżał z zimna. W końcu natknął się na wielką olchę rosnącą na niewielkim pagórku, gdzie nie sięgały już rozlewiska bagien. Usadził się pod pnem i kiedy złość mu przeszła, poczuł się nieomal zrelaksowany. Z wolna ogarniała go senna. Zamorduje ją. Musi. Nigdy nie zapomni swej poprzedniej zbrodni, tamtej wysokiej brunetki, która w końcu przestała się opierać i pozwoliła mu robić to, co chciał. Zbliżający się orgazm sprawił, że podniósł ręce, złapał ją za szyję i zaczął dusić. Wiła się wtedy pod nim cudownie, jej przedśmiertne konwulsje zgrały się z jego ruchami frykcyjnymi. Umierała w chwili jego wytrysku. Cudowna kombinacja. Nie żałował tego ani przez chwilę. Pobudziło to tylko jego apetyt na kolejną taką orgię.

Jeżeli Carol nie zadowoliliby go dostatecznie, zginęłaby w podobny sposób. Cholerna świnią, miał ochotę posuwać ją kilka minut i zadusić w momencie orgazmu, ale ona wyskoczyła z auta i uciekła. Przez to oboje spędzali noc w tym piekielnie obrzydliwym miejscu. 103

Myślał tylko o jutrze, jak dziewczyna doprowadzi go do kolejnej erekcji. Rano odnajdzie ją, przeleci i zabije. To była ostateczna konkluzja. Wtedy...

Coś kazało mu otworzyć oczy. Wpatrywał się w niebo z poczuciem zakłopotania. Gdzieś się porządnie paliło. Zupełnie jak ogień piekielny. Eksplozje, wystrzały, odgłosy pikujących samolotów i wystrzałów. Usiadł. I wtedy dostrzegł błyszczący bombowiec, który spadał na ziemię. Wybuchł gdzieś niedaleko, z taką siłą, że ziemia zadrżała. W blasku płonącej maszyny, dostrzegł spadochroniarza. Zdecydował, że odszuka go, aby dowiedzieć co się dzieje.

Do diabła, powinien być zostać przy swoim drzewie. Teraz znów brnął przez te cholerne błota, rozglądając się za jakimś suchym miejscem, gdzie mógłby spędzić noc. Nie odnalazł spadochroniarza i nigdy już nie odnajdzie tego skrawka suchej ziemi pod wielką olchą.

Wtedy, nie wierząc własnym oczom, dostrzegł pas gruntu, tuż przy kilku wysokich dębach. Poszedł tam, deptając miękkie dywan przegniłych liści. Deszcz ustał na moment i księżyc świecił teraz jasno pomiędzy gałęziami drzew. Trochę dalej, przed sobą, rozpoznał niewielką przecinkę.

Wciąż szedł naprzód, dotarł do przecinki i nagle poczuł się nieswojo. Miał wrażenie, że nie jest sam. Wyczuwał czyjąś obecność, nim jeszcze dostrzegł pogrążone w cieniu kształty. Niektóre z nich poruszały się tak, że otoczyły go zupełnie. Szukał jakiejś szczeliny w tym kordonie, ale nic z tego, stali zbyt blisko siebie. Przerzucił wzrok z jednej 104

postaci na drugą, próbując je zliczyć, ale stracił rachubę, było ich mnóstwo.

- Kim jesteście? - Cierpła mu skóra, gdy tak na nich patrzył. Pary świecących oczu, jak horda wilków, które skradały się, otoczywszy swoją ofiarę. - Pytam się, do diabła, kim jesteście? A może nie umiecie mówić, co?

Jakby na jakiś umówiony znak, krąg zaczął się zacieśniać. Foster chciał uciekać, kluczył to w jedną, to w drugą stronę. Miał ochotę krzyknąć. Nagle postacie zastygły w bezruchu. Z kręgu wysunął się wysoki człowiek odziany w płaszcz. Twarz miał

ukrytą za wysokim, stojącym kołnierzem.

- Czekaliśmy na ciebie - powiedział obcy, głos miał głęboki i donośny. - Jesteśmy kapłanami Okę, władcami tego miejsca, a ty ośmieliłeś się naruszyć jego spokój. Ale mimo to, przydasz się na coś. Wiedzieliśmy, że przyjdiesz. Mamy jeszcze sporo czasu...

"Cholerni wariaci" - pomyślał Foster. Nagle poczuł, że mu bardzo zimno, zaczął się trząść i miał ogromną ochotę wypróżnić się. "Cała ta hołota, to jacyś przebierańcy. Bawią się w czarną magię, czy inne sztuki tajemne". Czytał w gazetach o tym, jak sataniści bezczęścili kościoły, czasami wykopywali ciała zmarłych. Ohyda!

- Posłuchaj - zaczął, kiedy przypomniał sobie, że jest przecież zupełnie nagi. Stał z rękami skrzyżowanymi na wysokości genitaliów, jak przestraszony ucz-niak przed obliczem dyrektora.

- Nie chcę wam przeszkadzać w waszym... spotkaniu... ruszam dalej w drogę. Zostańcie w pokoju.

105

Foster zdołał zrobić zaledwie parę kroków, gdy został pochwycony od tyłu. Napastnicy poruszali się niewiarygodnie szybko. Lodowate dłonie ścisnęły go boleśnie. Wrzasnął i zaczął się szamotać. Czuł, że został uniesiony do góry i położony płasko na czyichś, kościstych plecach. Próbował przyjrzeć się ich twarzom, lecz wciąż były skryte w cieniu. Tylko te straszne oczy...

Przestał się szamotać, gdyż stwierdził, że to daremne. Nawet wtedy, kiedy przynieśli powrozy i zaczęli mu ciasno krępować ręce i nogi. Do tułowia przytwierdzili mu solidny pałąk, tak że mężczyzna musiał pozostać wyprostowany. Jedyne ruch, który mógł wykonać, to niewielkie skręty szyją. Mógł unieść głowę o kilka cali, lecz bardzo boleśnie naciągało to kręgosłup.

- O co... chodzi? - Wykrztusił. W rzeczywistości wcale nie chciał tego wiedzieć.

- Starszyzna się niecierpliwi. - Martwy głos. - Upłynęło sporo czasu od złożenia ostatniej ofiary, ale w końcu będziemy mogli sprawić radość bogom. Zaczekamy teraz na wschód słońca. Leż cicho i żałuj za grzechy, póki jest jeszcze czas.

Cisza. Gdyby go paskudnie traktowali, byłoby to dużo lepsze, niż ta okropna cisza.

Cofnął się z powrotem w cień, gdzie nie mógł ich już zobaczyć. Wciąż jednak wyczuwał ich obecność i spojrzenia napawające się jego nagością. "Żałuj, póki jeszcze czas". James Foster wiedział, że będzie musiał umrzeć.

Po pewnym czasie jego myśli zaczęły się rozplýwać, błędzić jakby pod wpływem narkotyku. Wygasło w nim pożądanie i złość. Mógł rozważyć ostatnie wy-106

darzenia z pewnej perspektywy. Ta dziewczyna, Carol, była tu gdzieś w tych lasach, zagubiona i przestraszona. Z jego powodu. Ci druidzi mogą ją znaleźć. A gdyby do tego doszło... czułby się winnym. Nie wolno zdradzić jej przed tymi szaleńcami. Jeżeli go zapytają, skłamię.

Tortura, jakiej jeszcze w życiu nie doznał, jak gdyby był zmuszony do wniknięcia w głąb swego umysłu. Musiał im wyznać, co chcieli, choć prawdopodobnie już dawno wiedzieli. Wyczuł ich moc, siłę, która wysysa z niego całą energię.

"Wyznaj swe grzechy, bo czas ucieka. Oczyść się**". "Nie mów nic o dziewczynie. Oni już wiedzą. Bardzo ją lubiłem, nie chciałem jej skrzywdzić, ale po prostu nie mogłem sobie poradzić. Nie pojechałaby ze mną, gdybym jej do tego nie nakłonił. Potem byłbym ją zabił, aby nikt inny już nie mógł jej mieć, żeby już nie wróciła do swojego chłopaka. Ty sukinsynu! Żałuję, że nie mogę jej powiedzieć, jak mi przykro. O Boże, gdybym tylko mógł ją zobaczyć, popatrzeć choć przez parę sekund i powiedzieć jej. Ale jest już za późno. Znienawidziła mnie na resztę swego życia. Tamta, którą zabiłem... - próbował sobie przypomnieć, lecz przychodziło mu to bardzo ciężko. - Chciała błagać o litość, ale moje palce, zaciskające się na jej szyi, uwięziły słowa w gardle". Nie czuł wtedy wyrzutów sumienia, ale teraz żałował. "Chcę umrzeć, abym nie musiał już więcej o tym myśleć. Ale jeżeli dostanę się w ręce policji, nie zabiją mnie, bo nie ma przecież kary śmierci. Zamiast 107

tego odstrzela mi dupę, więc teraz powinienem cieszyć się każdą, cholerną sekundą.

"Pamiętasz swój pierwszy raz, kiedy to zrobiłeś? Miałeś wtedy siedemnaście lat. Nie przypominaj mi o tym. Przypomnę ci każdą sekundę, jedną po drugiej. - Foster cierpiał katusze, ci sukinsyni! rzeczywiście pozwolili mu oczyścić się ze wszystkich brudów. - Żałuj za grzechy, do świtu już niedaleko".

"Próbowałem poderwać Berth. Miała tylko piętnaście lat, a jej rodzina nastawiła ją do mnie niechętnie: Jesteś dziewczyną, Berth i pozostaniesz nią aż do swojej nocy poślubnej, a za niego nie wyjdiesz. Z oczu widać, czego naprawdę chce. Zakazujemy ci się z nim widywać".

Więc James Foster rozstał się z Berth w drodze do szkoły. Podążał za nią, wiedział, którędy zwykle wracała z przystanku autobusowego, skrótem przez pola. Drobną i szczupłą, włosy blond. Dobrze rozwinięta, jak na swój wiek. Masturbował się co noc, marząc tylko o Berth. Stała się jego obsesją. I wtedy właśnie dobrał się do niej.

Zacząła uciekać z płaczem, kiedy wyskoczył z krzaków i zastąpił jej drogę. Spostrzegła wypukłość na wysokości rozporaka, to przestraszyło ją bardziej, niż wyraz jego twarzy.

..Jesteś dziewczyną Berth, prawda? Nienawidzę dziewczyn".

Przestraszona dała się wciągnąć w krzaki. Cała się trzęsała, gdy ją rozbierał. "Nie mam zamiaru cię pieprzyć, chcę tylko popatrzeć. I czuć". Delikatne, młode, niedojrzałe piersi, łono pokryte rzadkimi jeszcze wło-108

skami - podnieciło go to, tak jak jeszcze nic przedtem. Gdy zaczął ją dotykać, znów wybuchnęła płaczem...

"Nie chciałabyś teraz chodzić ze mną, Berth, nawet gdyby twoja rodzina powiedziała, że jestem w porządku, prawda? To ich wina, że musiałem to zrobić. Ale zanim pozwolę ci odejść, jest jeszcze coś, co chce ci pokazać".

Nie chciała patrzeć, odwróciła głowę, więc musiał chwycić ją za te delikatne, miękkie i faliste włosy. "Założę się, że nigdy tego nie widziałaś, Berth. No, ale teraz masz okazję. I radzę, mała, nie odwracaj swoich ślicznych oczu, bo się wścieknę i żaden chłopak nie umówi się z tobą już nigdy, tak będziesz miała zniekształconą twarz. A teraz patrz, ty cnotko".

Patrzyła, trzęsąc się i szlochając ze strachu. Przeszedł go dreszcz, wziął głębszy oddech. "Nie, nie mam zamiaru się z tobą kochać, ponieważ chcę spędzić miesiące i lata, myśląc o tym, jak rozkoszne mogłoby to być. Kapujesz? Nie zapomnę tego przez całe życie".

Zaniosła się głośnym płaczem, nie śmiała jednak zamknąć powiek. Patrzyła, dopóki się nie zaspokoili. Wykręcała ciało to w jedną, to w drugą stronę, gdy ciepła sperma trysnęła na jej obnażony brzuch i uda, jakby to ją parzyło. I wtedy uciekł, wiedząc, że nie zdradzi nikomu, co się jej przydarzyło. Nigdy nie powiedziała. Miesiąc później znaleziono jej ciało w rzece. Nie czuł się winny aż do tej chwili! "Zabiłeś ją, Jamesie Foster, tak samo, jak tę drugą dziewczynę, której imienia nawet nie znałeś".

"Chcę umrzeć".

"W porządku, umrzesz, ale śmierć nie jest żadną ucieczką. Życie to życie - nawet po śmierci!"

Powoli świtało; blednący blask księżycy mieszał się z szarością wstającego dnia i resztkami mgły. Foster podniósł ostrożnie głowę, dostrzegł zbliżające się postacie. Jedna z nich, wyższa niż pozostałe, zdjęła kaptur i nałożyła coś w rodzaju czapki z futra. Zobaczył twarze pozostałych, chciał odwrócić głowę, lecz nie mógł. Skóra, obciągnięta na wystających kościach policzkowych, przypominała stary pergamin. Oczy ukryte w cieniu kapturów pozostały niewidoczne. Mogły być równie dobrze pustymi oczodołami. Niemal pozabawieni ust, mieli tylko po kilka szerniałych zębów, które zdawały się ledwo trzymać. Teraz ruchy kapłana zbliżającego się do skrępowanego więźnia, były szybkie i zręczne.

- Już prawie nadszedł czas - wyseplenił, pryskając na Foster'a śliną. - Nowy dzień już wstaje, wkrótce wzejdzie słońce. Twój los się dopełni.

- Poczekał. - Foster znowu poczuł ogarniającą go panikę, gdy ujrzał długi nóż w jego ręku. Stał miała rudawy odcień, pewnie pokryta rdzą, chociaż zdał sobie sprawę, że równie dobrze mogłaby to być krew. - Nie możesz tego zrobić...

- Starszyzna nie będzie czekać. - Zabrzmiało to jak magiczna formułka. - Nie zapominaj o nich, chronili nas tutaj przez wieki, sprawili, że mogliśmy żyć dalej, gdy inni musieli umrzeć. Ich kości już dawno spróchniały w ziemi. Zsyłają nam mgłę, by nas ukrywała przed tymi, którzy chcieliby zniszczyć las, miejsce naszych misteriów. 110

-Nie możesz mnie zabić! - zawołał Foster, szarpiąc swoje więzy. - To... morderstwo!

- Właśnie dlatego ci, którzy zasiadają w wyroczni, przysłali tutaj ciebie. - Jego oczy zdawały się przez moment błyszczeć purpurą. - Mordowałeś w świecie, w którym kary nie są wystarczająco surowe. Nie skazano cię na śmierć, ale wyrok taki zostanie wykonany teraz, bo po śmierci istnieje wiele form życia. Będziesz mieszkał tutaj, w tym prastarym lesie, będziesz cierpieć. bo nie ma tu miejsca na wspomnienia z tamtego życia. Jeśli zamordujesz znowu, zapłacisz za to po stokroć, tak zostało nakazane.

Foster opadł do tyłu, zamknął oczy. Wiedział, że druid nie żartował.

- Spójrz! - Krzyk, który był początkiem dziwnego, monotonnego śpiewu, brzmiał coraz głośniejszym, jak wiatr kołyszający wielkimi kępami trzciny.

Mgła się rozrzedziła, jakby zostawiając miejsce jakiejś nowo rodzącej się, wszechmocnej sile, tam, poza lasem. James Foster dygotał z zimna. Nadszedł ranek.

Śpiew zaczął przechodzić w wysokie tony, postacie zbliżyły się jeszcze bardziej, tworząc krąg wokół olbrzymiego, ofiarnego głazu. Wpatrywały się w niebo. Wina i skrucha Foster'a mijały wraz z nikiem mroku. Nie chciał tak umierać.

- Przestańcie, skurwiele! - krzyczał, szarpiąc więzy. - Macie niezłą zabawę, co? To morderstwo. Odpowiedzcie za to. Puśćcie mnie, słyszycie? Pozwólcie mi odejść!

- Wyrok został wydany. - Kapłan-ofiamik pochylił 111

się nad nim, ostrze noża zawisło kilka cali od gardła Foster'a. - Starszyzna kazała nam przeprowadzić egzekucję. Musimy być im posłuszni.

Cisza. Z każdą sekundą różowe chmury nabierały głębokiej czerwieni. Pierwsze promienie słońca dotknęły ziemi. Foster rzucił okiem na twarze pod kapturami. Nie były już teraz ukryte w cieniu. Zamknął oczy, by ich nie widzieć.

"Boże Wszechmogący! Umarli powstałi z grobów!"

Zgodny okrzyk triumfu. Głowa przy głowie. Nagle krwawy promień słońca padł na prostokątny głaz. Oblał swym blaskiem głowę i ramiona obnażonej ofiary, skupiając się na jej gardle.

Jeden szybki ruch kapłana, zdradzający zręcznością i precyzją długotrwałą praktykę. Ugodził Foster'a, szarpnął i odsunął się na bok by nie ochlapał go strumień krwi. Mężczyzna zaczął rzeźzić, nie mógł wydusić już ani słowa. Dostał śmiertelnych drgawek.

Starszy kapłan ukląkł, reszta poszła jego śladem. Zaczęli szeptać modlitwy. Ofiary były pożądane, ale niełatwo przecież znaleźć ofiarę w miejscu, gdzie mieszkają tylko umarli. Czasami zabłąkał się tu przypadkowy wędrowiec, ale to duża gęstwina. Mnóstwo umarłych z minionych epok uganiało się za żywymi nieszczęśnikami. Mgła decydowała o ich losie, przywoływała dawne czasy, wybierając je zgodnie z nastrojem.

Każdy z nich pamiętał tego, który tamtej nocy spadł na ziemię wprost z płonącego nieba. Polowali na niego wśród trzciny i drzew. Ci w trójkątnych kapeluszach też polowali na niego. Ten człowiek miał całą przebiegłość 112

dzikiego zwierza, ale w końcu Celtowie dopadli go, zatrzymując dla siebie. Teraz był jednym z nich, tak jak wkrótce będzie i ta ofiara.

Ponieważ stara religia rządziła tym miejscem, więc jej wyznawcy musieli być posłuszni bóstwom, a bogowie żądali coraz więcej ofiar.

Rozdział IX

Thelma Brown obudziła się zdrętwiała i zziębnięta. Wciąż jeszcze nie rozwidniło się. Dziewczyna drżała z zimna. Wstała aby się rozgrzać i rozruszać mięśnie.

To, co miało miejsce tej nocy, było okropne i niewiarygodne. "Przepraszam, mam. Przepraszam, John. Mieliście rację. Nie powinnam była tego robić - myślała Thelma. - Ten człowiek w samochodzie nie był po-licjantem". Ale gdzie w takim razie była policja? Dlaczego jej nie szukają? Jak tylko się rozwidni, na pewno zaczną przetrząsać las i znajdą ją. Ale tymczasem mężczyzna, który zgwałcił Thelmę, wciąż tu był. To musiał być Foster, ten sam, który uprowadził Carol Embleton i prawdopodobnie zabił Andy'ego Darka. Foster musiał wydostać się z lasu, znaleźć nowy samochód i ponownie przejechać tą samą drogą, uprzedzając policjanta. Cholerna mgła, to ona jest wszystkiemu winna.

Dziewczyna czuła się okropnie. Może odnajdzie drogę powrotną do szosy, to nie mogło być daleko. Wystarczyło pójść... no właśnie, w jakim kierunku? Łatwo było pobłądzić w tym lesie. Brakowało punktów orientacyjnych. Miejsca niczym nie różniły się

od siebie. Wszystkie drzewa, wszystkie bagienne jeziora wyglądały tak samo. Nad wszystkim zalegała straszliwa, głucha cisza. Thelma nie mogła biernie czekać. Zobaczyła dobrze wydeptaną ścieżkę, wijącą się między drzewami, omijającą gęste trzciny. W jednej chwili zdecydowała, że nią podaży. Zarośla były wysokie, mogłyby ukryć całą armię. Trzymała się od nich 114

możliwie najdalej, jak tylko pozwalała na to ścieżka. Raz dziewczyna nieomal krzyknęła, gdy gałęzie zahaczyły ją niespodziewanie. To nie wiatr, było na to zbyt cicho. Mgła zdawała się gęstnieć z każdą chwilą. "Nigdy się stąd nie wydostaniesz Thelmo Brown. Nikomu nie uda się stąd wydostać, kiedy nadchodzi mgła". Ścieżka wciąż wiała się między drzewami. Thelma zastanawiała się, kto ją wydeptał. Na pewno nie bydło ani owce, one nie miały po co tu przychodzić; w takim razie zrobiły to dzikie zwierzęta- lisy, borsuki, króliki* Wmawiała sobie, że tak właśnie było, gdyby nie ta dziwna cisza. Martwe miejsce, którego unikały nawet zwierzęta. Ścieżka skręcała teraz ostro na lewo, obniżając się nieco. Dziewczyna nie mogła zapomnieć płonącego nieba, tamtego wybuchającego samolotu i spadochroniarza. Kiedy to widziała, wydawało się jej takie realne, lecz teraz była niemal pewna, że to halucynacje. Zatrzymała się, znów nasłuchując. Gdyby tylko mogła uchwycić dźwięk przejeżdżającego samochodu, wiedziałaby, że szosa nie jest daleko, że idzie w dobrym kierunku. Ale cały czas panowała niczym nie zmacona cisza. Ziemia pod stopami zdawała się teraz nieco twardsza, liście szeleściły nieznośnie. Drzewa zachowały kolor brudnej, brązowej zieleni, jak gdyby nie należały do miejsca, gdzie wszystko umierało. Gdyby tylko ten Fo-ster nie był w pobliżu, już dawno wołałaby o pomoc. Policja musiała przecież rozpocząć poszukiwania. I wtedy wpadła na małą dziewczynkę, nie mającą 115

więcej niż dziesięć czy jedenaście lat. Thelma zawahała się. Mogło to być kolejne urojenie. Przyglądała się uważnie. Dziecko siedziało na suchym pniu, patrząc na nią. Uśmiechała się, bynajmniej nie okazując zdziwienia. Długie, złote włosy splecione w dwa mysie ogonki. Główka zdawała się zbyt duża, jak na jej szczupłe, młode ciało. Śliczne, niebieskie oczy, staromodna sukienka sięgająca do kostek nagich stóp. Thelma pomyślała, że tak mogła wyglądać jej matka, czy może nawet babcia, kiedy była dziewczynką. Dziecko wcale nie wyglądało na przestraszone, ani nie wykazywało jakiegokolwiek zainteresowania osobą Thelmy. Trzymało w rękach kilka trzciny, próbując je zapleść, bawiąc się leniwie, jakby to był jakiś upalny, wakacyjny dzień. - Cześć! - powiedziała dziewczynka, wciąż się uśmiechając. - Co za spotkanie. - Co za spotkanie - Thelma odpowiedziała jak echo. - Nie jest ci zimno w tej letniej sukience? - Ty nie masz na sobie nic. - Zabrzmiało to jak oskarżenie. - Nie... nie mam. - Thelma zakłopotana spojrzała po sobie. - Dlaczego? - Dlatego, że... - zająknęła się myśląc: "Nie mogę jej powiedzieć, że zostałam zgwałcona". - Że wpadłam w trzęsawisko i ubranie mi przemokło. Było całe zabłocone, więc nie mogłam go dalej nosić. Zdjęłam je i rozwiesiłam na drzewie. -Moja mamusia zawsze mówiła, że nosimy ubraniatyłko 116

po to, aby ludzie nie patrzyli na nasze łała, a tak naprawdę, to wcale ich nie potrzebujemy. Ale ona już nie żyje. - Och, tak mi przykro - odpowiedziała i pomyślała: "Biedny dzieciak". - Mnie też. Może chciałabyś poznać mojego tatusia? - T-tak... ale nie mogę... w takim stanie. - On nie będzie miał nic przeciwko temu. Thelma wiedziała, że już się rumieni. Iskierka nadziei, która dopiero co w niej zgasła, teraz zatliła się znowu. Jej ojciec musi wiedzieć, jak się wydostać z Droy Wood. To zabawne, ale jakoś nie kojarzyła tej dziewczynki. Znała większość miejscowych dzieci, ale to wydawało się jej obce, chociaż zbudowano już parę nowych domów poza wioską, od strony miasta. Prawdopodobnie mieszkała w jednym z nich. Musiała, bo przecież nikt z miejscowych nie kręciłby się obok lasu. Zwłaszcza, gdy pogrążony był we mgle. - Mój tatuś jest tam - powiedziała, wskazując niedbale za siebie. - To tylko kawałek, jakieś dziesięć minut drogi. - Dobrze, chodźmy. Jak masz na imię? - Elsie. - Bardzo ładnie. - "Też staromodnie - pomyślała. - Nie nadaje się teraz takich imion". - Chodźmy więc. - Elsie wyciągnęła rękę. Kiedy Thelma złapała ją, poczuła lodowate, zimne palce, oplatające jej własne, przyprowadzając ją o dreszcz. - Jesteś zmarznięta. Powinnaś nosić cieplejsze ubranie, bo inaczej rozchorujesz się. 117

- Nic mi nie będzie, przywykłam do tego. - Jej głos był ochryply, zupełnie jakby miała chore gardło. -Wcale nie jest tak zimno, to tylko wilgoć tej mgły. Elsie ciągnęła Thelmę za rękę, jak gdyby się gdzieś spieszyła. - Co robi w lesie twój tatuś? - zapytała i pomyślała: "Nie zdziwiłabym się, gdyby mi powiedziała, żebym się nie wtrącała w cudze sprawy". - Teraz jest ciągle w lesie. Zaraz zobaczysz sama. Szły dalej w milczeniu, jakby skrępowane kłopotliwym tematem. - Tęsknię za moją mamusią. - Wyznanie zabrzmiało płacziwie. - Kochałam ją. - Jak dawno... - Parę dni temu. Chciałabyś zobaczyć jej grób? "Nie, nie chciałabym" - myślała Thelma. - Może kiedy indziej. Lepiej będzie, jeśli najpierw zaprowadzisz mnie do tatusia. - Chyba tak.

Nastrój jej towarzyszki stał się nagle ponury. Zimne palce puściły dłoń Thelmy. Elsie szła coraz szybciej. Las nie był już tutaj taki bagnisty, na ziemi zalegał gruby dywan zeschniętych liści, nagromadzonych tu przez lata, ciągły zapach stęchły nasycił powietrze. Drzewa rosły tu rzadko. Prawdopodobnie zwały się już dawno i zgniły tak, że nie było po nich śladu. Thelma dostrzegła przed sobą ogromne wyrobisko. Na przeciwległej krawędzi dołu widniał spory kopiec ziemi,

pośniętej mchem i trawą. Zastanawiała się, w jakim celu ktoś wykopał coś takiego. 118

- Kiedy mój tatuś był jeszcze małym chłopcem, wydobywano tutaj torf. - Elsie zdawała się czytać w jej myślach. Jeżeli jej ojciec był to jako mały chłopiec, dziewczynka i jej rodzice nie mogli mieszkać w tamtych nowych domach za wioską.

- Więc mieszkacie tu gdzieś? - Bezpośrednie pytanie. Może nawet zbyt bezpośrednio.

- W pewnym sensie.

"Jak brzmi twoje nazwisko? Czym się zajmuje twój tata? I gdzie właściwie mieszkacie?" - Pytania nasuwały się same. Wkrótce na pewno się dowie.

- Mój tatuś jest tam w dole. - Elsie spojrzała w głęboką norę.

Thelma zatrzymała się, opanowało ją jakieś niewytłumaczalne przerażenie.

- Co to znaczy "tam w dole"? - zapytała.

- Tam w dole! - Dziewczynka chudym palcem wskazała. - Jeśli mi nie wierzysz, chodź i sama zobacz. Myślałam, że chcesz się z nim zobaczyć. Po to cię przecież przyprowadziłam.

-- No... tak, dobrze. - Thelma poczuła, że ma nogi jak z waty. Prawdopodobnie był to jakiś żart. Dziecko od początku było

jakieś dziwne. Jej ojca wcale tutaj nie było, co najwyżej tylko w jej wyobraźni. Uciekła pewnie z domu, wagaruje i przywędrowała do Droy Wood. Całą resztę zmyśliła. Jej matka nie umarła, to tylko chorobliwa, dziecięca fantazja. Możliwe, że już jej nawet szukali. "ZAGUBIONE W DROY WOOD DZIECKO. MANIAK SEKSUALNY WCIAŻ NA WOLNOŚCI. POLICJA PROWADZI SZEROKO ZAKROJO-119

NE POSZUKIWANIA. - Takie mogły być tytuły artykułów w dzisiejszych gazetach.

- W porządku, zejść i przywitam się z twoim tatą - odrzekła myśląc: "Najlepiej będzie, jeśli zagadam ją przez moment, a potem chwycę i zatrzymam aż do przybycia policji. Jeśli w ogóle się zjawia".

Thelma ostrożnie zbliżyła się do krawędzi dołu. Był głęboki, nie widziała jeszcze dna. Strome brzegi pokrywała gruba warstwa czarnego błota. Rzeczywiście, mogło to być torfowe wyrobisko, ale jak ci, którzy tu pracowali, wychodzili na powierzchnię? W zasięgu jej wzroku nie było żadnej drabiny. Nie, jej ojciec nie może tam siedzieć. "Udawaj choć przez chwilę, że jesteś Szacowała w myślach głębokość dołu, widząc śliskie i pochyłe urwisko. "Dziesięć... dwanaście stóp i wciąż jeszcze nie ma śladu dna. Piętnaście..." Ciemna plama wody zabłysła na dnie. Te wszystkie leśne bagna były erodowane przez morze.

Teraz widziała już dno. Zdenerwowana, nie podchodziła do krawędzi bliżej niż jard. Zupełnie jak jej matka, kiedy jechali na rodzinny weekend gdzieś w plener. Ojciec parkował wtedy samochód na stromym cyplu. "Nie podjeżdżaj zbyt blisko. Frank, bo możemy się sto-czyć" - mawiała wtedy pani Brown.

Kałuża miała około dwunastu stóp średnicy. Niemożliwością było jednak odgadnąć, jak jest tam głęboko.

- Tu nie ma twojego ojca, Elsie - powiedziała i wtedy zauważyła, że coś pływa na wodzie.

Przyglądała się załując, że dała się przyprowadzić w to okropne miejsce. Ręka, która sterczała nad powie-120

rzchnią, wystające, powykręcane nogi, łysa czaszka, znie-leniące ciało z ubytkami, jakby poddało się gangrenie.

Thelma krzyknęła. Przechyliła się gwałtownie, o mało nie upadła. Gdyby nie miała pustego zołądka, zwymiotowałaby na pewno.

- Ktoś jest tam w dole - powiedziała. - Jakiś rozkładający się trup.

- Powiedziałam ci, że tam jest mój tatuś, ale nie chciałaś wierzyć. - Mała była wyraźnie urażona. - Cały czas ci powtarzałam, że mój tatuś jest w ogródku. - Ani cienia smutku. - A teraz chcesz zobaczyć grób mamusi?

- Nie! - krzyknęła Thelma, zamknawszy oczy. - Nie chcę widzieć żadnych grobów. Ten człowiek, tam na dnie nie żyje już długi czas. Powinnyśmy powiadomić policję. - "Ale, Boże miłosierny, jak to zrobić?" - zastanawiała się.

- To jest mój tatuś. - Upierało się dziecko.

- Wcale nie, nie wygłupiaj się.

- Właśnie, że tak! - wrzasnęła Elsie, tupiąc przy tym nogą.

- W porządku, to twój tatuś. - Thelma przymknęła na moment powieki. - Jak to się stało, że tam wpadł?

- Wepchnęłam go!

Thelma zamarała z przerażenia. "Nie, to niemożliwe - myślała. - Ta dziewczyna jest psychicznie chora. Znalazła ciało, zmyśliła jakąś makabryczną historyjkę. i chciała mi ją wmówić. To jakieś chore dziecko. Lepiej jej nie drażnić".

- W porządku, wepchnęłaś go. Ale dlaczego?

- Bo zabił moją mamusię. Jej grób jest tam.

121

"Boże Wszchemogący! - Z każdą sekundą stawało się to coraz bardziej idiotyczne. - Obejrzałam sobie twojego tatusia, ale ostatnią rzeczą, którą chciałam zobaczyć, jest..."

- No, spójrz wreszcie!

Thelma odwróciła głowę i zobaczyła świeży kopiec usypany zaledwie dziesięć jardów dalej. Przełknęła ślinę. Pragnęła, żeby kopczyk ziemi zniknął sprzed jej oczu, żeby był tylko zwykłym pagórkem. Ale niestety, był to grób. Krzywy, drewniany krzyż wbity na skraju, obok wianek.

- Właśnie robię następną wianuszek - powiedziała Elsie. - Będzie dużo ładniejszy. Tamten zrobiłam zbyt szybko, ale koniecznie chciałam położyć coś na grobie. Mojemu tatusiowi się nie podobał. Mnie także chciał zabić.

- Co za okrucieństwo!

- Miał inną panią. Chciał z nią uciec, ale najpierw musiał się pozbyć mojej mamy. Więc zabrał ją na spacer do lasu, by pomogła mu zbierać chrust na opał i wtedy uderzył ją siekierą. Posiekał ją na drobne kawałki. Potem ją pogrzebał.

Thelma zamarała: "To nieprawda, to niemożliwe. Ta dziewczynka powinna być zabrana do domu, do swoich rodziców, albo otoczona specjalną opieką".

- Powiedział mi, że mamusia została w lesie i że chce ze mną porozmawiać, więc poszłam z nim. Miał przy sobie siekierę.

Chciał mnie też poćwiartować, ale wepchnęłam go tam, do dołu. Zobacz, siekiera wciąż jeszcze tu leży.

Jakaś tajemnicza siła kazała Thelmie spojrzeć tam, 122

gdzie wskazywała dziewczynka. Rzeczywiście, w trawie widniał sporych rozmiarów topór. Ostrze było rudawe, pokryte cienką

warstwą rdzy. "Elsie miała bujną wyobraźnię, zorganizowała więc małe przedstawienie. Znalazła ciało nieznanego mężczyzny. Mogła nawet sama wykopać ten dół, by historia zdawała się bardziej prawdopodobna - myślała panna Brown. - Potem znalazła siekierę, starą, porzuconą gdzieś tutaj przez drwali, gdy jeszcze pracowali dla dworu Droyów. Wszystko wysrane z palca, całkiem niezłe pomysły".

- Jak dawno się to wydarzyło? - "Graj na zwłokę. Prawdopodobnie ona wie, jak się stąd wydostać".

- Kilka dni temu, może tydzień.

- Ale ten człowiek w dole nie żyje już od kilku tygodni, a może i miesięcy! - "Jezu, znowu zaczynam się jej sprzeciwiać".

- To było w zeszłym tygodniu! - wrzasnęła dziewczynka wściekła.

- Gdzie pracował twój tatuś? - Thelma próbowała odwrócić uwagę od makabrycznego tematu.

- Tu, w lesie. Był leśnikiem posiadłości Droy. "Ale w lesie nikt nie pracował od początku tego wieku, może nawet wcześniej. Kłamstwo, wszystko co ta mała mówi to same kłamstwa".

- Rozumiem. Czy wiesz, jak się wydostać z lasu, Elsie? - Thelma wstrzymała oddech, pytanie za milion dolarów. "A może zgubiłaś się, tak jak ja?"

- Nie ma stąd wyjścia, kiedy las okryje mgłą! - Natrętnie słowa same zapadały w pamięć. Nie można się 123

było od nich uwolnić. "Nie ma stąd wyjścia, kiedy mgła okryje las".

- Kto w takim razie cię tu przyprowadził, Elsie?

- Mój tatuś, mówiłam ci przecież; żeby mnie poćwiartować i zakopać, jak zakopał mamusię. "Gada od rzeczy!"

- Będziemy jednak musiały spróbować znaleźć jakiś sposób, by się stąd wydostać.

- Chyba nie słuchasz, co do ciebie mówię. Jesteś nienormalna, czy co?

- Ale jak ty tutaj przysłałaś?

- Z moim tatusiem, przecież w kółko ci to powtarzam - zachnęła się dziewczynka. Na jej pociągłej twarzy malowała się teraz złość.

- Więc jesteś tutaj od momentu, kiedy... wepchnęłaś tatusia do dziury?

- No, dotarło. - Wzniosła oczy ku niebu. - Nareszcie! Thelma starała się skupić. Gdyby tylko wiedziała, w jakim kierunku iść, by dojść do drogi, wzięłaby Elsie za rękę i siłą zaciągnęłaby ją za sobą. Ale nie wiedziała. Mogły zabić jeszcze bardziej, a nie chciała, żeby zastała je tu noc. "O Boże, co robi policja? Powinni już przecież przetrząsnąć las. Fillery nie sprawiał wrażenia kogoś, kto łatwo się poddaje".

-1 wydaje mi się, że wiem kim jesteś. - Elsie zmrugała oczy. - O tak, nie możesz być nikim innym. Powinnam była od razu się zorientować, kiedy tylko cię zobaczyłam.

- Kim więc, według ciebie, jestem? - rzekła Thelma rozbawiona, oczekując kolejnej, idiotycznej historyjki. 124

- Jesteś panią, z którą chciał uciec mój tatuś. To z twego powodu zamordował mamusię, a potem chciał zabić mnie. Zgadza się? Nie musisz już kłamać. Spotykał się z tobą w lesie, prawda? No, powiedz!

- Nie bądź niemądra - powiedziała, starając się uśmiechnąć. - Nigdy nie znałam twojego taty. Nigdy potajemnie nie widywałam się z nikim w żadnym lesie.

- Kłamczucha! - fuknęła Elsie. - To przecież oczywiste. W przeciwnym wypadku nie chodziłabyś tutaj naga. Póki nie poznał ciebie, mój tatuś był dobrym człowiekiem, tak twierdziła mama. - Wyciągnęła oskarżycielsko palec. - Ty go uwiodłaś. Kazałaś mu zabić mamę!

- Przecież to śmieszne - odparła Thelma.

- Wiedzma!

Elsie przybrała wojowniczą postawę. To było coś więcej, niż tylko rozkapryszony dzieciak, który złościł się, gdy nie spełniało się jego zachcianek. Patrząc na małą, Thelma doszła do wniosku, że ona naprawdę mogła być niebezpieczna.

- Wkrótce będzie tu policja. Już zaczęli mnie szukać. - Thelma Brown nieostrożnie zdradziła się ze swym strachem, cofając się o krok.

- Policja?! - Tym razem dziewczynka plunęła na nią z pogardą, wyraźnie prowokując. - Policja nie przyjdzie, a jeśli nawet, to i tak nas nie znajdą. Każdy zginie w Droy Wood, gdy tylko pojawi się mgła.

Thelma patrzyła jej w oczy, które nie były już oczami dziecka. Elsie hipnotyzowała wzrokiem. Nie sposób było sprzeciwić się jej.

125

- Tak, ja jestem tą kobietą. - Thelmę ogarnęło poczucie winy. - Spotykałam się w lesie z twoim tatą. Chciałam z nim uciec, bo spodziewałam się dziecka. Chciałam go mieć tylko dla siebie, ale najpierw musieliśmy zabić twoją matkę. Ciebie zabilibyśmy także, lecz okazałaś się zbyt przebiegła.

- Byłam dla was zbyt przebiegła! - wybuchła histerycznym śmiechem. - Jestem skazana na wieczne przebywanie w Droy Wood, tak samo jak ty! Żadne z nas nigdy się stąd nie wydostanie, ale ty będziesz cierpieć bardziej niż ja. A teraz idź do swego kochanka. Krzycz, nikt cię nie usłyszy. On co noc błaga o łaskę i nikt go nie słyszy. Idź do niego!

Thelma uświadomiła sobie, że nie panuje nad swoimi nogami, które poruszały się popychane jakąś obcą mocą. Próbowała wziąć się w garść, lecz była bezsilna wobec władczej energii, emanującej z tych strasznych oczu. Zrobiła krok do tyłu.

- Proszę, nie! - krzyknęła. Kolejny krok. I jeszcze jeden.

Zachwiała się. Balansując wiedziała, że znajduje się nad samą krawędzią dziury. Dostała nagłego zawrotu głowy. Czuliła, że coś ją popycha. Krzyk, ale znów tylko w jej zniewolonym umyśle. Spadła. W tym momencie zły urok przestał na nią działać, ale było już za późno.

Przeblask pamięci - kiedyś jedna ze szkolnych koleżanek zepchnęła Thelmę do basenu. Krzyk stłumiony przez wodę, która wypełniła jej usta. Zapamiętała obrzydliwy smak chloru. Tonęła coraz głębiej, aż w koń-126

cu dosięgła dna. Złapały ją wtedy czyjeś ręce i wyniosły na powierzchnię, pomagając wydostać się na brzeg.

"Tym razem nie będzie żadnego wybawcy" -- przemknęło jej jeszcze przez myśl. Uderzyła w wodę, ale coś miękkiego zamortyzowało jej upadek. Muł, gruby, czarny muł. Wszędzie dookoła, syczał, bulgotał. Powoli wypływała na powierzchnię. Najwyżej dwie stopy głębokości. Wypluwała cuchnącą wodę. Zdyszana, przestraszona, rozejrzała się dookoła siebie.

Zobaczyła...

Dokładnie w tym samym momencie krzyknęła z przerażenia. Rozkładające się ciało podpłynęło na fali wywołanej jej upadkiem. Groteskowy widok. Ręce opadały i wznosiły się, jak u marionetki. Woda cienką stróżką sączyła się z otwartych ust.

Obserwował ją. Przekręcał się na boki, zanurzał i wynurzał, podpływając coraz bliżej swoim dziwnym stylem.

- Chcę cię dotknąć, złapać, wejść w ciebie, moja najdroższa. Zbyt długo byliśmy rozdzieleni. Jesteśmy znowu razem dzięki mojej diabelskiej córce; pozostaniemy razem na zawsze.

Palce chwyciły ją silnie, lecz w jakiś sposób zdołała się wyrwać i stanąć na nogi. Z kostki lewej stopy w górę promieniował przeszywający ból. Musiała ją skrócić podczas upadku. Spróbowała postąpić kilka kroków, utykając i rozpryskując wodę, ugrzęzła jednak w gęstym mule. Była w potrzasku. Razem z oszalałym trupem, który zmartwychwstał ze swego wodnego grobu.

Zdawał się nie znać zmęczenia, podążał za każdym jej ruchem. Woda ciekła z zagłębień, które kiedyś były 127

jego nosem, ustami i oczami. Rozochocony, pożądliwy, ciągnął ją w dół.

U góry dziecko, które nazywało siebie Elsie, wychylało się znad krawędzi i spoglądało w dół, śmiejąc się obłąkańczo.

- W końcu oboje jesteście razem - zaskrzeczała. - Macie, czego chcieliście, czyż nie? Ale nie będzieck mieli dla siebie ani sekundy, bo mam zamiar siedzieć tu przez cały czas i obserwować was. Zobaczą wszystko to, co zwykliście razem robić, kiedy uciekaliście do lasu. Zostaniecie tu razem na zawsze, aleja będę tu obok. Nie dacie rady stąd uciec. A jeśli nawet, to i tak nigdy nie wydobędziecie się z lasu. Bo nikomu, nigdy nie udało się uciec z Droy Wood!

Obrzydliwy rechot rozsadał głowę Thelmy. S żarno tała się, rozpryskując wodę, lecz ruchy jej były córa wolniejsze. Kostka spuchła jej tak, że dziewczyna nie mogła już stanąć na lewej nodze, przerzucając ciężą ciałą na prawą.

I wtedy zdeformowane, lodowate dłonie chwyciły ją silnie i popchnęły do tyłu. Bezradnie patrzyła, jak h oślinione usta zbliżały się do jej warg.

Rozdział X

Konstabi detektyw Alan Lee usiadł na błotnistym brzegu porośniętego trzciną bajora i ukrył twarz w dłoniach. "Dziewczyna zginęła, prawdopodobnie na zawsze, tak jak tyli innych". A to wszystko z jego winy. Myślał o samobójstwie, zastanawiając się, czy wystarczy mu odwagi. Wątpił w to.

Widział rozbijający się samolot. Ostępiały obserwował, jak spadochroniarz szybował w dół. I wtedy policjant zrozumiał, że musiał chyba zwariować. Powinni zamknąć go gdzieś, z dala od ludzi, gdzie nie mógł nikogo skrzywdzić.

Starał się myśleć logicznie, rozwijając wydarzenia ostatnich kilku godzin. Jezu! Co zrobił tej dziewczynie? To niewiarygodne.

Zostanie oskarżony o gwałt i usiłowanie morderstwa. "Nie, to nie byłem ja, to ktoś inny. To byłeś ty, Alanie Lee. Oficer policji, który sprzeniewierza się swemu powołaniu, jak i społeczeństwu, któremu powinien służyć. Mówię ci, to nie moja wina. Zostałeś uznany winnym i skazanym na..."

Oblał go zimny pot. Nie myślał o tym, gdy postać Thelmy zamajaczyła przed nim w świetle reflektorów, nawet gdy dziewczyna już wsiadła do samochodu. Aż do chwili, kiedy wjechali w tę mgłę okrywającą dokładnie całą drogę!

Przemiana nastąpiła nagle. Od tego momentu jego myśli skoncentrowały się na negatywnych aspektach sprawy.

Rekonstrukcja to sprawa bardzo niepewna. Szansa powodzenia zawsze jest nikła. Trzeba tylko po-129

budzić pamięć właściwego człowieka. W Stanach j Zjednoczonych czasami poddaje się świadków hipnozie. Ale bez względu na metodę, wszystko zmierza do tego, by ustalić jeden drobny ślad, który poprowadziłby wprost do zabójcy. Ale tej nocy, kiedy zginęła Carol Embleton, pogoda była paskudna, więc jak w większości podobnych wiosek, prawie wszyscy poszli wcześniej spać.

Dlatego teraz policja nie miała już nic do stracenia. W tych ciuchach Fostera było mu bardzo niewygodnie. Wciąż rozmyślał o ich właścicielu. Ten zboczeniec powinien zostać zamknięty przez resztę swojego życia. Sędzia chciał być wyrozumiały, a teraz znów mieli morderstwo i dwoje zaginionych ludzi, co było przecież jego sprawką. Możliwe, że w tej chwili mają już do czynienia z potrójnym morderstwem.

W momencie, gdy wjechał w mgłę, zaczął rozumieć Fostera. Miał erekcję, zanim jeszcze ujrzał na poboczu dziewczynę. Boże, była taka śliczna. Wyobrażał sobie, jak naga leży pod nim otwarta i rozpalona. Był blisko wytrysku, załedwie o tym myśląc. W zaparkowanym samochodzie blask kontrolki na tablicy rozdzielczej dawał wystarczająco dużo światła. Mogli pozostać tam długi czas, tylko we dwoje. Może ona także o nim marzyła. A jeśli nie...

Już dotknięcie jej ciała było wstrząsem. Wiedział też, że pocałunek, który na niej wymusił, nie miał być ostatnim. Potem ona zaczęła zagrywać w dziwny sposób. Chciała go, naprawdę go pragnęła. Nieco kokieterii nikomu nie zaszkodziło, ale jeśli się z tym przesadza, to może to być frustrujące. "Chcę cię przelecieć, 130

mała, proszę! Zrobię to, czy ci się to podoba, czy nie. Zżera mnie pożądanie i nic innego mnie nie obchodzi. A może to się wcale nie zdarzyło, czysta fantazja, erotyczne marzenie? Nie, tak było, dlatego teraz tu jestem. Nagi, drżący z zimna, zgubiony na leśnych moczarach. Ona też gdzieś zniknęła. Foster także, mógł już ją zabić".

A katastrofa tego samolotu? Wszystko już ucichło, żadnego dźwięku, prócz plusku kropel kapiących z drzew. Brakowało tylko płaśających rusalek. To nie mogło się zdarzyć dalej, jak pół mili stąd. Ale wciąż panowała niczym nie zmacona cisza mglistej nocy.

Musiał odnaleźć dziewczynę. Może mógłby z nią po prostu porozmawiać i spróbować wszystko wyjaśnić. "Posłuchaj, bardzo mi przykro, wcale nie miałem zamiaru cię zgwałcić. Czy nie moglibyśmy jakoś tego zatuszować, bez składania raportu? Mam nieco oszczędności i jestem gotów ci to wynagrodzić. Nie jestem taki, jak myślisz". Ale ona nie rozumiałaby tego. To nie zmienia faktu, że powinien jej poszukać, bo wciąż jeszcze był policjantem.

Poruszał się bardzo powoli. Nagie stopy grzęzły w głębokim błocie. Znalazł się na czymś w rodzaju ścieżki. Bóg wie, kto ją wydeptał. Nieważne, musiał podążać naprzód.

Wołanie, z początku tak słabe, że mogło uchodzić za odgłos jakiegoś ptaka, gdzieś hen, daleko. Zatrzymał się i odwrócił w

kierunku dźwięku, nasłuchiwał. Nie pomogło, to musiał być wytwór jego wyobraźni. Zupełnie tak samo jak katastrofa samolotu i spadochroniarz szybujący ku ziemi. Działy się tu różne, dziwne rzeczy, 131

Usłyszał nagle czyjś krzyk, tym razem był już przekonany, że to nie sen.

Chryste! Thelma Brown musi być w jakiejś rozpaczliwej sytuacji, to z pewnością Foster. Unieszkodliwienie tego sukinsyna rozwiązałoby wiele problemów. "Gdyby Thelma już nie żyła, zrobią ze mnie kozła ofiarnego. Jeśli ją wybawię, będę mógł liczyć na wyrozumiałość - myślał Lee. - Posłuchaj, dzieciaku, wcale nie jestem taki jak on. Zapomnijmy o tym, co zaszło tej nocy". Rzucił się biegiem, lawirując między drzewami i nisko wiszącymi konarami. Znowu był policjantem. Pamiętał, że na początku misji był jeszcze uzbrojony. Jego pistolet pozostał w samochodzie. Nie miał niczego, nawet ubrania. Foster także był nagi, chyba że w międzyczasie znalazł gdzieś jakieś łachy. Konfrontacja, która mogła mieć miejsce tysiące lat temu. Człowiek naprzeciw człowieka. Nadzy.

Krzyczała teraz histerycznie, mgłaniosła głos. To gdzieś zupełnie blisko, najwyżej sto jardów.

Kilka sekund później wpadł na rozległą przecinkę, ogarniając wzrokiem wolną przestrzeń. Coś w rodzaju głębokiej dziury, to stamtąd wydobywało się wołanie, Mgła buchała z otworu, tworząc cuchnące opary, jak gdyby w głębi coś wrzało. Półmrok. Może zresztą było jasno. Czy w tym lesie w ogóle kiedyś jest jasno?

Alan Lee, zbliżając się do jamy, spostrzegł mężczyznę, który stał na przeciwległej krawędzi, wpatrując się w niego i najwidoczniej go rozpoznając. To był James Foster!

Był nagi. Wyglądał dziko, jakby żył tak od miesiąca 132

Ciało oblepione błotem. Jakieś znamię na gardle, wyglądało na szerokie skaleczenia pokryte zakrzepłą krwią. "Pewnie zranił się, biegnąc przez las. Nie może być zbyt głębokie - pomyślał policjant - inaczej wykrwawiłby się na śmierć w ciągu paru minut".

Wprawne oko Lee dostrzegło coś jeszcze. "Gwałciiciel doprowadzony jest do pełnej erekcji! Tak jak ja tej nocy".

Dziewczyna była gdzieś tam, w dole. "O co tu, do cholery, chodzi?"

- W samą porę, glino - szyderczo zaśmiał się Foster. - Ona jest tam, na dnie, a on gwałci ją!

Lee stanął niezdecydowany. Tam był Wróg Publiczny Numer Jeden. Przynajmniej w jego mniemaniu. A niżej - Thelma gwałcona przez... kogoś. Jeśli zajmę się Fosterem, może być już za późno. Jeśli zacznę ratować dziewczynę, pewnie stracę jego". Dylemat wymagający natychmiastowej decyzji. "Ratuj dziewczynę!"

Lee podbiegł do krawędzi i zajrzał w głąb mrocznej otchłani. Nagle podskoczył w tył. "To musi być kolejny, nocny koszmar!"

Ludzki kształt, groteskowa postać ociekająca szlamem, przygniatała krzyczącą dziewczynę w mętnej, płytkiej wodzie.

Szamotołnina wzbijała brudną pianę. Czuć było odór zgnilizny.

- Widzisz to? - zawołał triumfalnie Foster. - Gwałci ją, glino. Założę się, że gdyby mogła, to zamieniłaby go na mnie. Albo na ciebie! - Obłąkańczy śmiech. - Jak to jest być gwałciicielem, glino? Dadzą ci piętnaście lat, może nawet skazą na śmierć, jeśli ona umrze, bo ty ją zabiłeś. Pamiętaj, że to ty jesteś mordercą, zupełnie jak ja!

Ale policjant nie słuchał. Starał się zmusić do myślenia-133

nią, wyrwać się z odrętwienia. Musiał ratować Thelmę Brown. Jego oczy błyskawicznie spenetrowały wylot otworu, w nadziei znalezienia jakiejś drabiny lub chociaż liny. Ale nic takiego nie było.

Ta kreatura trzymała głowę dziewczyny pod powierzchnią wody, unosząc dolną połowę jej ciała ku górze. Coś w rodzaju gimnastycznej "taczki", co ułatwiała ruchy frykcyjne jego obrzydliwym udom. Kiedy przyspieszył, z jego przegniłych płuc dobiegało obrzydliwe rżenie. "Ty sukinsynu, nie masz prawa w ogóle istnieć! Może ciebie nie ma, a to wszystko to kolejna sztuczka tej cholernej mgły? Tak czy inaczej, jeśli szybko czegoś nie zrobię, dziewczyna zginie".

Lee nachylił się i wziął głęboki wdech. "Nie myśl o tym, bo inaczej stchórzysz. Wyobraź sobie, że uczysz rekrutów ratowania tonącego. Stoisz na trampolinie. Nic to, po prostu nie patrz w dół. Zaczepnij powietrza, rozluźnij mięśnie i skocz".

Miękkie lądowanie przywróciło go do rzeczywistości. Wbił się głęboko w muł, szamocząc się, by stanąć na nogi. Ugrzązł po kolana, chwilowo niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu.

"Tylko spokojnie, bez paniki, bo pogrążysz się jeszcze głębiej. Najpierw prawa noga parę cali w górę, potem lewa. Wolno, miarowo, konsekwentnie. Teraz połóż się płasko i rozluźnij". - Przypomniał sobie instrukcje ratownicze dotyczące ruchomych piasków.

Stworzenie na dnie zauważyło jego obecność. Odwróciło się powoli, puszczając dziewczynę, która 134

upadła znów twarzą w błoto. Nie ruszała się. "Jezu, spóźniłem się. Ona już nie żyje".

Oslupienie ogarnęło detektywa, gdy spojrzął z bliska na potwora o ludzkich kształtach. Ciało cuchnące zgnilizną. Szkielet od bioder w dół. W takim razie ten okropny stosunek był tylko bezsensowną symulacją, ostatnią, bluźnierczą próbą prokreacji.

W zagłębieniach, które niegdyś były nosem i ustami, formowały się bańki, które zaraz pękły. Z pustych oczodołów ciekł brudny płyn. Powoli uniół ramiona, wyciągając je w kierunku uwięzionego w mule człowieka.

Policjant zrozumiał, że osiągnął granicę wytrzymałości i nie przyjmował do wiadomości tego, co rejestrował jego wzrok.

Przechylił się do przodu, tak jak uczył podręcznik, lecz nogi wciąż tkwiły w mulistej pułapce. Z góry dochodził go obłąkańczy śmiech. To Foster delektował się jego widokiem. "Pamiętaj, że to ty jesteś mordercą, glino. Ona nie żyje, ty ją zabiłeś".

Lee przymknął na moment oczy. Ostatnia próba.

-Jestem oficerem policji!

Tamten zrobił kolejny krok do przodu, odkaszlnął i splunął obrzydliwą, żółtozieloną flegmą do wody.

- Nie słyszysz? Jestem oficerem policji! Jesteś aresztowany za gwałt i morderstwo. - "Przestań się głupio śmiać, ja nie żartuję".

- Wszystko, co od tej chwili powiesz, może zostać użyte przeciwko tobie.

Echo powtarzało jego słowa. "Chryste, to musi być jakaś studnia, głęboka na ponad sześć stóp".

Woda była zimna i cuchnąca. Smród przyparował 135

o mdłości. Lee wyswobodził prawą nogę. Muł momentalnie wypełnił pustą przestrzeń, wciągając stopę ponownie.

Detektyw usłyszał obok jakiś hałas. To Thelma, która wciąż zanurzona, przekręciła się twarzą do góry. Ręce wyciągnęła na boki, jak gdyby płynęła stylem grzbietowym, przyglądając się szaremu niebu zagłądającemu przez wylot dziury. Powietrze wydostające się na powierzchnię powodowało charakterystyczne bulgotanie. "Może jeszcze żyje... Muszę jej zrobić sztuczne

oddychanie, to mój obowiązek. Z drogi, frajerze, muszę się nią zająć".

- Jesteś aresztowany, do jasnej cholery!

Wrzeszczał teraz histerycznie. Nie zważając na wyciągniętą ku niemu rękę. Chwyił napastnika za włosy i pociągnął silnie w tył. Włosy wyszły gładko, opadły i unosiły się lekko na powierzchni wody niczym piórko. Wciąż powtarzał skurwielowi, że jest aresztowany i że musi dostarczyć go na posterunek, gdzie złoży zeznanie. Potwór wciąż naśmiewał się szyderczo z policjanta. "Zignoruj to, zajmij się swoją pracą".

Topielec siłą otworzył mu usta. Lee próbował ugryźć napastnika w rękę, lecz nie wywołało to żadnego skutku. Nagły wstrząs, okropny ból. Straszliwa istota złamała mu żuchwę.

Kreatura pochyliła się teraz, nabierając w obie dłonie czarnego błota i zaczęła wpychać je swej ofierze w rozwarte usta, dociskając paluchami głęboko, aż do samego gardła. Garść za garścią, aż maź zaczęła wychodzić przez nos.

Policjant, wydając ostatnie tchnienie, już się nie szanuje-136

moła. Podał się, wytrzeszczonymi oczami widział jeszcze sylwetkę dziewczyny pogrążoną w mule. Wsparała się o brzeg jamy. Zdołała się nawet nieco unieść, lecz ześlizgnęła się prawie natychmiast. Rozłożyła nogi. Zrobiła nieomal szpagat, ukazując rozwarte łono. Ostatni akt zemsty, nawet po śmierci.

"Przypatrz się dobrze, konstablu - zdawała się mówić. - Jestem rozdarta i wciąż krwawię. To twoje dzieło. Nie jego, bo nie zostało mu nic, czym mógłby to zrobić. Oszukałeś mnie, wykorzystując swoją przewagę i nadarzającą się okazję. Teraz ja już nie żyję, a tobie też niewiele brakuje. Daję ci najwyżej pół minuty. Żadne z nas nie wyjdzie stąd żywe. Zostaniemy tu na zawsze, razem z tym potworem i w końcu staniemy się tacy, jak on. Będziemy czekać na kogoś, by tu wpadł, a wtedy zgotujemy mu piekło. Tymczasem żegnaj, glino, ty cholerny sukinsynu. Do zobaczenia wkrótce**".

Alan Lee próbował jeszcze krzyknąć, ostatnim wysiłkiem woli wyznając skruczę. Chciał, żeby zrozumiała, dlaczego to wszystko się zdarzyło, ale było to zbyt wiele dla jego umierającego ciała. I nawet kiedy konstabi już skonał, maskara wciąż wpychała do jego rozwartych ust muł, który gardłem i tchawicą spływał do płuc.

A tam u góry, ktoś, kto kiedyś był Jamesem Fostere-m, odwrócił się i odszedł, bezmyślnie grzebiąc palcami w bezkrwawej ranie na szyi. Zwykła, podświadoma czynność, która szybko wchodziła mu w nawyk.

Rozdział XI

Andy Dark spoglądał na Niemca ze strachem i zdziwieniem. Katem oka dostrzegł otwarte drzwi. Gdyby nie ten wycelowany w nich ługer, przyrodnik pociągnąłby Carol za rękę w kierunku tego zwiastuna wolności, licząc na odrobinę szczęścia.

- Więc moje więzienie nie potrafiło was zatrzymać. - Bertie Hass zszedł na sam dół, zbliżając się teraz do nich. - Wy, Anglicy, jesteście wszyscy tacy sami, nigdy nie chcecie zaakceptować tego, co nieuniknione. Nawet teraz, w obliczu porażki wciąż walczyście, ryzykując śmierć. Szaleńcy!

- To ty zwariowałeś - warknął Andy, chowając Carol za siebie. - Wojna skończyła się prawie czterdzieści lat temu. Niemcy zostały pokonane. Wasz ukochany wódz popełnił wielki błąd, zdecydował się uderzyć na Rosję, zanim jeszcze uporał się z Anglią. Zlekceważył też zimę. Jak Napoleon...

- Milcz! - Przez sekundę wydawało się, że hitlerowiec pociągnie za spust. - Jak śmiesz obrzucać Fihrera takimi oszczerstwami? Nie podjęto jeszcze żadnej decyzji dotyczącej ataku na państwo Stalina... A jeśli nawet, to żadne szczegóły nie zostały ujawnione. - Błysk niepewności w jasnych, niebieskich oczach zniknął tak szybko, jak się pojawił.

- W porządku, niech ci będzie. - Andy wzruszył ramionami z nieszczerą obojętnością. - Anglia chyli się ku katastrofie, a ty schwytałeś nas podczas ucie-138

czki z twego prywatnego obozu jenieckiego, wiec co dalej?

- Jesteście szpiegami. - Pilot Luftwaffe wyciągnął szyję, chcąc dojrzeć, kulając się za plecami chłopaka, Carol. -1 na moje szczęście, gestapo wkrótce się tu zjawi. Są fachowcami, jeśli idzie o postępowanie z takimi jak wy. Złamię was błyskawicznie. Tymczasem przejdziemy do tego pokoju. Będzie tam wygodniej, niż stać tutaj w holu.

Pokój był czymś w rodzaju biblioteki. Andy ze zdumieniem spostrzegł, że ściany pokryte były boazerią, która wyglądała na dopiero co wypolerowaną. Od podłogi aż po sam sufit wznosiły się półki wypełnione książkami oprawionymi w skórę zdobioną złoceniami.

- Posłuchajcie! - Bertie Hass przyłożył rękę do ucha. - Słyszycie?

Carol Embleton zrazu pomyślała, że to odległy grzmot burzy, gdzieś daleko poza Droy Wood. Niebo za oknem znowu pociemniało, od czasu do czasu pojawiały się ogniste rozbłyski. "To niesamowite, nie może być już tak ciemno. Dopiero co był ranek!

Wokół sączyła się brudna, szara, mglista poświata.

Hałas na zewnątrz wydawał się jej znajomy. Przytuliła się mocno do Andy "ego szepcząc:

- To znowu bombardowanie, w każdej chwili... Patrzyli przez okno na płonące niebo. Carol wiedziała, co za moment zobaczą. Identyfikacyjne uczucie, jak przy zapalaniu fajerwerków, o których wiadomo, że za chwilę z hukiem wystrzelą w górę.

139

- Jest tam - westchnęła. - Bombowiec. Za sekundę stanie w płomieniach, rozbije się. I ten Niemiec wyskoczy na spadochronie. Usłyszeli warkot lotniczego silnika i zobaczyli płonący wrak, pędzący ku ziemi. Patrzyli dopóty, dopóki maszyna znikła z zasięgu ich wzroku, rozbijając się za linią drzew. Niebo zmieniło teraz barwę na pomarańczową. Na jego tle kołysała się mała figurka spadochroniarza. Nie było wątpliwości, że skoczek wylądował w gęstwinie Droy Wood.

Carol spojrzała zza ramienia Andy "ego i ścierpła jej skóra, ów Bertie wciąż tam stał. "Nie powinno cię tu być, przecież jesteś tam. Jak możesz być w dwóch miejscach jednocześnie?"

- Anglicy wciąż stawiają opór. - Hitlerowiec zaśmiał się pogardliwie. - Widzicie, angielskie pociski dosięgły jeden z bombowców Luftwaffe. Kolejna załoga oddała życie za ojczyznę. Otrzymają pośmiertnie Żelazne Krzyże.

- Ale... ale co z tym, który przeżył? - Carol westchnęła. - Czy spróbujesz go odnaleźć?

- Kogo? Nikt się nie uratował, cała załoga poległa na polu chwały.
- Ale jeden z nich wyskoczył na spadochronie. - "Nawet ja nie potrafię tego zaakceptować" - myślał Dark.
- Nikt nie wyskoczył. Musiało się wam przywidzieć.
- Tak, z pewnością - uciał Andy. Nie podobało mu się, że lufa ługera znów zwróciła się w ich kierunku. Prowokacja mogła oznaczać natychmiastowy wyrok śmierci. 140

Nikt nie wyskoczył z tego samolotu. Wszyscy zginęli

Ale Bertie Hass był najwyraźniej czymś poruszony. Bez wątpienia widział człowieka na spadochronie. Zagryzł nerwowo wargi, podszedł znowu do okna, wnikliwie wpatrując się w otoczenie. Szyba zaparowała na wysokości jego ust. Przeszywał wzrokiem ciemności. Czyżby szukał tam... siebie?

Andy Dark zastygł w napięciu, rozważając, co by się stało, gdyby teraz powalił Niemca. Gdyby nie Carol, z pewnością, by zaryzykował. Choć nie był to jedyny powód, który go powstrzymywał. Obserwując Hassa, spostrzegł, jak zmienia się wyraz jego twarzy. Czyżby Niemiec się bał? Zaczął się kulić, trząsł się cały, śledząc sylwetkę spadochroniarza...

Bertie Hass poczuł uderzenie chłodnego powietrza. Pociągnął za rączkę. Miał nadzieję, że zderzenie z ziemią będzie łagodne. Wolałby już zginąć na miejscu, niż stać się strzępem krwawiącego ciała, z którego nie chce ująć życie.

Pęd powietrza zapierał mu dech. Mimo to czuł się wspaniale, czuł się prawdziwie wolny, jak ptak szybujący w przestworzach. Ale to była tylko krótka chwila, najwyższe konary drzew zdawały się już go dosięgać, wyciągając swe groteskowe, powykręcane macki. Przerazające kształty.

Przy lądowaniu ugrzązł w błocie. Ciągnął za poplątane linki spadochronu, chcąc się od niego uwolnić. Mgła gęstniała. Przyjął to teraz ze spokojem. Wszystko było takie znajome. Aktor na scenie w czasie nocnego przedstawienia. Nieomal rutyna. Chciałoby się zmienić 141

scenariusz tego osobliwego przedstawienia. Ale tego jednego nie wolno mu było zrobić.

Znowu miał takie uczucie, jakby był tu już przedtem, czyżby dej^Y Znowu znalazł bagnista ścieżkę, wiedział, że zaprowadzi go do wielkiego domu, niegdyś miny. Tu będzie mieszkał aż do końca wojny. To już niedługo. Anglicy nie mogą się dalej utrzymać, zostali rzućeni na kolana.

Odgłosy bombardowania ucichły. Spojrzał na niebo, było ciemne i zachmurzone. Miasto wciąż jeszcze płonęło. Pragnął jak najszybciej zająć swoją nową kwaterę, gdzie zaczeka na wkroczenie armii niemieckiej. Będzie musiał trochę poczekać. Najpierw zjawi się dziewczyna, naga i śliczna, podobna do Ingrid. Będzie musiał się zmusić do wstrzemięźliwości, powstrzymać emocje, bo Ojczyzna ma pierwszeństwo. Dziewczyna zostanie uwięziona. Zajmie się nią później. Dziewczyna znalazła się w lochu. Oparł się pokusie, aby przesunąć dłońmi po jej nagim ciele, gdy tak wisiała na ścianie, skuta kajdanami. Później będzie aż nadto czasu na te rozkosze. Zatrzasnął z hukiem właz. Otrząsnął się, ten dźwięk przypomniał, że zbyt dobrze wie, co wkrótce się zdarzy. Aktor żalujący swego pośpiechu. Właściwie nie lubił tej partii swojej roli, gdyby był reżyserem, chętnie zmieniłby scenariusz. Wiedział, że lada chwila te dębowe drzwi po lewej otworzą się ze zgrzytem... Nie, nie tym razem. Wyjął ługera z kabury i wycelował w stronę wejścia. Przybrał postawę strzelecką, podparł prawy nadgarstek lewą dłonią. Dębowe drzwi zaczęły się otwierać, skrzypiąc, jakby te zardze-142

wiałe zawiasy nie były używane od wieków. "Tym razem nie zwlekaj, strzelaj od razu albo znowu będzie za późno" - myślał hitlerowiec.

Tęga postać wypełniła poszerzającą się szparę. Rumiana twarz z wystającą dolną szczęką, rozbiegane bystre oczy, pełne wściekłości. Dziwne, atlasowe szaty, złote guziki na szkarłatnym kaftanie, kremowe, krótkie pantalony, jedwabne pończochy i skórzane pantofle.

"Strzelaj teraz, albo stracisz okazję!"

Palec Niemca zesztyniał, jakby nagle dotknięty ar-tretyzmem. Musiał użyć całej siły woli, by wypalić mu wprost między oczy. Luger wystrzelił, zadzwoniła spadająca łuska. Strzelił po raz drugi. Kule trafiły w drewniane drzwi, wbijając się głęboko. Ofiara wciąż stała jakby zupełnie nieświadoma tego, co się działo.

Lotnik wiedział, że z takiej odległości nie może chybić. Naciskał spust raz za razem. Teraz strzały trafiły już w cel, lecz nieznanomy wciąż jeszcze trzymał się na nogach, nawet nie drgnął. Musiał już być martwy, to tylko system nerwowy. Musiał upaść lada chwila, miał w końcu zmasakrowaną całą twarz. Zachwiał się, złapał za klamkę, by się oprzeć.

- Giń! - wrzasnął Bertie, a iglica stuknęła głucho w próżnię. "Nie do wiary". Oczy tamtego ciągle patrzyły na niego kpiąco, jakby zjawa chciała powiedzieć: "Nie możesz mnie zabić, Niemcu!"

"Nie żyjesz, musisz być martwy" - myślał Hass. Wtedy poczuł, że pistolet wysunął mu się z dłoni, z trzaskiem upadając na podłogę. "Jego rany... nie krwawia!"

Nie miał pojęcia, jak długo tak stał. Blaski dniaprze-143

szły już dawno w mrok. Teraz obcy ruszył wzdłuż holu i Hass chciał rzucić się do szaleńczej ucieczki, wyjąc wniebogłosy ze strachu, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. "Jego rany zrosły się, nie pozostało po nich śladu!"

- Nie możesz mnie uśmiercić, Niemcu. - Głos obcego był niski. Wąskie wargi wykrzywiły się w okrutnym uśmiechu. - Nikt, kto jest martwy, nie może znowu umrzeć, prawda?

Hitlerowiec nic z tego nie rozumiał, mimo to przytaknął. Jasne, że niemożliwością było umrzeć, jeśli już się było martwym.

- Spodziewaliśmy się ciebie - powiedział. - Ale nie sądzę abyś mnie znał.

- Nie, sir - odrzekł pilot zakłopotany, pokorny, zmieszany tak samo, jak kiedyś, gdy podczas parady Luftwaffe spoczął na nim wzrok samego Fihrera. Zginąłby wtedy za niego bez zmruczenia oka, jeśliby wódz tylko go o to poprosił.

- Jestem Ross Droy, właściciel tych ziem, których spokój zakłóciłeś. - Gardłowy śmiech. - Spokój ostatniej twierdzy Droyów, bastionu, który nigdy się nie podda. Nasze posiadłości zostały rozkradzione i roz-sprzedane przez tych, którzy nie mieli do tego prawa, ale lasu nie zabiorą nam nigdy. Nawet wasza armia, jeśli nawet podbije nasz kraj.

Bertie otrząsnął się, ale widziadło nie odeszło.

- Walczyliśmy przez całe wieki. - Tamten machnął nonszalancko ręką. - Ale przetrwaliśmy. Możemy wykorzystać was, obcych. Pilnuj tego miejsca, jakby należało do ciebie, nie patyczkuj się z nikim, ktokolwiek tu 144

się będzie wałęsał. Czasami spotkasz innych, którzy mieszkają tu, podobnie jak ja... i ty. Moi urzędnicy są czujni i zwalczają

wszystkich, którzy wykorzystują moją posiadłość do uprawiania przemytu, a jest ich wielu, możesz mi wierzyć. Ziemię moich przodków muszą być przez cały czas dobrze pilnowane. Pamiętaj, kiedy mgła nadchodzi od strony bagien...

I nagle Ross Droy zniknął. Drzwi wciąż były otwarte, pozwalając dostrzec puste wnętrza. To mogła być halucynacja. Niemiec starał się przekonać siebie, że tak właśnie było.

W ciągu kolejnych tygodni, miesięcy i lat widział wielu innych strażników ziem Droyów, chodzących pośród mgły. Dopuszczali się licznych okrucieństw wobec tych, którzy wpadali im w ręce.

A wszyscy ci nieszczęśnicy w lochach pozostali tam, dopóki ich ciała nie zgniły. Słychać było żalosne jęki więźniów. Fetor cuchnących ciał przyprawiał o nudności. Ale kiedy się weszło do podziemi, nie było tam nic prócz ciemności i kurzu.

Dotychczas więźniowie, gdy już zostali tam wtrąceni, nie wychodzili nigdy na światło dzienne. Teraz jakimś sposobem ta dziewczyna i chłopak wydostali się na zewnątrz.

Hass przestraszył się. Zachodziły jakieś dziwne zmiany. Sam ich doświadczał. Dzisiejszej nocy był świadkiem własnego skoku na spadochronie, z zestrzelonego samolotu. Widział siebie szybującego prosto w głąb lasu. Nie wiedział, co to wszystko miało znaczyć. Bał się nawet o tym myśleć. Możliwe, że tych dwoje mogłoby mu pomóc.

145

- Nikt jeszcze nie uciekł z Droy Wood. - Głos hitlerowca przeszedł w szept. Odezwano się echo beznadziei, która tkwiła gdzieś w jego wnętrzu od momentu, gdy wylądował w środku lasu i odnalazł to miejsce, spowite wieczną mgłą, skrywającą straszne rzeczy. One prześladowały go najbardziej, starał się nie przyjmować ich do wiadomości. Prześiknięty ideologią na-zista, który żył nadzieją na ostateczne zwycięstwo Niemców. Ale to nie nastąpi tak szybko.

- Sądzę, że nam się uda - Andy Dark starał się powiedzieć to obojętnie. - Ty, Carol i ja. Jeśli połączymy nasze siły, będziemy mieli większe szansę. Musimy przecież coś zrobić, nie można po prostu tak stać z założonymi rękami. Czas ucieka... nawet dla ciebie.

- Powiedz mi - w głosie Niemca brzmiała wyraźna niechęć - jak skończyła się wojna?

- Niemcy zostały pokonane - odparł Andy, starając się powstrzymać ogarniające go uniesienie. - Jak już ci powiedziałem, błędem Fuhrera było...

- Fiihrer nie popełnia błędów. - Hitlerowiec znów wycelowal w nich pistolet.

- To pewnie wina doradców. - Andy przycisnął dziewczynę do siebie. "Chryste, nie możemy zaczynać od nowa" - pomyślał. - Armia niemiecka ugrzęzła w śniegach Rosji, a tymczasem siły aliantów zwyciężyły w zachodniej Europie. Potem Amerykanie rzucili dwie bomby atomowe na Japonię. Wtedy losy wojny były już przesądzone.

Bertie Hass zbladł, zmarszczył brwi i przez chwilę tamci oboje pomyśleli, że wybuchnie płaczem. Opuścił 146

luger, który omal nie wypadł mu z dłoni. Jego marzenia zostały rozbite w proch, jego ambicje obrócono w strzępy. r

-ALuftwaffe?

- Już nie istnieje. Niemcy zostały podzielone na dwie strefy, zachodnią i wschodnią. W Berlinie wzniesiono mur, który przegradza obie części miasta. Anglia jest w pokojowych stosunkach z Niemcami Zachodnimi, ale wschodnia połowa tego kraju jest teraz częścią bloku sowieckiego.

- Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, to nie mam już ojczyzny, do której mógłbym powrócić. - W jego głosie zabrzmiało coś w rodzaju prośby i usprawiedliwienia. Carol zrobiło się go żal. Starła się zapomnieć o tych okropnych godzinach, spędzonych w ciemnościach śmierdzącego lochu.

- Jestem pewien, że twój kraj przyjmie cię i godnie nagrodzi twoją służbę. - "Pierwszy raz w życiu muszę komuś schlebiać - pomyślał Andy. - Zdaje się, że nam uwierzył".

- W takim razie musimy spróbować opuścić Droy Wood. - Hass rzucił krótkie spojrzenie ku oknu. Na zewnątrz panował zmrok. Ani śladu dalekich pożarów, żadnych odgłosów nurkujących spitfire*ów. Żadnych eksplozji.

- Musimy wyruszyć natychmiast, zanim będzie za późno. - Niemiec otrząsnął się z zamyślenia. Znowu był pilotem Luftwaffe. Zabezpieczył broń, trzymając ich jednak na muszce. - Ale ostrzegam, jeśli to podstęp, by wywabić mnie z miejsca, które w moim przekonaniu-147

niu jest niemieckim terytorium okupacyjnym, to zginiecie natychmiast. Nie będę nawet czekał na przybycie gestapo.

- W porządku. - Andy skinął głową. - Ale teraz lepiej ruszajmy jak najszybciej. Już i tak gadaliśmy zbyt długo.

Hass kazał im iść przed sobą, tuż przed lufą pistoletu. Od momentu, gdy się tutaj znaleźli, pokój zdawał się utracić swoją świetność. Drewniane obicia nie błyszcząły już jak dawniej. Były poplamione i brudne, na powierzchni poznaczone licznymi otworami pasożytów żyjących w drewnie. Wszystko miało zapach stęchli-zny. Przeszli do holu.

Andy napał całym ciałem na ciężkie drzwi. Ruszyły się, skrzypiąc głośno zardzewiałymi zawiasami, jakby nie używano ich od dziesięcioleci. Uderzyły zimne powietrze, wilgotna mgła wciąż wisiała pomiędzy drzewami. W innych okolicznościach zaproponowaliby, aby poczekać do świtu, ale teraz nie mieli czasu. Ogarnęło ich nieodparte przecucie, że za moment coś się wydarzy. To diabelskie miejsce miało swój własny, obrzydliwy klimat.

- W którą stronę? - mruknął.

Niemiec zawahał się. Szukał choćby jednego błysku, refleksu płonącego miasta. Nasłuchiwał, czy nie wyłowi głuchych uderzeń eksplodujących bomb. Ale niczego takiego nie było. Niczego, co dałoby im jakąkolwiek wskazówkę, jaki kierunek powinni obrać.

Poszedł parę kroków naprzód, znajdując jakimś sposobem ścieżkę, tę, która prowadziła na zewnątrz, wijąc 148

się między drzewami i kępami trzciny. Mogła wieść dokądkolwiek, ale nie mogli przecież tu zostać.

Spieszyli się, choć nie mieli pojęcia, dokąd zmierzają. Czuli w ciemnościach mgłę. Nocą sprawiała szczególne wrażenie bezkresu. Parli naprzód, starając się nie tracić nadziei, choć wszystko wokół wydawało się beznadziejne...

Nagle, cisza martwego miejsca została zakłócona. Dźwięk zdawał się rozlegać zewsząd. Nawet gęsta mgła nie zdołała go przytłumić. Niesamowite wycie uderzyło w nich z jakąś nienawiścią. Carol Embleton aż krzyknęła. Dźwięk osiągnął najwyższy ton. Powtórzył się, tym razem jednak jakby zwielokrotniony.

Każdy z nich zapragnął gnać na oślep, by uciec jak najdalej, wiedząc jednocześnie, że to niemożliwe. Odgłos rozlegał się z przodu, z tyłu i z boków. Zbliżał się i oddalał, przewiercając mózg na wylot.

- Co to jest? - Carol wpadła w panikę. - Andy, co to może być?

- Brzmi jak... - "Tylko spokojnie, to niemożliwe, nie tutaj, w Anglii". Jeśli ktoś ukończył studia zoologiczne i znał życie dzikich zwierząt, odpowiedź mogła być tylko jedna. Nie było żadnej innej.

- To brzmi jak... wycie stada wilków!

Złapał ją za rękę, pociągnął w kierunku majaczącej sylwetki wysokiego dębu z nisko rozpostartymi konarami. Drzewo znacznie przerastało wszystkie sąsiednie. Pognali na oślep przez głębokie błoto, zdając sobie sprawę, że muszą się wspinać na wierzchołek, nim zostaną rozszarpani na strzępy. Za sobą usłyszeli strzały z ługera. Hass czuł się chyba oszukany.

Rozdział XII

Detektywowi Jimowi Filleryemu udało się zdrzemnąć przez godzinkę na krześle w swoim tymczasowym posterunku. Sen przerywany był ciągłym brzęczeniem telefonu, rozmowami, krokami biegających dokoła ludzi. Fillery nauczył się wykorzystywać każdą chwilę wolnego czasu na odpoczynek.

Poruszył się, zauważył, że zaczęło się rozjaśniać. Wszystko skupiło się na nim. Prasa, radio, telewizja, wszyscy chcieli go pognać. Stracił już pięćoro ludzi, a Foster był wciąż na wolności. Jeden las, wciąż przeszukiwany. Wiadomo, że oni tam są. Więc co jest grane, do cholery?!

Jeszcze jedno "polowanie". Największe w ostatnich latach, skoncentrowane na tak niewielkiej powierzchni. I jeśli nawet to nie dało rezultatu... to nie wiedział, co jeszcze mogłoby pomóc. Dzisiaj powtórnie przeszukują cały las. Jeśli będzie trzeba zajrzą pod każdy korzeń, spenetrują najmniejszy krzaczek. Ale detektyw wciąż miał przeczucie, że i tak nic nie znajdą. "Nie zdręczaj się - zganił w myśli sam siebie. - Bądź optymistą! Znajdziemy wszystkich, niech mnie jasna cholera, razem z Fosterem". Nalał sobie filiżankę kawy i wychylił ją jednym łykiem. Telefon wciąż dzwonił, centralka ledwo nadażała z połączeniami. Wybryki natury, zawsze ma się z nimi do czynienia. "Zgwałciłem i zabiłem dziewczynę, proszę mi wierzyć, panie oficerze. Złożę pisemne zeznanie i będziecie mogli zamknąć mnie na resztę mego życia". 150

Zeznania morderców mają często setki stronic, lecz ciągle trzeba było je dokładnie analizować. Dopóki nie znalazło się tego jedyne, najbardziej sprzeczne i niejasne. Trzeba kierować się przeczuciem, instynktem. A teraz instynkt Jima Fillery'ego zawodził.

Ściągnięto policję z całego hrabstwa. Włamywacze i złodzieje samochodów mogli czuć się teraz swobodnie, ale póki co, do diabła z nimi. Kiedy tylko dostatecznie się rozwidni, mają znów wyruszyć i przetrząsnąć ten pieprzony las. Zginął przecież jeden gliniarz i dla wielu ludzi było to ważniejsze od tych dwóch dziewczyn. „Jakiś skurwiel dorwał jednego z twoich kumpi, ty możesz być następny... więc porusz niebo i ziemię, by znaleźć tego mordercę” - myślał detektyw.

Fillery nie mógł pojąć, co przydarzyło się konstablowi Lee. To jeden z najbardziej obiecujących, młodych detektywów.

"Przeczemy cały las, tak, że nawet mysz polna się nie przemknie".

"Niech cholera weźmie tę mgłę! Czy ona nigdy nie ustąpi?!" Teraz opar sięgał już prawie wioski, ponure monstrum powiększało swoje królestwo. Wieśniacy są przerażeni. Wołają zamknąć się w swoich chatkach na cztery spusty i nie wychylać z nich nosa".

- Nie uda się panu, sierżancie, pozyskać z Droy pomocy w poszukiwaniach - zameldował skwapliwie Eddie Famett, zastępca naczelnika poczty. W jego ustach tlił się do połowy wypalony papieros. - Nikt z nich nie wejdzie choćby pół mili w głąb Droy Wood. Mnie to nie przeszkadza, ale muszę zostać na poczcie. Moja żona nie lubi pracy na poczcie, potrafi pilnować 151

tylko swojej części sklepowej. Rozumie pan, co mam na myśli?

Jim Fillery rozumiał doskonale. Tylko dwóch miejscowych uczestniczyło w poszukiwaniach. Konstabi Houliston, ponieważ nie miał wyboru, i Roy Bean, gdyż czuł się urażony natręctwem policjantów, które zakłócało spokój mieszkańców lasu, jakkolwiek by na to spojrzeć. Na swój sposób las był pożytecznym rezerwatem. W lecie tubylcy mogli spokojnie i bezpiecznie płodzić tutaj dzieci. Ale teraz nikt o tym nie myślał.

Muffm zdawała się dzisiaj dziwnie ospała. Nie ciągnęła nawet za smycz, trzymając się blisko swego pana. Nie miała ochoty wyrwać się naprzód. Podkuiliła ogon. "Głupia suka" - pomyślał Roy. Ale on też czuł się nieswojo. Jakby coś miało się zdarzyć, jakby wisiąło w powietrzu coś okropnego.

Na ten dzień zaplanowano potrójny "atak". Houliston z pięćdziesięcioma ludźmi miał pociągnąć naokoło skrajem lasu aż do bagien. Wtedy skręca w kierunku północnym. Do tego dwie linie poszukiwaczy - jedna na wschód, druga na zachód, zmierzały ku samemu środkowi, mniej więcej tam, gdzie znajdowały się ruiny starego domu. W sumie trzydzieści psów, siatka, przez którą nikt nie mógł się prześlizgnąć. Tak stwierdził Fillery, starając się być przekonujący. Potem mieli sondować każde bajoro. Nikt nie-wspomniał jednak o trzęsawiskach, bo tam - znikome szanse powodzenia.

Mgła była gęstsza niż kiedykolwiek. Jakby celowo zawisła nad lasem i wioską. Jak mgła, przeszkadzała 152

"myśliwym**", ukrywając swe tajemnice przed ich wścibskimi spojrzeniami.

Długie oczekiwanie. Roy Bean starał się opanować swe zniecierpliwienie. To było takie uczucie, jakby był strzelcem czekającym, aż naganiacze naprowadzą zwierzyne wprost na niego. Tylko że dzisiaj był jeszcze dodatkowy element - strach! W końcu usłyszeli gwizdek, wyrównanie tyraliery. Każdy patrzył na sąsiadów, by nie wypaść z szyku. "Trzymajcie się cały czas w zasięgu wzroku, chłopaki. Na miłość boską, nie zostawiajcie mnie samego". Bean zawsze bał się ciemności, a jeżeli mgła jeszcze bardziej zgęstnieje, to zrobi się zupełny zmrok.

Posuwali się naprzód. Spuścili owczarki alzackie i teriery. Głośne nawoływania zachęcały psy do tropienia. Tym razem musieli coś znaleźć.

* **

Jockowi Houlistonowi zabrakło godziny, by mógł dotrzeć na skraj bagien. Wciąż miał nadzieję, że zmierza w dobrym kierunku. Nareszcie dotarli do skraju moczarów i ustawili się plecami do morza. Słyszeli falę przypyływu, lecz było zbyt daleko, by mogli je zobaczyć. "Ten podmuch od brzegu chce nas z powrotem wepchnąć w las. Tak, musimy tam wejść. A więc, w drogę". Każdy rozglądał się ostrożnie, lecz nic nie widzieli, nawet zamazanego konturu Droy Wood.

Nic, tylko rytmiczny szum fal uderzających o brzeg. W umyśle powstawał obraz, coś jak bazgroły małego dziecka. Nie wiadomo, co się z tego chaosu wyłoni, 153

każda kreska przybliżyła to do wyjaśnienia tajemnicy... Łódź! Houliston zawahał się. Oczywiście nikt nie zwrócił na to uwagi, nawet ci przemyślni detektywi. Potrzeba było zwykłego, wiejskiego policjanta, by rozwiązać zagadkę.

"Foster mógł przecież uciec łodzią!"

Policjant czuł przyspieszony puls, chciał sięgnąć po krótkofalówkę. Nagle zawahał się. Ci chłopcy zagarnęliby całą sławę, nie wspominając nikomu o starym, wysłużonym policjancie z wioski. Nie, tym razem kon-stabi Jock Houliston dokona aresztowania, skuje kajdankami tego zbrodniarza, zanim... ale policjant nie miał przecież łodzi.

Odgłosy wiosel były coraz głośniejsze! A powinny cichnąć, jeśli łódź stopniowo oddalała się od brzegu.

Houliston wyciągnął szyję, widząc wyłaniający się z mgły kształt. Łódź.

Dno łódki zaszorowało o piasek. Ktoś wyskoczył na brzeg, wyciągając szalupę z wody. „Jest ich więcej...” - Houliston znów bacznie się przyglądał. Trzech, Foster... Zginęło pięć osób. To mogą być oni.

Policjant obejrzał się za siebie - reszty oddziału ani śladu. Pochłonęła ich mgła. Kompletna cisza, jeśli nie liczyć dźwięków dobiegających od strony morza. Znowu nama-cał podłużny kształt radia. Nic z tego, to będzie jego akcja.

Przykłęknął, aby być jak najmniej widocznym. Będą tędy iść, musi więc tylko spokojnie poczekać i w odpowiednim momencie wynurzyć się z mgły tuż przed nimi. Namacał w kieszeni kajdanki. Tak, wiejski gliniarz pokaże im coś nie coś. 154

Oto i są, dwóch mężczyzn i jakiś chłopak. Mogła to zresztą być jedna z dziewcząt o drobnej sylwetce. Nie, Carol Embleton była dosyć tęga. W takim razie to Thel-ma Brown. Ale teraz było to bez znaczenia, póki siedział tam Foster, najbardziej poszukiwany człowiek w całej Anglii".

Przybysze najwidoczniej obawiali się zasadzki, bo rozglądali się wokół z obawą.

Krzyknęli ze strachu, gdy Jock Houliston nagle wyskoczył tuż przed nimi, uderzając niecierpliwie gumową pałką w dłoni.

- Jesteście aresztowani, wszyscy trzej. Mam cię, Ja-mesie Foster. Zaprowadzę was wszystkich na komisariat, gdzie...

Houliston urwał, gdy spojrzał uważniej na ich twarze, starając się dopasować którąś do policyjnych fotografii. "Chryste, cóż za okropne twarze!" - przeraził się konstabl. Całe w bliznach, których nawet mgła nie potrafiła przysłonić. Nieszczęśnicy kłaniali mu się nisko, chłopiec padł na kolana, oślaniając głowę ramionami, jakby obawiał się uderzeń. Poszarpane w wielu miejscach ubranie ukazywało brudne ciało.

- Łaski, panie! Zabierz naszą łódź, nasz towar, ale puść nas wolno, błagamy. Robimy to tylko dlatego, by nie umrzeć z głodu i Bóg nam świadkiem, że i tak niewiele nam do tego brakuje.

Jock Houliston chrząknął. „Jasne, że mówili prawdę, tylko o co, do cholery, tutaj chodziło?” Gorzko się rozczarował. Żaden z nich nie był człowiekiem, którego szukali.

155

- O co tu chodzi? - mruknął Houliston zdezorientowany.

Patrzyli na niego zdumieni, nie odpowiadając.

- No jazda, jestem oficerem policji i chcę wiedzieć, o co chodzi!

- Pan... nie wie, sir? - Wysoki zdawał się mówić za resztę.

- Policja? To nie jesteś celnikiem? - zapytał drugi. Houliston brzęknął kajdankami, widząc jak skupili się razem. Zupełnie jak zwierzęta w rzeźni, czując nadchodzącą śmierć.

- Nie, sir, tylko nie lochy, błagamy. Zabij nas, byle nie tam.

- Coś zaczynacie kręcić - mruknął policjant i pomyślał: "Mam, czego chciałem, same kłopoty". Wciąż trzymając kajdanki, wyciągnął krótkofalówkę.

- Jeden - siedem - jeden - pięć, odbiór. Ktoś powinien się zgłosić. Nic. Przebiegł go dreszcz, coś ścisnęło w gardle. Zdał sobie sprawę, że z jakiegoś powodu jego radio nie działa. Został odcięty od reszty tropicieli. Był zdany tylko na siebie.

- Proszę, panie, weź naszą łódź, nasz towar... "Nie chcę waszej cholernej łódki ani towaru. Chcę Jamesa Fostera i innych zaginionych".

- Posłuchajcie, zacznijmy od początku. Powiecie mi, kim jesteście i co tutaj robicie.

Cisza. Przestraszone spojrzenia, chłopiec zaczął szlochać. "Nie może mieć więcej, jak dziesięć lat - pomyślał Houliston. - Nie był najlepiej traktowany, powinien zostać otoczony opieką". Policjant dostał gęsiej 156

skórki. Nie chciał być tym, który to robi. Nie chciał nawet dotknąć żadnego z nich, a przecież podczas swej służby miał do czynienia z niejednym nieboszczykiem. Jak na przykład Stary Matthew, pustelnik, który mieszkał w tej rozwalającej się budzie tuż nad kanałem. Umarł pewnego gorącego lata, ale zauważono to dopiero po miesiącu. Kiedy Houliston go znalazł, osy zdążyły sobie urządzić w jego ciele spore gniazdo. Ale teraz wolałby raczej znowu zająć się nim, niż tymi dziwnymi istotami w łachmanach.

"Może powinienem ich po prostu zostawić i dołączyć do reszty. Nie muszę nawet wspominać o tym, że ich spotkałem".

Chłopiec krzyknął pierwszy. Przełożony wskazywał coś we mgle, za plecami Jocka Houlistona. Pozostali byli także przerażeni.

- Są tutaj, wiedziałem, że gdzieś tu muszą być...

- To oddział poszukiwaczy. - Houliston obrócił się i o mało sam nie krzyknął. Nie mógł wydobyć z siebie ani słowa.

Z mgły zaczęły wyłaniać się postacie ledwie przypominające ludzkie sylwetki. Długie płaszcze, trójkątne kapelusze mocno nasunięte na czoło, jak gdyby starały się zniechęcić do wpatrywania w twarze ukryte w ich cieniu. W dłoniach mieli pałki i pistolety.

- Brać ich! - krzyknęli.

Musiało być ich z tuzin. Policjant wypalił z pistoletu. Smużka dymu unosząca się z lufy zabarwiła na żółto kłębiącą się mgłę.

Strażnicy zaczęli bić pałkami przemytników. Po chwili zrobili z nich niemal miazgę, ale 157

nie spłynęła ani jedna kropla krwi. Załatwiwszy towarzyszy Houlistona, zwrócili się teraz ku niemu. Był obcym, który nie powinien się znaleźć na bagnach wraz z przemytnikami.

- Jeszcze jeden?! - krzyknął któryś, zdumiony.

- Bierzcie go, teraz!

Szokująca rzeczywistość dotarła do zdętwiałego ze strachu policjanta. „Jestem policjantem i nie mogę tego tolerować”.

Dwudziestopięcioletnie doświadczenie nauczyło go radzić sobie w najróżniejszych sytuacjach. Ale teraz jego instynkt zawodził.

Ruszył naprzód, wywijając gumową pałką niczym mieczem, znalazł wreszcie cel. Trafił najbliższą postać w brzuch. Mężczyzna

w płaszczu powinien zgiąć się w pół i paść na ziemię, ale nic takiego nie zaszło.

Uderzenie szarpnęło ręką Houlistona. Poczuł dotkliwy ból w ramieniu i o mało co nie wypuścił pałki. Ktoś zacisnął swe lodowate palce na jego szyi. Posterunkowy zaczął się dusić. Zjawy rzuciły się na niego.

Jock Houliston walczył na osłep, ogarnięty szałem, ale po chwili wykręcili mu do tyłu obie ręce. Inni kopali go i okładali swymi pałkami. Związano mu nogi i podniesiono.

- Do lochu? - zapytał ktoś.

- Nie! - Nastąpiła cisza. Ten, do którego skierowane było pytanie, zastanawiał się, zmuszony do podjęcia konkretnej decyzji. - W zamku dzieją się dziwne rzeczy, powinniśmy się trzymać z dala od niego. Do bagna z nim, tak będzie najszybciej!

Houliston uświadomił sobie, że niosą go. Jeszcze raz 158

spróbował zmusić się do myślenia: "Jestem policjantem, a oni mnie napadli. W lesie i na bagnach aż roi się od policji, wyratują mnie lada chwila".

Ale nikt się nie zjawiał, by go wybawić. Gdziekolwiek był oddział poszukiwaczy, nikt nie wiedział o tym, co zaszło. W tym królestwie mgły i ciszy jedynym dźwiękiem był chlupot nóg na podmokłym podłożu. Houliston zamknął oczy. To był chyba jakiś koszmar. Kiedy się obudzi, wszystko zniknie, pozostanie tylko kilka przykrych wspomnień.

Prześladowcy stanęli. Trzymające go ręce zacisnęły się mocniej, przeszywając swym lodowatym zimnem. Unieśli go wysoko nad głowy.

Doskonale wiedział, co mają zamiar zrobić. Czuł odór trzęsawiska. Ostami raz spróbował walczyć, ale poddał się, gdyż trzymali go z niewiarygodną siłą. Krzyknął:

- Jestem oficerem policji, jesteście aresztowani!

Kościaste dłonie w końcu go puściły. Chłodne powietrze uderzyło posterunkowego w twarz, gdy wyleciał w górę jak wystrzelony z katapulty, a potem zaczął spadać. Wstrzymał oddech... wpadł do wody, grzęznąc w błocie.

Zaczął się szamotać, ale tylko głębiej pograżał się w mule. Usiłował zachować spokój.

Mgła zawirowała i przez krótką chwilę ujrzał swych napastników, stojących na skraju bagna.

"Dlaczego to robicie?"

Nie było już ratunku dla policjanta.

"Do jasnej cholery, powiedzcie mi, dlaczego?"

159

Nie było odpowiedzi. Te kreatury włóczące się po bagnach nikomu nie wyjaśniały motywów swego postępowania. Działy według własnych praw. Kiedyś kazano im ścigać tych, którzy przybywali potajemnie na wybrzeże, więc nie widzieli powodu, aby zmieniać ten rozkaz.

Policjant nie próbował nawet przedłużyć swojego życia, gdy zanurzył się pod powierzchnię. Było ciemno, nastąpiła już noc. Leżał w bagnie długie godziny.

I nagle, gdzieś blisko, usłyszał wołanie ludzi i szczekanie psów. Jeszcze raz wyciągnął szyję, nabrał powietrza, aby wezwać pomocy.

Prawie mu się udało, ale głos stłumił cuchnący muł, który zalał mu otwarte usta.

Rozdział XIII

Andy Dark wspiął się na najniższą gałąź dębu, podając rękę Carol. Wchodzili coraz wyżej. Pomagał jej przechodzić z jednego konara na drugi, a Bertie Hass nie przestawał strzelać. Salwy z pistoletu wibrowały w wilgotnym, nocnym powietrzu, cichnąc w oddali. Zwierzęcy charkot nie ustawał.

- Wilki, to jasne - wymamrotał Andy.

- Niemożliwe! - Carol zamknęła oczy, starając się wmówić sobie, że lada chwila się obudzi. "Proszę, Boże, niech to będzie tylko sen, majak w gorączce spowodowanej marszem tamtej deszczowej nocy. Nie wsiadłam do żadnego samochodu i nie zostałam zgwałcona, nikt mnie nie więził w żadnym lochu. Nie było żadnego Niemca. Nie siedzę teraz na drzewie..."

Wilki wyły teraz jeszcze głośniejsze. We mgle dostrzec było można zarysowujące się z wolna sylwetki zwierząt, które równie dobrze mogły być owczarkami alzackimi.

- Stało się coś okropnego - powiedział Andy.

- Co masz na myśli?

- Wygląda na to, jakby cały las nagle odżył. Nie tylko ten stuknięty Niemiec, który ciągle walczy za swego wodza. Czas nie cofnął się tylko o czterdzieści lat, ale o całe wieki, a może nawet bardziej. Wszystko przemieszało się razem.

- Co teraz robimy?

- Na razie możemy tylko siedzieć na tym drzewie. 161

Modlili się o nadejście dnia, o zniknięcie mgły i o to, by zjawił się tutaj jakiś oddział uzbrojony w karabiny.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego nikt nas nie szuka - powiedziała Carol. - Na pewno znaleźli mini i twojego land rovera. Muszą wiedzieć, że tu jesteśmy, więc czemu jeszcze ich nie ma?

- Wydaje mi się - odparł Dark - że ten las nie dla każdego jest taki sam. Może wszystko, co oni tu widzą, to jedynie gęsta mgła. Nie wiem, nie potrafię tego wytłumaczyć.

Chwilę potem usłyszeli, jak Niemiec zaczął krzyczeć. Ochrypli, przerażliwy wrzask. Brzmiało to, tak jakby wilki zaczęły walczyć ze sobą. Trwało to jakąś minutę, nie dłużej, potem znowu zapadła cisza.

- To straszne! - Dziewczyna starała się uciec od obrazu, jaki podsuwała jej wyobraźnia. Dziwny człowiek w mundurze, rozszarpywany przez wilki, które powinny były nie żyć już od wieków.

- Nie udało mu się uciec na drzewo - powiedział cicho Andy, obejmując ją opiekuńczo ramieniem. - Dla niego czas się już skończył. Sądzę, że ten spadochroniarz dziś w nocy był dla niego jakimś zwiastunem śmierci. Ale on nie był... prawdziwy.

Umilkł. Nie chciał zamieniać swych myśli w słowa. W końcu musi się przecież kiedyś rozjaśnić. Chociaż niekoniecznie. Droy

Wood nie podlegał prawom natury.

- Co to jest? - Carol musiała zdrętwiać się przez moment. Nogi jej zdrętwiały tak, że gdyby Andy jej nie przytrzymał, spadłaby. Usłyszała odległy dźwięk pły-162

nącej wody. Przypominało jej to, jak w dzieciństwie jeździła z rodzicami do Elan Valley, aby podziwiać groźny, spieniony nurt rzeki poniżej tamy.

- To morze - odparł Andy Dark. Za tydzień przypadają największe przypyły w tym roku. Czasami, jak mówią miejscowi zalewa las, aż po samą drogę. - "Droga... - pomyślał mężczyzna. - Jak tam dotrzeć?" - Nigdy jeszcze nie widziałem jesiennych przypyłów, a wieśniakom nie zawsze można wierzyć, choć morze brzmi dzisiaj rzeczywiście groźnie. Może powieje silny wiatr i rozpędzi tę cholerną mgłę. O, zaczyna się rozjaśniać.

Mgła powoli opadała. Mogli rozróżnić już kształty otaczających ich drzew, pni, które ponownie stały się szkaradnymi maskarami. To tak, jakby Droy Wood był przedsionkiem piekieł.

Mgła z wolna nabierała lekko różowej barwy, jak gdyby słońce próbowało się przez nią przebić. Lecz wciąż nie było żadnego wiatru, tylko martwa cisza.

Andy wzdrygnął się. Zdawało mu się, że usłyszał krzyk, ale nie był pewien. Pojedynczy okrzyk bólu i przerażenia, podobny do tego, jaki wydał Hass, gdy stado wilków rozszarpało go na strzępy.

- Nie możemy tutaj zostać - powiedział powoli Andy.

- Przecież nie zejdziemy na dół. - Carol ścisnęła go za ramię. - Nie możemy, Andy, wilki...!

- Wilki odeszły - odrzekł przyrodnik i pomyślał:

"Mam nadzieję!" - Nie sądzę, byśmy mieli z nimi jakieś kłopoty, a jeśli tylko je usłyszymy, wskoczmy szybko na najbliższe drzewo. Jeżeli zostaniemy tu, 163

u góry» to tak skostniejemy z zimna, że spadniemy prędzej czy później.

- Chyba masz rację. - Wpatrywała się w mgłę.

- Myślę - "To jej się na pewno nie spodoba** - że jeżeli pójdziemy na oślep, to zbłądzimy jeszcze bardziej.

- Co w takim razie robimy?

- Naszą jedyną szansą jest powrót do Droy House.

- Nie! - Carol odsunęła się od mężczyzny. - Wszędzie, tylko nie tam. Jesteś szalony!

- Posłuchaj uważnie, dobrze? - Andy chwycił ją za nadgarstek, obawiając się przez sekundę, że mu ucieknie. - Ten dom ma płaski dach. - "Chyba że znowu zmienił się ten jego cholerny kształt**". - Jeśli uda nam się tam wydostać, będziemy ponad wierzchołkami drzew. Zrobiło się już jasno i moglibyśmy spróbować zwrócić ich uwagę z tego miejsca. Teraz policjanci muszą już przeszukiwać las. Możemy się wydzierać, wrzeszczeć, narobić piekielnego hałasu ...

Carol zagryzła wargi, drżała. To, co mówił Andy, było sensowne. Niemiec już zniknął, lecz pozostawał wciąż ten straszliwy loch. - W porządku, chyba teraz nie mamy już nic do stracenia.

W momencie, gdy dotknęli ziemi, zdrętwiałe nogi ugięły się pod nimi. Próbowali rozmasować mięśnie, by przyspieszyć krążenie krwi. Po chwili zaczęli cofać się po własnych śladach, grzęznąc w błocie.

- Jest dużo stojącej wody - mruknął Andy. - Więcej niż nocą... jakby morze stopniowo wdzierało się do lasu. - Teraz musiał niemal krzyknąć, aby słyszeć swój 164

głos wśród szumu fal. - Myślę, że przypyły wkrótce zaleje cały las! - To pokrzyżowało ich plany. Pamiętał, jak kiedyś uczestniczył w akcji Straży Przybrzeżnej ratującej jakiegoś człowieka, który zbierając na plaży muszle, został zaskoczony przyływem. Stał bezradny na piaszczystej wysepce, kiedy przestrzeń między nim a brzegiem wypełniała się wodą, odcinając mu odwrót. Przybyli akurat w samą porę. Teraz mieli jeszcze jeden powód, by powrócić właśnie do Droy House. - To było jedyne miejsce położone wyżej.

- Patrz! - Carol zatrzymała się, wskazując palcem przed siebie. Tuż obok, na mulistej ścieżce leżał pistolet hitlerowca. Obok spoczywała kabura i skórzany pas z amunicją. Nic więcej. Żadnego ciała czy resztek munduru. Andy podniósł broń, sprawdził ją, wyrzucając bezużyteczne łuski i wachając lufę osmaloną kordytem.

- Przynajmniej to jest prawdziwe. Zastanawiam się, czy... - Podniósł pas, otworzył ładownicę i wysypał na dłoń kilkanaście mosiężnych naboji. Prawdziwe, lśniąco, fabrycznie nowe.

Naładował broń, odrzucając pas z powrotem na ziemię. Pozostałe naboje schował do kieszeni.

- Przynajmniej jesteśmy uzbrojeni - starał się mówić przekonująco. Oczywiście, nie było wokół żadnych martwych wilków, nawet krwawych trupów. Zresztą nie spodziewał się ich znaleźć.

- Ruszajmy - powiedział, popychając ją naprzód. - Im szybciej dotrzemy do domu, tym lepiej. To miejsce zaczyna nasiąkać jak gąbka. - Miał okropne przeczucie, że nigdy nie wydadzą go z tego lasu.

165

Na moment słońce przedarło się przez mgłę, ale ona jakby w odwecie, natychmiast odcięła zbawcze promienie. Droy Wood desperacko walczył o zachowanie swoich diabelskich sekretów, zdecydowany nie wypuszczać tych, którzy już tutaj weszli. Andy parł naprzód. Ten dom powinien być już niedaleko. A jeśli siły, które władają tymi szatańskimi włościami, przeniosły się gdzieś indziej, tak jak robiły to z Niemcem? Tutaj wszystko jest możliwe. Zaszło mu w ustach. Gdyby ta ścieżka nie była istnym trzęsawiskiem, mężczyzna rzuciłby się biegiem. W oddali coś zamajaczyło. Na początku pomyślał, że to małe drzewko, ale się poruszyło. Zrobiło krok, zastępując im przejście. Instynktownie Andy wyjął ługera, palec spoczywał na spuście. To była kobieta. Nawet w szarej mgłę widać było z daleka, że podobnie jak Carol, jest naga.

- Thelma?! - Carol wydała okrzyk, choć nie była zupełnie pewna. Kłęby mgły zacierały rysy twarzy, ale nie mogły zniekształcić obrazu całej dziewczyny, z którą przecież dorastała. Instynkt nakazywał jej wybiec naprzeciw, ale z jakiegoś powodu wstrzymała się. Coś było nie tak...

Dzieliło ich dziesięć jardów, choć równie dobrze mogło być i sto.

-Nie idźcie dalej! - Głos Thelmy był ledwie słyszalny, jakby wymagał z jej strony ogromnego wysiłku. Dziwnie chrapliwy i wymuszony. Chciała powiedzieć coś jeszcze, lecz nie mogła wydusić słowa. - "Wracajcie... wracajcie... wracajcie..." - Mgła zgęstniała, otuliła ją, a kiedy znów się rozwinęła, dziewczyny już nie było. 166

- Gdzie ona jest? - wyszeptała Carol

Ale Andy Dark nie słuchał. Biegł naprzód, zostawiając za sobą głębokie ślady, rozpryskiwał wodę i błoto. Nagle zatrzymał się, zbadał grunt i spostrzegł resztki siadów z ostatniej nocy. To były odciski jego własnych welling-tonów, ale ani śladu Niemca czy Thelmy Brown!

- Dlaczego ona uciekła? - Carol teraz dopiero zrozumiała, że zadała głupie pytanie. "Dlatego, że już nie żyje, podobnie jak inni. A oni zabrali ją, bo próbowała nas ostrzec".

- To była jakaś halucynacja. - Andy nie potrafił w tym momencie znaleźć lepszego wytłumaczenia. - W rzeczy-wistości to wcale nie była ona. - Nie było to rozmyślnie kłamstwo, po prostu mężczyzna głośno myślał.

- Ona nas ostrzegła - wyszeptała Carol. - Nie możemy wrócić do tego domu.

- W takim razie możesz mi powiedzieć, co robić?

- Nie wiem.

- Ja też nie. Nie możemy tu spędzić kolejnej nocy. Wątpię czy dom jest bardziej niebezpieczny niż sam las. Prócz tego, powinni już nas szukać. Gdybyśmy tylko potrafili dać im jakąś wskazówkę, gdzie jesteście.

Szli w milczeniu. Słońce się przyćmiło. Niemożliwością było ocenić, która mogła być godzina, lecz z pewnością był jeszcze rano.

Dom ukazał się nagle. Olbrzymie wieżyczki, wylaniające się z mgły, z niechęcią pochylały się nad parą przybyszów.

"Wracajcie, wracajcie". Carol znowu słyszała ostrzeżenie Thelmy. Gdyby Andy jej nie trzymał, odwróciłaby się i uciekła.

167

Hol wyglądał dokładnie tak samo, jak kilka godzin temu. Ten sam odór stęchlizny, boazeria spróchniała ze starości, wąż w odległym kącie. Nie chciała na to patrzeć, nie śmiała nawet pomyśleć o tym, co mogłoby znajdować się na dole, w lochu.

Podniosła wzrok na schody. Miejscami stopnie zdawały się grozić zawaleniem, jeśli ktoś nierozważnie postawiłby nań nogę. Andy podszedł do schodów. Zwrócił uwagę, że podłoga była mokra. Gdzieniedzie, na nierównej powierzchni utworzyły się małe kałuże. Lochy pewnie były zalane. Słychać było wodę chlupiącą poniżej wjazdu. Wkrótce woda się podniesie i wypchnie pokrywę do góry.

Przyrodnik właśnie stanął przy schodach, kiedy coś kazało mu spojrzeć w górę. Półpiętro znajdowało się w głębokim cieniu, ciemna platforma z częściowo wylamaną poręczą. Coś się poruszyło, podeszło do przodu i przez sekundę Carol pomyślała, że to znowu Thelma, ale sylwetka ta była inna, niska i przysadzista. Mężczyzna.

Teraz mogli mu się dokładnie przyjrzeć. Nieznajomy nosił jedwabne szaty. Miał kaftan ciasno opięty na wystającym brzuchu.

Obfite policzki i długie, siwe włosy dopełniały całości niezwyklego obrazu. Rozbiegane oczy przeszywały ich niczym sztylety.

- Spodziewałem się was. - Mężczyzna miał zadysz-kę. - Chodźmy po raz ostatni obejrzyć posiadłość Droy. Wkrótce morze, które tysiące lat temu zostało stąd wyparte, przyjdzie tu, by upomnieć się o swoją własność. - Zaśmiał się tubalnie, tak że echo odbiło się wielokrotnie wśród pustych ścian holu. - Jeszcze kilka godzin i ziemia moich praocjów zniknie na zawsze. Już się za-
168

częło! Westchnął smutno. - Lecz to na pewno lepsze, niż gdyby moje włości dostały się w łapy jakichś rabusiów...

Andy Dark wpatrywał się w tego dziwnego człowieka, czując przed nim ogromny respekt, niczym poddany wobec pana.

- Policja już tu podchodzi. - Zabrzmiało to banalnie. Ostatni, desperacki sprzeciw. Przypomniawszy sobie o naładowanym ługerze, którego wciąż dzierżył w dłoni. - Policjanci przetrząsną dokładnie to miejsce.

- Będzie już za późno, morze ich uprzędzi. Przez lata Droy Wood był podmywany przez fale, pływając niczym trzciniowa wysypka. Wszystko przepadnie bez śladu, na zawsze. - Kolejny wybuch wymuszonego śmiechu. - Może wtedy nikt z nas nie będzie musiał dalej tutaj pokutować. Nie traćmy czasu, chodźmy pożegnać Droy Wood, zanim pogrążymy się wraz z nim w morskich odmętach.

Andy poczuł, że jego nogi zaczynają go powoli i ostrożnie nieść w górę po schodach. Słyszał Carol postępującą wraz z nim.

Stopnie znów wyglądały solidnie. Dębowa boazeria nie nosiła już śladów zniszczeń, brak było otworów po pasożytach.

Zamazana sylwetka nieznajomego zaczęła niknąć w ciemnościach.

W uszach Andy'ego panował nieprzerwany szum. To mogło być odległe, rozszalałe morze. Fetor, przypominający rozkładające się wodorosty, drażnił nos. Przyrodnik zachwiał się i złapał za balustradę, by się podeprzeć. Żołądek odmówił mu posłuszeństwa, jakby stali teraz na rozkołysanym pokładzie. Powyżej, na mostku - widmo -169

kapitan zdawał się mówić: "Toniemy, wszyscy idziemy na dno, razem ze statkiem. Umrzemy z honorem".

Zbliżając się ku ostatnim stopniom, spostrzegł, że ów człowiek przy swojej, pokaźnej przeciwie tusz, poruszał się zadziwiająco lekko.

- Andy - powiedziała Carol szeptem - nie powinniśmy tu przychodzić, trzeba było posłuchać ostrzeżenia Thelmy.

Stanęli teraz na kamiennej werandzie, która wystawała nieco poza krawędź tylnej ściany zamku spowitego w mlecznobiałych kłębach mgły.

Gdzieś daleko w dole słyszeli szum rozszalałego żywiołu.

Rozdział XIV

Muffin znowu była blisko przy nodze Roya Beana. Tak blisko, że przeszkadzała mu brnąć przez bagno. Kopał ją wtedy ze złością w zad, słyszał jak warczała, lecz zaraz potem kulila się, nie odstępując swego pana ani na krok.

- Głupia suka - mruzczał. - Powinnaś ciężko pracować, szukać śladu, tak jak te cholerne, policyjne bydłaki. - "Dziwne, owczarki alzackie także zamilkły - pomyślał gajowy. - Prawdopodobnie są tak wytresowane, by działać po cichu. Albo też zachowywały się dziwnie. Do diabła, morze dziś tak szaleje, jak w czasie regat Fastnet, parę lat temu. To niesamowite, te wzburzone fale..."

Tu, w Droy Wood, doświadczało się uczucia podobnego do tego, jakie musieli mieć marynarze z dawnych czasów, gdy zostali unieruchomieni przez morską ciszę. "Wiatr nigdy już nie zawieje, zostaniesz tutaj do końca swoich dni, a te są już policzone..."

Leśniczy usiłował wydostać się z błotnistej kałuży. Niemożliwością było utrzymać kontakt wzrokowy z pozostałymi ludźmi

jednocześnie z obu stron. Nie dlatego, że mgła ograniczała widoczność, czasami po prostu las był tak gęsty i poprzecinany bagnistymi rozlewiskami, że musieli nadkładać drogi, klucząc i zmieniając kierunek marszu. "Nawet gdyby kazano wyciąć las, nikt by tego nie zrobił - myślał Roy Bean. - Nawet ja. Nigdy nie chciałem znać tego cholernego miejsca".

Przestał poganiać spaniela. Pies uparł się nie odstępować swego pana na krok i nie byłoby siły, by zmusić 171

Muffin do tropienia. W każdym innym miejscu biegałaby jak szalona.

Zatrzymał się na moment. Widocznie nie był już w tak dobrej formie, jak mu się wydawało. Znowu zabrakło mu tchu. Ten okropny smród wcale nie pomagał oddychać. Fetor gnijącego drewna, oparów bagiennych i rozkładających się wodorostów. Bean rozejrzył się wokół. W zasięgu wzroku nie było nikogo, nie słyszał nawet, jak tropiciele rozpryskują wodę i przeklinają. Doznał dziwnego uczucia, jakby wszyscy nagle go opuścili, zostawili samego. Nie miał pojęcia, w którą stronę iść. Kiedy w gęstej mgle zatracił się orientację, wszystko wyglądało podobnie, każde drzewo jest identyczne. Ale dziś przynajmniej było słychać morze. Jeśli po stronie lewej, to wiadomo, że droga jest po prawej i na odwrót. A przynajmniej powinna być. Wzdrygnął się.

Ruszył z miejsca. Spieszył się, nie zwracając uwagi na wodę, która wlewała się przez krawędzie cholewek do jego wellingtonów. Powinien był założyć kalosze.

Muffin zatrzymała się i zaczęła skamleć. Podniósł wysoko pałkę i w tym samym momencie spaniel zaszczekał krótko i ostro. W taki sposób Muffin zwykle ostrzegała, że ktoś znajduje się w pobliżu. Ale teraz był to głos pełen strachu. Uszy położyła po sobie, podkuliła ogon.

Miał ją właśnie uderzyć, gdy coś odwróciło jego uwagę. Mgła zawirowała tuż przed nim, ukazując jakieś kształty, lecz natychmiast okryła je z powrotem. "Ktoś z ekipy musiał się zbyt oddalić i teraz zawrócił, aby dołączyć do szeregu. Głupi frajerze, gdybyś na 172

polowaniu był jednym z moich naganiaczy, powiedziałbym ci do słuchu.

- Hej! - Okrzyk Roya był dziwnie stłumiony. - Tutaj, kolego!

Mgła przez moment znowu odsłoniła tamtego. Nagle spaniel wyrwał się i uciekł, rozpryskując wodę, przepływając głębokie rozlewiska. Rejterował śmiertelnie przerażony.

Gajowy ledwie zauważył ucieczkę psa, kiedy jego oczom ukazała się sylwetka nagiego mężczyzny o znajomych rysach twarzy. Skojarzył go ze zdjęciami na plakatach porozwieszanych na wszystkich murach i słupach telegraficznych w całej okolicy.

Rozpoznał go natychmiast. "O mój Boże, to Foster! Setki szukających, a to właśnie ja jestem tym, który go znalazł." Leśnik nie wierzył własnym oczom.

Bean krzyknął raz jeszcze.

- Hej, jestem tutaj, draniu! - Jego słowa zdawały się zatrzymywać na grubej ścianie mgły. Morze szumiało zbyt głośno, by ktokolwiek mógł go usłyszeć. "Gdyby tylko pozwolili wziąć strzelbę; ale wszystko, co teraz mam, to ta pieprzona pałka".

James Foster uśmiechał się. Miał coś nie w porządku z szyją, tak jakby była skałeczona, choć być nie mogła, bo przecież nie stałby tutaj. Niebezpieczny gość, ale tylko w stosunku do kobiet. "Co w takim razie stało się z tym strażnikiem przyrody i gliniarzem-przynętą?"

Foster odwrócił się, zaczął z wolna pograżać się we mgle.

173

- Hej! - Gajowy podążył za nim. - Hej, ty! Tu są setki policjantów. Jesteś otoczony. Nie uda ci się wymknąć.

Wyglądało na to, że tamten w ogóle go nie słyszał, ba, nawet już zapomniał, że kogoś spotkał. Roy Bean starał się nie stracić go z oczu. W każdej chwili Foster mógł okryć mgłą i wtedy leśnik straci go z oczu.

"Nic nie mogłem poradzić. Krzyczałem, lecz nikt nie przyszedł z pomocą. Próbowałem iść za nim, ale nie nadążyłem, zgubiłem go we mgle".

"Właściwie, to będzie lepiej, jeśli nie schwytasz go teraz. Lada chwila natkniesz się na kogoś i wtedy razem dorwiecie tego gnoja. No, cholerny frajerze, gdzie jesteś?"

Lecz poza nimi dwoma nikogo nie było. Roy Bean i James Foster, w środku lasu, który z każdym krokiem stawał się coraz bardziej podmokły.

-Hej, ty!

Potykał się co rusz, chciał mieć Fostera w zasięgu wzroku. Nie chciał sam zbliżyć się do groźnego przecież przestępcy.

Bean poczuł klucie w płucach, ściskający ból, który promieniował dalej, ku dołowi i pałi, jak świeżo zszycie rana. Nagi mężczyzna zwinął się jakby specjalnie, po to, by leśnik go nie zgubił. Uniósł rękę w dziwnym geście, jakby chciał powiedzieć: "Szybciej, czas ucieka dla nas obu".

Leśniczy stracił jeden but. Musiał zostawić go w bagnie, aby wygrzebać się szybko z pułapki. Trzeba wracać. Tylko którądy?

Gdzie się wszyscy podzieli?

Fetor był teraz ostrzejszy, ale Roy nie mógł sobie pozwolić na ociąganie się. Zaczął wymiotować w bie-174

gu, resztki śniadania pobrudziły mu przód koszuli. Znowu wpadł w głębokie błoto. Musiał zostawić drugi but. Ten muł... w życiu takiego nie widział. Gęsta, szara maź, bulgocząca i mlaskająca. Wysącał się z trzciniowych kęp, wpełzając jak żywa istota wprost do czarnej wody. "Matko Boska, to obrzydliwe..." - myślał gajowy.

Po lewej Bean miał teraz coś w rodzaju głębokiej jamy, wypełnionej tym okropnym, cuchnącym szlamem i ... Ktoś tam był, niczym zmęczony ptak, starał się utrzymać na powierzchni. Desperacko wyciągnięte w górę ramię... znikło. Muł zbulgotał, znacząc miejsce zgonu. "Nie, to niemożliwe. To urojenie. Tu można sobie wyobrazić dokładnie wszystko".

Tym razem Foster zniknął już na dobre, leśniczy rozglądał się za nim, jednak bez skutku. "Nie odchodź, nie zostawiaj mnie tu samego. Wcale nie chcę cię skrzywdzić. Mam nadzieję, że uda ci się uciec. Powiedz mi tylko, jak się stąd wydostać, a przysięgnę na Boga, że nigdy cię nie widziałem".

Muł gęstniał, niczym potworny płaz rozpełzał się na wszystkie strony. Wszystko dookoła zaczęło się ruszać. Słychać było wrogie szepty wznoszące się do cichych nawoływań, potem znowu słabnące. Wciąż trzeba było walczyć, by nie zostać wciągniętym przez muł, tak jak ta postać w jamie.

Roy uchwycił się gałęzi, ale pękła z trzaskiem. Sapał za inną. Trzymała. Na razie. Starał się myśleć logicznie. "Wszystko przez to morze... Przez wieki niszczyło las, chcąc wydrzeć lądowi tereny, które kiedyś były jego własnością. Wypełniało wszystkie

nią i tworzyło kałuże, szerokie rozlewiska. Powolny proces, który teraz przebiegał najintensywniej. I wtedy bagna zaczęły wydzielać gazy, powodować powstanie mgły. Dlatego się zgubiłem",
 Odechnąwszy się od gałęzi, ruszył naprzód. Kilka jardów od niego stał jakiś człowiek, zasłonięty nieco przez opary, tak że jego twarz była niewidoczna. Ale Roy wiedział, że to nie był Foster. Inna sylwetka: gruby uniform, a na głowie coś w rodzaju helmu. Musiał tam być przez cały czas. Po prostu patrzył i czekał.

- Kim jesteś? - Leśniczy nie był pewien, czy tamten zrozumiał jego słowa.

- Za późno. - Zjawa mówiła powoli z gardłowym akcentem, tak, jakby ten język był dla niej obcy. - Czekałem cierpliwie przez całe lata, nadaremnie.

- O czym ty mówisz?

- Pokonała nas rosyjska zima, bo znowu wszystkie żywioły sprysięgły się przeciw nam. Mgła spowiła to miejsce, bagna sprawiają, że nikt nie dokonani inwazji. Inaczej armia niemiecka zatriumfowałaby. Tylko ja reprezentuję tu Wielkie Niemcy i będę bronił ich do końca. - Bertie Hass mówił groźnie, szukając pasa z kaburą, którego już nie było.

.Jesteś nienormalny - pomyślał Bean i przelknął ślinę. - To nie może się dziać naprawdę, to twój mojej wyobraźni, jak ten facet wciągnięty przez muł".

- Wojna się skończyła - powiedział - dawno temu.

- Kłamiesz, tak jak tamci. Chcecie tylko wypłoszyć mnie z mojej warowni. Ten las nie będzie otoczony. Uprzytomnij to sobie. Jesteś teraz moim jeńcem. 176

- Ja... posłuchaj... poszukiwacze muszą być gdzieś niedaleko - wyjąkał, patrząc wokół siebie, lecz nie było dokąd uciekać. Tylko muł, który z każdą minutą stawał się coraz bardziej płynny.

- Pospiesz się, nie mamy czasu do stracenia!

Roy Bean nie chciał iść, opierał się jak mógł. Nie rozmawiali wcale, bo nie było o czym. W głowie wciąż brzmiały jego słowa: "Pospiesz się, nie mamy czasu do stracenia".

Wkrótce tuż przed nimi wyłonił się dom z wieżyczkami podobny do średniowiecznego zamku. Czekał na nich w posępnym milczeniu. Groza tego widoku porażała Roya.

"To musi być Droy House - pomyślał leśnik. - Ale wygląda jak przed laty.

Roy potknął się i upadł. Pod sobą poczuł twarde, kamienne podłoże; to te zdradliwe schody pokryte śliskim szlamem.

Po nagich ścianach holu sączyły się strugi wody, które tworzyły małe kałuże. W odległym końcu widniał w podłodze uchylony właz. Bean miał ochotę uciec, ale coś go trzymało, popychało do przodu. Próbował krzyknąć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Schodząc w dół ku bezkresnej ciemności, leśnik oparł się otwartą dłonią o wilgotną ścianę, by nie stracić równowagi.

"To nie może być prawda!" Lodowata, gęsta od mułu woda sięgała mu do kostek. "Ta piwnica jest zalana, wkrótce zostanie zupełnie zatopiona" - pomyślał z przerażeniem.

Czuł, że widmo przykuwa go do ściany. Na nadgarstkach i w kostkach uciskało go jakieś zimne żelastwo. 177

Nie miał pojęcia, czy ten Niemiec wciąż jeszcze tu był. Po prostu wsłuchiwał się w delikatne pluskanie wody. Loch powoli wypełniał się wodą.

Głosy, nieuchwytnie szepty, ludzie kręcący się wkoło, lecz najwidoczniej nieświadomi jego obecności. Próbował do nich zawołać, lecz na próżno. Woda pienila się na wysokości pępka, podchodząc wciąż wyżej. Ktoś gdzieś szlochał, kobieta lub mały chłopiec, lecz ów głos zaraz umilkł. I wtedy Roy zobaczył mnóstwo czerwonych punkcików, oczu. Szczury! Pływały, szukając ucieczki, ale w końcu i tak utoną.

Nagle jeden ugryzł go. Cienkie, ostre jak igła zębki zagłębiły się w jego ciało. Odruchowo napiął mięśnie i szarpnął kajdankami, chcąc zrobić unik. Teraz wszystkie płynęły w jego kierunku. Widział tylko ich oczy, ale doskonale potrafił sobie wyobrazić, jak wyglądały w całości. Szare, złośliwe stworzenia, które oczyszczały z odpadków ulice i rynsztoki. Doskonale zdawał sobie sprawę, jak mogą być niebezpieczne. W ochronkach leśnych, którymi się opiekował, były jego głównym wrogiem. Wyjadały jajka, pisklaki, wgrzyzały się do karmników, niszcząc przy okazji to, czego nie pożarły. Pozostawiały wszędzie swoje łajno i nawet kiedy padły od truciu, ostatkiem sił wczołgiwały się do swoich nor przy fundamentach budynków i trzeba było mieszkać w okropnym odorze rozkładających się szczurzych trupów, co w ciągu lata mogło trwać całe tygodnie.

Wystarczyło jedno ugryzienie. Skóra mu ścierpła i poczuł, że zaczyna krwawić. Groziła mu infekcja. Ra-178

na zetknęła się już z brudną cieczą i szlamem. Albo syndrom Weila. Albo grybica. Albo...

Nie, nie zapadnie na żadną z tych chorób, bo prędzej utonie. Chryste, jak on nienawidził szczurów. Kiedyś zabijał ich tysiące. Trutka, łapki, wiatrówka. Uśmiercanie tych zwierząt sprawiało mu szczególną przyjemność, żadne stworzenia nie mogły z nimi pod tym względem konkurować, bo gardził tymi małymi skurwielami w najwyższym stopniu. Czasami, z nudów, siadał nad strumieniem i strzelał do każdego, który się pokazał. Charakterystyczne "puknięcie" świadczyło, że trafił. Wtedy drgającego w agonii gryzonia kopniakiem wysyłał prosto w wartki nurt.

"Giń sukinyśnu, ale nie za szybko, bo chcę widzieć jak cierpisz".

Teraz karta się odwróciła, on był zdany na łaskę szczurów. "Znamy cię, leśniku, wiemy, jak nas tępiłeś przez tyle lat, teraz nadeszła nasza kolej. Tym razem ty będziesz cierpieć. Nie mamy zamiaru utonąć, jeszcze nie teraz, zanim..."

Szarpały jego ubranie pod powierzchnią wody, rozdzierając tkaninę. Targały, dopóki nie dostały się do dała.

"Nie, tylko nie tam!"

Próbował ścisnąć uda, lecz kajdany mu to uniemożliwiły. Zęby rozdarły mu skórę tak, że aż nagle odzyskał mowę i zaczął wrzeszczeć, gdy poczuł, że gryzonie dobierają mu się do żołądka. Znowu wymiotował, nie mogąc zrzucić z siebie tych bestii, żerujących na żywej istocie ludzkiej. Mętna, śmierdząca woda sięgała mu już do piersi. Czas jakby się zatrzymał. Trwała tylko agonia.

179

Wyprężył się, by utrzymać głowę nad powierzchnią wody. "Teraz już blisko do końca". Wszystkie szczury wspinały się na niego, pokrywając to, co wystawało jeszcze z wody. Zaczęły walczyć między sobą o tę niewielką, żywą "wyspę".

Nie mógł poradzić sobie z wodą zalewającą mu usta. Kaszlał, krztusił się, wymiotował.

I wtedy właśnie, dopiero pod sam koniec, szczury przegryzły mu tętnicę szyjną.

Rozdział XV

Sierżant detektyw Jim Fillery coraz bardziej zaczynał sobie uświadamiać, że będzie musiał zaprzestać poszukiwań. Traktował to jako osobistą porażkę. Żywioty zjednoczyły się, by pokrzyżować mu plany. Foster był tam z pewnością. Jeśli było się nowicjuszem, łatwo było wyciągać wnioski, ale po kilku latach pracy można już pokusić się o prawidłową eliminację nieistotnych dla sprawy elementów. Dlatego Jim Fillery był przekonany, że przestępca nie opuścił Droy Wood. W błyskawicznym tempie woda pochłaniała coraz większe połacie lasu. Możliwe, że fale dochodziły nawet do drogi. Mgła zaczęła znowu gęstnieć, unosząc się nad bagnami. Ludzie brnęli przez trzęsawisko, niejednokrotnie zmuszeni nakładać drogi dla ominięcia głębokich bajor i gęstych szuwarów. Zatarłe zostały wszelkie ślady, które ewentualnie mogły podjąć psy. W sumie, cholerna strata czasu. Poszukiwania będą musiały być wkrótce odwołane, nie mógł już tego umknąć. Gdyby tylko ktoś się zgubił lub utonął, dziennikarze nie pozostawiliby na policji suchej nitki. I wtedy dostrzegł dom, zdewastowaną ruinę, całą zalaną cuchnącym mułem. Fillery miał znowu dziwne przeczucie. - Idę sprawdzić ten dom - zawołał do człowieka, którego postać majaczyła niewyraźnie we mgle po prawej stronie. - Powiedz innym, by utworzyli dookoła kordon, tak na wszelki wypadek. - Jego słowa były dziwnie przytłumione, ale tamten uniósł do góry rękę 181

na znak, że rozumiał. Fillery wsunął dłoń do kieszeni i namacał kolbę pistoletu. Nie zawałałby się go użyć, gdyby musiał. "Zaginął policjant, prawdopodobnie już nie żył". To była jedyna chwila, kiedy detektyw nie mógłby ręczyć za siebie. Uchylone drzwi wisały na jednym tylko zawiasie. Przecisnął się przez szparę, wyciągnął broń i bacznie rozejrzał się po holu. Właz w podłogę był przymknięty, lecz gęsta, mętna woda uniosła go wyżej. Piwnica była zatopiona. Fostera tam pewnie nie ma. Popatrzył w kierunku schodów. Tak, to było to. Zobaczył odcisnięte w mule ślady stóp, wciąż jeszcze wilgotne. Grube bieżniki podszew wellingtonów, obok mniejsze, zostawione przez drobne, bose stopy. Mózg Fillery'ego rozpatrywał permutacje: "1/ sierżant Lee i Thelma Brown. 2/ James Foster i Carol Embleton. 3/AndyDarki..." Jego mózg po prostu przetwarzał dostarczone informacje. Jedna z dziewczyn, to oczywiste. Obie uciekły do lasu nago. Nie można było na pierwszy rzut oka stwierdzić która, ale przynajmniej jedna wciąż jeszcze żyła. Lee i Foster zostawili ubrania w samochodach. Fillery skrzywił się, doznając czegoś w rodzaju rozczarowania. Pozostał tylko Dark. Oczywiście pod warunkiem, że Foster nie zamordował ich wszystkich i nie zabrał butów Darka. Albo konstabi Lee znalazł zwłoki strażnika przyrody i posłużył się jego obuwem. Był tylko jeden sposób na rozwikłanie tej zagadki. Ruszył 182

naprzód, broń trzymał w pogotowiu. Ktoś był na piętrze i sierżant detektyw miał zamiar sprawdzić, kto. Schody zatrzeszczały złowrogo, grożąc zawaleniem. Stopnie, które jeszcze się ostały, były w większości spróchniałe. Wspiął się ostrożnie. Pamiętał, jak kiedyś, gdy dopiero co uzyskał patent oficera śledczego, uczestniczył w akcji. Jakiś gość wziął czternastoletnią dziewczynę jako zakładniczkę. Ukrył się na szczycie wieżowca. Kidnaper strzelał w dół do policjantów, zdecydowany w krytycznym momencie zabić dziecko i siebie. Coś jak Foster, też lubił napastować dzieci. Czas uciekał. Fillery i jeszcze jeden detektyw wsiadli do windy i ruszyli do góry, kiedy reszta na dole starała się odwrócić uwagę maniaka. Fillery biegł pierwszy, jego towarzysz podążał za nim. Obaj mieli pietra jak cholera. W ciągu paru następnych minut ktoś będzie musiał zginąć, mógł to być każdy z nich. Kiedyś wreszcie trzeba było stanąć oko w oko ze śmiercią. Zdawał sobie sprawę z tego, że prędzej czy później będzie musiał kogoś zabić. Chciało mu się wymiotować, zbiec z powrotem po schodach i powiedzieć przełożonemu, że nie chce za nikogo umierać. Ale coś pchało go do przodu. Nie miał pojęcia, co to było, i Fillery nigdy tak naprawdę się nie dowiedział. Lecz pobiegł dalej, kopniakiem otworzył drzwi, a w środku, w małym mieszkaniu zastał tego człowieka, siedzącego w kącie. Dziewczynka nawet nie wpadła w histerię i właśnie wtedy poczuł ogromne rozczarowanie. W pewnym sensie spotkał go zawód, bo nie musiał wykraczać poza pewną barierę. 183

Aż do tej chwili. Musiał przejść przez to wszystko jeszcze raz. Minął półpiętro i dotarł do drugiej kondygnacji. Spostrzegł szeroki balkon, na nim troje stojących ludzi. Dark i Embleton. Ten pierwszy ścisnął pistolet w opuszczonej ręce, zupełnie jakby o nim zapomniał. Dziewczyna trzymała mężczyznę za ramię. Oboje zwróceni byli twarzami do trzeciego. Fillery uważnie przyjrzał się obcemu. I znowu coś w środku ścisnęło go, tym razem ze zdwojoną siłą. Opasła, okrągła twarz, ciało przypominające wyglądem rozkładającą się rybę, oczy osadzone tak głęboko, że oczodoły zdawały się puste. Ścisnięte usta wyrażały nienawiść i pogardę. Na sobie miał ubranie z zupełnie innej epoki. Wszystko zastygło w bezruchu jak zatrzymane w kadrze. Przyjrzał im się dokładnie. Zdał sobie sprawę, że jest świadkiem jakiegoś finału przerażającego dramatu, który rozgrywał się tu przez długi czas. Hałas, brzmiało to jak odległa kanonada. Nawoływania dobiegały tu chyba z dołu, od tropicielei lecz zaraz ucichły. W tym momencie policjant rozumiał, że ten dziwnie ubrany człowiek był głównym reżyserem wszystkich wydarzeń. I wtedy aktorzy zaczęli się ruszać po scenie. Nieznajomy podszedł do balustrady, zaczął wymachiwać ręką, wskazując coś jednocześnie, śmiał się. Andy Dark słuchał i patrzył, zdając się potakiwać. - Morze odzyskuje swoje dawne tereny! - wrzasnął grubas. - Słyszycie jak pochłania ziemię moich praojców? Wszyscy, razem z lasem, zginieją pod wodą. Fillery znowu myślami powrócił do dnia, kiedy 184

wdzierał się do tamtego mieszkania w wieżowcu. Wciąż sobie wtedy powtarzał: "Życie ludzkie ponad wszystko". Bariera, której nigdy nie chciał przekroczyć. A teraz znowu musiał zapomnieć o swoich rozterkach.

Strzelił, cel był znacznie bliższy i łatwiejszy niż makiety na strzelnicy. Odgłos wybuchu przewiercił go na wskroś. Słyszał, jak ciężkie kule rozpruwają to obrzydliwe ciało, jakby wchodziły w gąbkę.

Zachwiał się, ale nie upadł. Mimo że w jego ciele widniały liczne rany postrzałowe, ten dziwny człowiek zdawał się nieśmiertelny. Wyglądało na to, że kpi sobie z detektywa.

A Jim Fillery rozumiał, że znajdował się właśnie przy ostatecznej barierze, która dzieliła odwagę i tchórzostwo. rozsądek i szaleństwo. Wąska i niewidzialna. Chciał krzyczeć, uciec natychmiast, lecz ostatekiem sił zmusił się do pozostania.

Ross Droy, czy kimkolwiek była ta zjawą, upadł do tyłu na kamienną posadzkę, a z ran popłynął gęsty płyn. Nie szkarlatna krew, ale raczej szary szlam, tworzący duże plamy, zupełnie jak krowie łajno.

Cała trójka zbiegła po schodach na dół, nie zważając na kawałki odpadających stopni, które pod wpływem wstrząsu odrywały się i spadały z pluskiem wprost do mułu zalewającego parter. Mgła napłynęła do środka przez uchylone drzwi, utrudniając im ucieczkę. Wokół majaczyły złowrogie kształty.

- Biegnijcie dalej! - Prowadził teraz Andy Dark, wyprzedziwszy detektywa. Trzymał Carol za rękę. - Nie 185

zatrzymujcie się, nie zwracajcie na nich uwagi, cokolwiek by się stało.

"Cokolwiek by się stało". Przyrodnik nie chciał nawet o tym myśleć. Niemiec, Ross Droy... To chyba sam diabeł bagien tchnął życie w te dawno już martwe ciała.

- W którą stronę? - Fillery zwołnił oglądając się. Szary opar otoczył ich szczelnie, podczas gdy pod stopami wciąż zbierała się woda. Nie było śladu tropicieli. Detektyw gdzieś w głębi duszy przeczuwał, że tak się stanie.

"W którą stronę teraz? Próbowaliśmy się wydostać stąd od kilku dni" - Przyrodnik zaczynał popadać w panikę.

- Patrzcie! - Andy wskazał na wąski strumień, wijący się między kępami trzciny. - Płynie od strony plaży, więc jeśli skierujemy się w przeciwnym kierunku, dojdziemy do drogi. - Chciał, by ton jego głosu zabrzmiał przekonywająco, żeby dodać im otuchy. Poziom wody wciąż się podnosił. Na powierzchni pływała wstrętna, szlamowata substancja, pokrywająca już teraz cały las. - Idziemy dalej! Nie zatrzymujcie się, cokolwiek by się działo.

Wycie, przechodzące w ujadanie, zginęło gdzieś w oddali tak nagle, jak się pojawiło. Upiorny dźwięk, który wciąż brzmiał echem w ich głowach.

- To muszą być wilczury, chwyciły trop - mruknął detektyw.

- Tak, to one - westchnęła z nadzieją Carol.

- To z pewnością psy - podchwycił Andy. "Tylko że owczarki nigdy nie tropią". Sprawdził swojego ługera, który nagle wydał mu się beużyteczną bronią. Hass 186

nie zdołał powstrzymać wilków. "Nie myśl o niczym innym, koncentruj się na utrzymaniu właściwego kierunku".

Wiele razy musieli nadkładać drogi, okrążając głębokie rozlewiska. Andy najbardziej obawiał się tego, że zbczą z drogi.

Bacznie obserwował mleczną zawiesinę, czy przypadkiem nie wyłonią się wieżyczki Droy House.

Morze było coraz głośniejsze, jakby jakaś ogromna zachłanna fala napierała na las z olbrzymim impetem, widząc umykające ofiary. Wiatr przybrał na sile, bezlitośnie smagając twarze zmęczonej trójki.

- Wiatr stale się wzmaga! - Andy przekrzykiwał szum fal. - Dlatego tak dobrze słychać morze. Patrzcie, mgła się rozrzedza! Rzeczywiście, szary opar zaczął tracić swą gęstość. Niesamowite, złowrogie kształty znów stawały się jedynie poskręcanymi drzewami.

- Mój Boże! - Jim Fillery odetchnął. - Co tu się, do cholery, dzieje? - Był błydy i wciąż trzymał w dłoni pistolet. - To walka żywiołów.

Andy niechętnie przystanął.

- Wiatr i morze walczą przeciw Droy Wood z jego mgłą i ruchomym mułem. Zakończenie wieloletnich zmagania. Natura w przymierzu z Szatanem, coś, czego nikt nigdy nie zrozumie. Może to Armagedon?

- Droga? - To był głos Carol, która pierwsza dostrzegła jaśniejszą linię, zaraz za drzewami, nie więcej niż sto jardów dalej. - Tam jest droga! - Tak, to była droga. Zwykła "dwójka", pokryta zniszczonym asfaltem. 187

tem. Rzucili się biegiem, przeklinając grząskie błoto. Modlili się w duchu, by to, co ujrzeli, nie było jakimś mirażem zesłanym przez pokonane duchy lasu, by Droy Wood nie zakpił z nich po raz ostatni. Wzdłuż szosy chodzili poszukiwacze, przystając i dyskutując w małych grupkach. Uwalani w błocie, zdrożeni tropiciele, którzy mieli dosyć szczęścia, by wydostać się z powrotem na suchy ląd. Niektórzy wciąż jeszcze nie wrócili z tego piekła. Gdzieś z dala dobiegało czasem niesione podmuchami wiatru szczekanie psów lub przeraźliwe ludzkie jędy. Ale nikt nie był w stanie tam dojść.

Andy ciągnął Carol za sobą. Biegli, nie zważając na nisko wiszące gałęzie, które smagały im twarze. Nie było czasu na szukanie dogodnych ścieżek, musieli najpierw wydostać się z lasu.

- Jezu Chryste! - Jim Fillery podążał tuż za nimi, a gdy tylko stanął na twardym gruncie, oglądał się za siebie, by popatrzeć, przez co właściwie udało mu się przedrzeć. - Spójrzcie tylko na ten las, cały jest zalany wodą! Połowa drzew prawie pływa! Fala na pewno dojdzie do drogi.

- Też tak sądzę - zgodził się Andy, trzymając Carol blisko siebie. - Morze przez tysiące lat próbowało się przebić przez linię drzew, a teraz mu się udało! To chyba koniec Droy Wood... i jego tajemnej mocy.

Przez kilka sekund patrzyli na ostateczną zagładę lasu. Woda kłębiła się, niosąc muł, trawę i małe krzaki, zmiatając po drodze drzewa, najpierw mniejsze, potem wszystkie po kolei, wyrwając je korzeniami do góry. 188

Mgła gdzieś zniknęła. Zniknęły także wszystkie dziwne kształty, zniknął dom, który miał wieżyczki, a może wcale ich nie miał. Wszystko uległo totalnej zagładzie. Natura walczyła zawzięcie... i zwyciężyła.

- Chodźmy lepiej do domu zmienić ubrania. - Andy uśmiechnął się krzywo do swoich towarzyszy. - Gorąca kąpiel, coś na ząb, i do łóżka, jak długo się da. Potem zaciągną nas na posterunek i zaczną zamęczać pytaniami, na które nie znamy odpowiedzi. Jim Fillery skinął głową. Był to pierwszy raport, którego wcale nie miał ochoty pisać.

GUY N. SMITH - urodził się w 1939 roku w Anglii. Jego matka była autorką powieści historycznych, co niewątpliwie wywarło wpływ na zainteresowania pisarskie syna. Jako dziewięcioletnie dziecko "wydawał" raz w tygodniu komiks - sześć stron obrazków i historyjek. Pierwsze opowiadanie opublikował w wieku dwunastu lat w lokalnej gazecie "Tettenhal Observer", z